TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 48 (1042)
27 LISTOPADA 1977 R.
CENA 3 ZŁ

WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

lekki przemysł, ciężka praca

— Wajda, jak kręcił „Ziemię obiecaną", to ani jednej maszyny nie musiał u nas zmieniać — szczycą się na oddziale przędzarek wózkowych i to brzmi dumnie. Niewielu ludzi w Polsce ma okazję pracować w fabryce, którą bez adaptacji można by oddać resortowi kultury jako muzeum techniki w ruchu. Nikt nie wie dokładnie, ile lat liczą sobie „Werdole", ale chyba ponad sto, a „Schimmele" i sporo innych maszyn również zbliża się do wieku matuzalemowego. Maszyny obrączkowe instalowano w latach 1898—1906. Z buchalteryjnego punktu widzenia one w ogóle nie istnieją, albowiem od niepamiętnych czasów zakończyły swój cykl amortyzacji. Wśród wszystkich łódzkich zakładów włókienniczych „Dzierżyński" — zdaniem specjalistów — ma najtrudniejsze warunki pracy. W tych starych i ciasnych halach, które kapitaliści projektowali pod kątem maksymalizacji zysku, a nie dbałości o zdrowie i samopoczucie robotników, wszelkie przedsięwzięcia, które podejmuje się dla poprawy bezpieczeństwa i higieny pracy, są zaledwie ćwierćśrodkami.

Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Feliksa Dzierżyńskiego, które z racji eksportowych obdarzono kosmopolitycznym przydomkiem „Eskimo" w rozmowach potocznych nadal są Geyerem. I to powszechniej chyba niż „Obrońcy Pokoju" — Scheiblerem, a „Marchlewski" — Poznańskim. Tamte dwa największe zakłady bawełniane dostały nowe maszyny, w ogóle zbudowane są solidniej, otrzymały zastrzyki modernizacji, ergo — są bardziej ponętne dla świeżych adeptów włókiennictwa. Trzeci z kolei „Dzierżyński" ma za to reputację fabryki o przyjaznej, co nieco familiarnej atmosferze, i być może ten posmak staroświeckości utrwala nazewniczą tradycję. Na swoim miejscu jest tu nawet kot, który ochotniczo strzeże przed myszami oddział draparni.

Jednakże, nie każdy przecież w wyborze miejsca pracy kieruje się sentymentami. Wielu, zwłaszcza młodych, po paru miesiącach lub tygodniach odchodzi stąd do zakładów nowoczesnych, jak Bistona, Polanii czy Arelan („Są nam podkradani" — uważa pani Zarzycka, socjolog zakładowy), bo tam pracuje się lżej, w nieporównanie lepszych warunkach, czasem na wyższych stawkach, zawsze — przy doskonalszej technice, która dla młodzieży jest najmocniej-

Dalszy ciąg na str. 8–9

RYSZARD BINKOWSKI
o rentach dla rolników
strona 4

Andrzej Makowiecki
O PODRÓŻY PRZEZ BRAZYLIĘ
strona 14

Zbigniew Wojciechowski
O ROZPRZY i KAMIEŃSKU
strona 8

Jerzy Urbankiewicz
O ARCHEOLOGII strona 11

Eugeniusz Iwanicki
O BUDOWNICTWIE JEDNORODZINNYM
strona 3

KSIĄŻKA

KŁOPOTY Z POWIEŚCIĄ

Zdaniem Daniela Defoe, autora powieści „Przygoda Robinsona Kruzoe", „Dola i niedola sławnej Moll Flanders" i innych, powieściopisarza obowiązuje „tylko znajomość i twórcze naśladowanie rzeczywistości". Proste i jasne sformułowanie, z dodatkiem słówka „tylko" nie wzbudzało na przełomie XVII i XVIII wieku, w czasach, kiedy żył i tworzył Defoe, szczególnych wątpliwości. Dopiero w zmieniającym się świecie XX wieku „znajomość rzeczywistości" zacznie spędzać sen z oczu pisarzy. To, co było kiedyś sprawą względnie łatwą, stało się w naszym stuleciu jednym z najpoważniejszych problemów, hamujących zamiar i pióro współczesnego pisarza.

Węgierski literaturoznawca, Miholy Sukösd, dość lapidarnie, lecz celnie konstatuje w „Wariacjach na temat powieści", że przy wzrastającym zalewie informacji żadna poważna współczesna powieść nie udźwignie względnej pełni politycznych, naukowych i ideologicznych komponentów naszego czasu, ani powstałych nowych instytucji i stosunków międzyludzkich. Nie ma również, jak wskazuje współczesna produkcja powieściowa, bohaterów, którzy mogliby prezentować pełny system układów jakiejś grupy lub warstwy społecznej.

Pisał o tym wcześniej Michel Butor, znany u nas z tłumaczonych powieści „Odmiany czasu" i „Przemiana". Butor w zbiorze esejów „Powieść jako poszukiwanie" ubolewając, że tradycyjne techniki powieściowe nie potrafią zintegrować wszystkich nowych stosunków społecznych, podkreślał również wielką szybkość zmian w świecie, w którym żyjemy, i sugerował, że w nowych formach powieściowych możliwość integracji byłaby większa.

Tutaj jednak, obok przeszkody pierwszej („znajomość rzeczywistości") występuje przeszkoda druga — niechęć szerokich mas czytelniczych do wysiłku, jakiego wymaga odrzucenie zakorzenionych przyzwyczajeń do starych form tradycyjnej powieści, i pokonywanie trudności przy lekturze niełatwych i często skomplikowanych najnowszych utworów, pisanych w konwencji zbliżonej do raczej niepopularnej „nowej powieści".

A przecież ten tak krytykowany „nouveau roman" przyniósł dzieło, nad którym nie sposób przejść do porządku dziennego, żeby wymienić najznakomitszą z tego gatunku powieść Claude Simona „La route des Flandres", która, niestety, nie została przełożona na język polski. Przed paru laty fragmenty tej powieści w przekładzie Wiery Bieńkowskiej były zamieszczone w „Twórczości". Każdy, kto miał możność zapoznania się z powieścią Claude Simona w oryginale, nie może zaprzeczyć, że stanowi ona najdoskonalszą pozycję powieściową, której tematem jest II wojna światowa i Blitzkrieg hitlerowski z czasów kampanii 1940 roku we Flandrii. Ludzie, zjawiska i zdarzenia zaplątane w powikłanej sieci czasu ujawniają cały bezsens wojny. Adekwatność treści i formy zostaje nie zachwiana do końca. A wyłania się z niej obraz rozpadu Francji pod względem militarnym, politycznym, społecznym, przestrzennym i czasowym. Zupełny chaos. Chyba pewne, zbyt drastyczne fragmenty, uniemożliwiły wydanie tej wartościowej pozycji w przekładzie polskim, gdyż jak można przekonać się z porównania fragmentów tłumaczonych przez W. Bieńkowską (wybranych z początkowych, środkowych i końcowych partii powieści) z oryginałem, tłumaczka przełożyła całość tego wybitnego dzieła.

Chcąc odtworzyć wiernie (jak dokonał tego Claude Simon) obraz II wojny światowej, należało przede wszystkim znaleźć wyraz dla nie znanej przed rokiem 1939 kinetyki działań wojennych. I wojna światowa była na froncie zachodnim wojną statyczną (bitwa pozycyjna guerre de tranchèes pod Verdun w 1916 roku trwała 10 miesięcy pochłaniając 362 tysiące zabitych Francuzów i 336 tysięcy zabitych Niemców).

II wojna światowa, angażując ogromne masy walczących oraz wielkie ilości materiału wojennego, czołgów, zmotoryzowanej artylerii i samolotów, odznaczała się błyskawicznymi uderzeniami z powietrza i na ziemi, okrążeniami („kotłami"), w rozmiarach nie znanych w pierwszej wojnie.

Autor „La route des Flandres" dysponujący bogatym zasobem środków prozatorskich (nerwowy, rwący się styl; ciągłe zmiany punktów obserwacyjnych, przypominające operowanie kamerą filmową; wirtuozerskie przemieszczenie jednostek czasu teraźniejszego z czasem przeszłym itp.) dał pełny obraz bezsensu wojny po przejściu Blitzkriegu.

Szybkość zmian dokonywujących się we współczesnej nam rzeczywistości jest charakterystyczna nie tylko w dziedzinie militarnej, lecz obejmuje wielkie kręgi zjawisk które z trudem poddają się obserwacji pisarza. Stąd konieczność przekształceń formy powieściowej w nowoczesnych tematach, a co za tym idzie — obowiązek spadający na krytyków wyjaśniania przyzwyczajonym do tradycyjnej formy czytelnikom wymogów nowoczesnej prozy.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

BALET

WIECZÓR BALETOWY

Kolejna, druga już w tym sezonie premiera Teatru Wielkiego przyniosła sporo satysfakcji miłośnikom baletu i dobrej muzyki. Na ciekawy wieczór baletowy złożyły się dwie kompozycje: **„Symfonia fantastyczna"** Hectora Berlioza i **„Szeherezada"** Nikołaja Rimskiego-Korsakowa. Obydwie przygotowano z dużą starannością i troską o ich właściwy i najpełniejszy wyraz sceniczny. Trud realizatorów zaowocował interesującym przedstawieniem, co podkreślić pragnę tym mocniej, że osiągnięcie takiego efektu — zwłaszcza w przypadku utworu Berlioza — nie jest bynajmniej łatwe.

„Symfonia fantastyczna", nader rzadko grywana na estradach filharmonicznych, jest utworem niezwykle interesującym muzycznie. Jej twórca na właśnie wpisał się na listę najwybitniejszych kompozytorów francuskich w dobie romantyzmu i zajął wśród nich poczesne miejsce. Utwór ten zarówno swym kształtem instrumentalnym, jak i precyzyjnie opisaną przez kompozytora treścią literacką spełnia wszystkie postulaty romantyzmu. Organiczny związek formy symfonicznej z romantycznie teatralną dramatycznością przyniósł w efekcie zgodną z filozoficzną myślą epoki wspaniałą muzykę programową o daleko posuniętej ilustracyjności. Zrodzona z najsilniejszej ludzkiej emocji treść „Symfonii fantastycznej" zgodna przy tym z duchem romantyzmu sprawiła, iż kompozycja stała się muzyczną manifestacją założeń artystycznych tego kierunku. Subiektywny charakter dzieła zrodzonego z wewnętrznych przeżyć twórcy nie tylko nie osłabia tego waloru, ale pozwala na jeszcze silniejsze jego podkreślenie.

Hector Berlioz posiadł nader cenną umiejętność: w mistrzowski sposób opanował arcytrudną sztukę instrumentacji, a umiejętność ta połączona z niezwykłą intuicją pozwoliła na wydobycie z orkiestry pełni brzmienia, na swobodne operowanie nie tylko kolorem, ale i światłocieniem muzycznym, na konieczną do przekazania treści i emocji plastyczną charakterystykę muzyczną.

Przed choreografem stawia ona niezwykle trudne zadania. Musi bowiem zaistnieć na scenie silny i pełny związek między jej muzyczną konstrukcją, a układem choreograficznym. Celem tego ostatniego jest konkretyzacja myśli i wizji zawartej w strukturze dźwiękowej. Niezwykle łatwo tutaj o przechylenie szali zwycięstwa bądź w stronę zespołu zjawisk dźwiękowych, bądź też w kierunku akcji scenicznej. Realizatorzy „Symfonii fantastycznej" w Teatrze Wielkim ustrzegli się tego niebezpieczeństwa. Nadrzędną zaletą przedstawienia zaletą decydującą o jego wielkiej wartości jest precyzyjnie wyważona równoległość zdarzeń scenicznych i akcji muzycznej z ich wzajemnym i odpowiadającym sobie siłą natężeniem. Pozostawienie możliwości wyboru między zjawiskami dźwiękowymi, a doznaniami wzrokowymi byłaby tutaj zgubna. Te dwie warstwy twórcy przedstawienia, stopili w jedną organiczną całość proponując odbiorcom przedstawienie stanowiące syntezę tworzyw. Obejrzeliśmy więc precyzyjnie skomponowany spektakl. Szlachetna umiejętność operowania wszystkimi tworzywami teatru pozwoliła na zrealizowanie nadrzędnej myśli inscenizacyjnej i nie dopuściła do wyraźnej dominacji któregoś z tych tworzyw. Przedstawienie osiągnęło konieczną pełnię artystycznego kształtu. Podporządkowane sobie nawzajem akcje muzyczna i sceniczna rozwinęły się z równą mocą.

Zamysł twórczy **Tomasza Kozłowskiego** (kierownictwo muzyczne) dobrze zrealizowała coraz lepiej (zwłaszcza w kwintecie) grająca orkiestra Teatru Wielkiego. Tomasz Kozłowski wydobył z niej brzmienie takie, by wyraźnie określiło ono układ choreograficzny będący dziełem **Przemysława Śliwy.** Choreograf ten zaproponowanym przez siebie rozwiązaniem scenicznym podkreślił zalety dźwiękowej konstrukcji utworu Berlioza. Obydwaj twórcy osiągnęli immanentnie tkwiący w nim walor romantycznej ułudy, umiejętnie gubiąc granicę między jawą a snem, między przywidzeniem a rzeczywistością. Interesującą scenografię opracował **Jan Bernaś.** Przesycona seledynem i księżycowym niemal światłem podobnie jak muzyka i układ choreograficzny współtworzyła wraz z nimi ulotny klimat nieuchwytności.

„Epizod z życia artysty" sugestywnie opowiedzieli tancerze Teatru Wielkiego. Z całą świadomością używam tu określeń „opowiedzieli", godna bowiem uznania jest ich umiejętność takiego użycia środków ruchowych, by służyły one przekazaniu nie tylko fabuły, ale irracjonalnych doznań psychicznych. Na konto kreacji może zapisać partię Dziewczyny **Ewa Wycichowska.** Liryczna i pełna tragizmu, łagodna i drapieżna, promieniująca dobrocią i szydercza była ta stworzona przez nią postać. Wykraczająca poza granicę poprawności technika dopełniła szczegółem to, co konturem zarysował kompozytor. Podobnie wysoko ocenić należy **Jerzego Piętkę** w partii Młodzieńca. Wszystkie romantyczne porywy i wewnętrzne sprzeczności, subiektywizm uczuć i przeżyć i wreszcie cały tragizm kreowanej postaci przekazał on nie tylko precyzją techniczną. Uczynił to także w sposób świadczący o zrozumieniu jej psychologicznej głębi.

O ile „Symfonia fantastyczna" jest wyrazem wewnętrznych, subiektywnych przeżyć jednostki, wyrazem emocjonalnych i estetycznych doznań artysty, o tyle „Szeherezada" Rimskiego-Korsakowa stanowiąca drugą część baletowego wieczoru jest prowadzoną wprost opowieścią o zdarzeniach. Opowieścią, która dopiero w finale przynosi filozoficzne uogólnienie podkreślające najwyższą wartość najgłębszych ludzkich uczuć. Inspiracją były tu dla twórcy baśnie dalekiego wschodu z ich urzekającą egzotyką. Dla oddania wschodniego kolorytu skomponował Rimski-Korsakow muzykę pełną zaskakujących kontrastów z wyraźnie zaznaczonymi wschodnimi motywami melodycznymi Łagodne motywy muzyczne przeplatają się tutaj z rozwiązaniami bardzo dynamicznymi. Utwór zaskakuje pełnią barw, muzycznym, ostrym blaskiem i miękkim cieniem. One właśnie oddają bajkowy, kolorowy świat. Nimi rysuje kompozytor podstawowe ludzkie uczucia: miłość i zazdrość, gniew i czułość. Całą rozmaitość tych uczuć oplecionych nicią tajemniczości przekazała orkiestra świetnie prowadzona przez Tomasza Kozłowskiego. Układy choreograficzne Przemysława Śliwy urzekały czystością i precyzyjnym rysunkiem. Kolorowy świat baśni roztoczył przed naszymi oczami skomponowaną przez siebie scenografią Jan Bernaś. Dramatyczną opowieść o miłości, czułości i zdradzie skonkretyzowali w tańcu **Anna Fronczek** (pełna łagodnego wdzięku Szeherezada), **Liliana Kowalska** — jako niewierna żona (jej taniec skrzył się niebezpieczną zmiennością uczuć). **Kazimierz Wrzosek** świetny w roli Sułtana partią tą potwierdził raz jeszcze swoją najwyższą klasę baletową. Na ten hiragan braw, jakimi rolę Sułtana przyjęła zgromadzona na sali publiczność zasłużył sobie artysta cała pełnią nadzwyczaj celnej i pięknej interpretacji.

„Wieczór baletowy" w Teatrze Wielkim gorąco polecam wszystkim miłośnikom baletu i dobrej muzyki. Niezbyt często teatr ten przedstawiał nam w swej niedawnej przeszłości równie ciekawe propozycje artystyczne. Tę pierwszą, jesienią przybyłą jaskółkę traktujemy jako zapowiedź wiosny.

EWA PANKIEWICZ

KULTURA

TYDZIEŃ KSIĄŻKI POSZUKIWANEJ

Niedawno w „Wieczorze z Dziennikiem" telewizja polska pokazała imponującą kolejkę stojącą przed księgarnią „WSPÓŁCZESNĄ" w Bydgoszczy. Ta księgarnia już od dłuższego czasu organizuje „Tydzień Książki Poszukiwanej", umożliwiając swoim klientom nabycie wielu cennych publikacji. Impreza bydgoska zdobyła sobie trwałe uznanie czytelników i popularność w kraju.

Nie wszyscy jednak wiedzą, że podobną imprezę mamy również w Łodzi. Od trzech lat księgarnia „Współczesna" mieszcząca się przy al. Kościuszki 106/116 organizuje u siebie również „Tydzień Książki Poszukiwanej". W tym roku impreza ta rozpoczyna się 30 listopada i trwać będzie do 7 grudnia. Dla swoich klientów księgarnia „Współczesna" przygotowała 580 atrakcyjnych tytułów. Są wśród nich książki o tematyce społeczno-politycznej, literatura piękna, publikacja o literaturze i języku, książki o sztuce, literatura dla dzieci i młodzieży, słowniki i encyklopedie, podręczniki do nauki języków obcych, literatura science fiction i kryminalna, książki kucharskie, kalendarze.

„Odgłosy" od trzech lat towarzyszą imprezie organizowanej przez księgarnię „Współczesną". Również i w tym roku pragniemy zachęcić do odwiedzenia podczas trwania „Tygodnia Książki Poszukiwanej" księgarni przy al. Kościuszki 106/116. Aby ułatwić zakupy przedstawiamy niektóre tytuły, jakie można będzie nabyć w księgarni „Współczesnej".

Miłośnikom literatury pięknej przypominamy, że wśród wielu atrakcyjnych publikacji można będzie znaleźć następujące pozycje:

K. O. Borchardt — „Znaczy kapitan".

E. Caldwell — „Sługa boży".

J. Cortazar — „Opowiadania zebrane".

M. Dąbrowska — „Noce i dnie".

M. Druon — „Królowie przeklęci" — 5 tomów.

L. Feuchtwanger — „Lisy w winnicy".

H. W. Geissler — „Odyseusz i kobiety".

S. Mrożek — „Utwory sceniczne nowe".

J. Iwaszkiewicz — „Sława i chwała".

„Opowieści niesamowite. Groza i niesamowitość w prozie rosyjskiej XIX i początku XX wieku".

M. Rodziewiczówna — „Dewajtis".

Z. Safjan — „Pole niczyje".

W. Żukrowski — „Kamienne tablice".

„Tydzień Książki Poszukiwanej" rozpoczyna się bezpośrednio po dekadzie książki społeczno-politycznej i stworzy okazję do dalszego zainteresowania publikacjami z cyklu „Człowiek — Świat — Polityka". Na półkach księgarni „Współczesnej" można będzie w tym czasie znaleźć m. in. takie pozycje:

A. Błok — „Ostatnie dni caratu".

J. Symonides — „Międzynarodowa ochrona praw człowieka".

J. Gajewski — „Canaris".

E. Osmańczyk — „Rzeczpospolita Polaków".

W. Sokorski — „Ludzie i sprawy".

Wśród książek dla dzieci i młodzieży warto zwrócić uwagę na tytuły:

J. Ch. Andersen — „Baśnie".

K. Makuszyński — „Bezgrzeszne lata".

B. Orłowski — „Księga wynalazków".

H. Sienkiewicz — „W pustyni i w puszczy".

J. Tuwim — „Lokomotywa".

M. Twain — „Królewicz i żebrak".

Z. Nienacki — „Pan Samochodzik i zagadki Fromborka".

J. Przymanowski — „Czterej pancerni i pies".

Nie jesteśmy w stanie wymienić nawet części tytułów książek, które oczekują na czytelników interesujących się nauką języków obcych, uzupełniających swoje zbiory o różnego typu encyklopedie, słowniki i atlasy, zajmujących się motoryzacją, majsterkowaniem i uprawiających różne hobby. Znajdą oni w księgarni „Współczesnej" popularne poradniki i wydawnictwa poszerzające ich wiedzę i umiejętności. Dla pań przygotowano natomiast poradniki ułatwiające szydełkowanie, haftowanie, szycie, sporo interesujących pozycji przygotowano również dla amatorów kulinarnego eksperymentowania. Znajdą oni książki zawierające przepisy różnych egzotycznych kuchni.

Nie wymienimy też tytułów książek oczekujących na amatorów literatury science fiction i sensacyjnej. Niech wizyta w księgarni „Współczesnej" będzie dla nich niespodzianką. Wszystkim miłośnikom książki życzymy przyjemnej lektury.

KOMUNIKAT

Zarząd Główny SZSP przy współudziale redakcji „Nowego Medyka" ustanowił doroczne wyróżnienie literackie za DEBIUT POETYCKI (książkowy) studenckiego twórcy, bądź związanego z działalnością kulturalną SZSP, o wybitnych walorach artystycznych i ideowych. Wyróżnienie przyznaje specjalne jury powołane przez ZG SZSP i redakcję „Nowego Medyka".

W tym roku Medal im. Stanisława Grochowiaka zostanie wręczony po raz drugi podczas V Ogólnopolskiego Seminarium Literackiego odbywającego się w dniach 18—19 grudnia br. w Klubie „Hybrydy".

Jury brać będzie pod uwagę kandydatury zgłaszane przez jego członków, kluby i grupy poetyckie, zespoły artystyczne oraz indywidualnie przez poetów i miłośników poezji Stanisława Grochowiaka. Zgłoszenia prosimy nadsyłać pod adresem redakcji „Młodego Medyka", ul. Oczki 7. 02-007 Warszawa — do dnia 10 grudnia br. Jury rozpatrywać będzie debiuty wydane w 1977 roku.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

EUGENIUSZ IWANICKI

KOMU DOMEK JEDNORODZINNY?

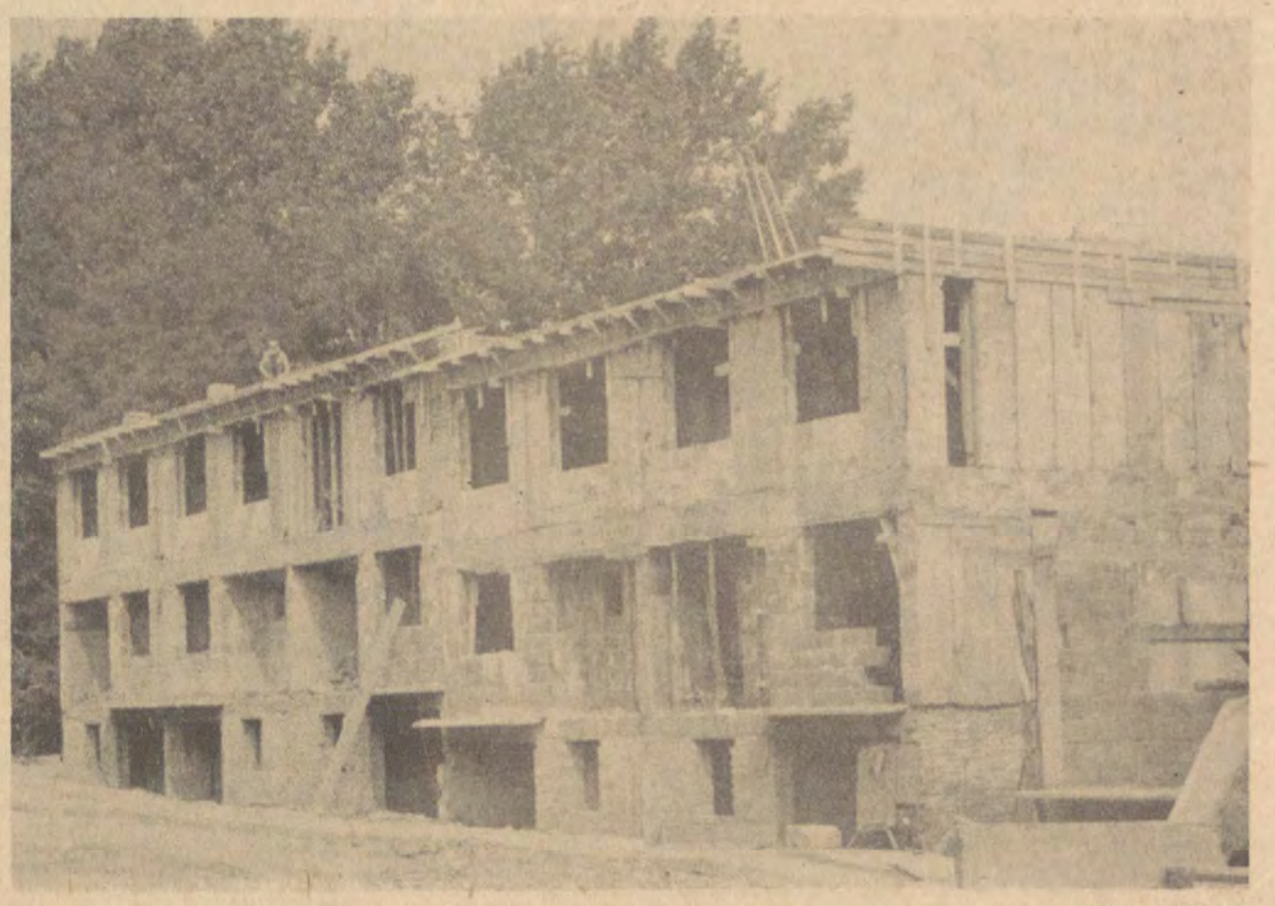

Foto: Archiwum

Jest nieziszczalnym marzeniem dla setek tysięcy rodzin skazanych na bloki-mrówkowce; stanowi pragnienie ludzi odchodzących na emeryturę; bywa celem życia dla artystów, pisarzy i działkowiczów. Domek jednorodzinny stał się symbolem niezależności i pewnego, wcale wysokiego, standardu życiowego. W dobie wysokościowej architektury, dość skromnych powierzchni mieszkaniowych i braku zajęć rekreacyjnych po pracy, posiadanie własnego, przestrzennego mieszkania oraz sporego ogrodu sprawia, że ludzie coraz częściej zaczynają interesować się budownictwem jednorodzinnym. W większości przypadków sprawa kończy się na owym zainteresowaniu. Bowiem koszt takiego domku praktycznie przekracza możliwości finansowe większości obywateli.

W Łodzi budową takich domków zajmuje się **Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa Zakład Budowlano-Remontowy.** Mgr inż. arch. **Jadwiga Heyda** z Zakładu Projektowania i Usług Inwestycyjnych **„Inwestoprojekt"** Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Łodzi opracowała sześć typów projektowych. Każdy z domków posiada garaż oraz wszystkie instalacje włącznie z ciepłą wodą użytkową. Przy każdym domku będzie ogródek o powierzchni od 90 m kw. do 300 m kw.

Zakres budownictwa jednorodzinnego wbrew pozorom, stanowi duży udział w budownictwie mieszkaniowym ogólnym. W latach ubiegłych budownictwo to było realizowane indywidualnie w oparciu o własne siły użytkownika oraz, o nie zawsze najlepsze, wzory projektowe. Toteż wybudowanie własnego domku jednorodzinnego nie zawsze odbywało się w nakreślonych terminach, bowiem z reguły na przeszkodzie stawał brak odpowiednich rzemieślników i materiałów budowlanych.

Wychodząc naprzeciw indywidualnym potrzebom, spółdzielczość mieszkaniowa podjęła decyzję o rozwoju własnych mocy produkcyjnych i została zobowiązana do realizacji budownictwa jednorodzinnego w formie zorganizowanej. W Łodzi w 1975 r. Spółdzielnia Mieszkaniowa „Osiedle Młodych" otrzymała lokalizację na terenie osiedla „Pienista" i rozpoczęła przygotowania do budowy takich domków systemem tzw. gospodarczym.

W ramach Zakładu Budowlano-Remontowego spółdzielni wydzielono ekipę, która przystąpiła, po otrzymaniu lokalizacji i przejęciu terenu, do zagospodarowywania pierwszego dużego osiedla domków jednorodzinnych w Łodzi. Osiedle to zostało zaprojektowane pomiędzy ulicami Obywatelską, Pienistą a Komandorską, tj. wzdłuż torów kolejowych Łódź — Wrocław, po przeciwnej stronie Retkinii. Osiedle składać się ma z 325 domków. Jest to zabudowa szeregowa polegająca na tym, że każdy tzw. zestaw składa się z 3, 4, 5 lub 10 domków. Każdy domek posiada średnio 108 m kw. powierzchni. W części nazywanej podpiwniczeniem znajduje się garaż oraz pomieszczenia gospodarcze. Na parterze duży pokój o pow. 28 m kw., aneks jadalny 9,5 m kw., kuchnia ze spiżarnią oraz W.C. Na piętrze 4 pokoje, W.C., łazienka i przedpokój. Ponadto posiada jeszcze balkony i tarasy. Wkład budowlany został ustanowiony w wysokości 140.000 zł lub 160.000 zł w zależności od typu domku. Po uregulowaniu wkładu członek może otrzymać kredyt bankowy na okres 30 lat. Kredyt ten może być umorzony: 1. przy wpłacie zadłużenia przed zasiedleniem — 40 proc. zadłużenia, 2. przy spłacie zadłużenia w okresie 5 lat — 30 proc. zadłużenia, 3. przy spłacie zadłużenia w okresie 10 lat — 20 proc. zadłużenia.

Drugie duże osiedle domków jednorodzinnych powstanie na Teofilowie przy ul. Rojnej. Będzie to zabudowa szeregowa, łańcuchowa i atrialna. Różnica między zabudową szeregową i łańcuchową polega na tym, że w szeregowej domek stoi obok domku na tej samej wysokości, przy łańcuchowej domek od domku jest oddzielony garażem. Jeśli chodzi o rozwiązanie projektowe, to na osiedlu Rojna budynki będą budowane z Wytwórni Elementów Domków Jednorodzinnych, której budowę już rozpoczęto przy ul. Nowotomaszowskiej na osiedlu Dąbrowa-Bis. Pierwsze prace na Rojnej rozpoczną się w przyszłym roku. Stanie tu 170 domków jednorodzinnych.

Na dobrą sprawę budowa domków na osiedlu „Pienista" powinna być już zakończona. Niestety na sposób prac zaważył fakt, że nie dokonano tam wyprzedzającego uzbrojenia terenu, a po wtóre, rozwiązanie projektowe, które zakładało zastosowanie tzw. dyli gazobetonowych z wytwórni w Gorzkowicach, nie mogło być realizowane, gdyż wytwórnia odmówiła wykonywania tych elementów. A więc trzeba było powrócić do metody tradycyjnej. Należy tu wspomnieć, że pierwszymi pracownikami na tym osiedlu byli członkowie ZSMP z „Elty", którzy pierwsi rozpoczęli kopanie ziemi i wbijanie kołków.

W dniu 1 stycznia 1976 r. powstało Przedsiębiorstwo Budownictwa Jednorodzinnego przy Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Zbiegło się to z powstaniem Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej w miejsce dawnego Centralnego Związku Budownictwa Mieszkaniowego Oddział w Łodzi. Powstało więc przedsiębiorstwo, którego zalążkiem stał się Zakład Budowlano-Remontowy „Osiedla Młodych". Aktualnie przedsiębiorstwo zatrudnia 350 osób i zajmuje się realizacją budownictwa jednorodzinnego, a także realizacją budownictwa wielorodzinnego systemem gospodarczym przy udziale patronackim ZSMP (aktualnie buduje taki budynek o 16 mieszkaniach przy ul. Karolewskiej nr 37, który ma być przekazany do użytku jeszcze w tym roku. Jest to budynek powstały do spółki z biurem LOCUM i mieszkania w nim będą sprzedawane na zasadach mieszkań własnościowych za złotówki bądź też za dewizy).

Realizacja budowy domków na osiedlu „Pienista" napotykała na duże trudności. A więc brak wspomnianego już uzbrojenia terenu, a także niemożność wykonywania budowy systemem uprzemysłowionym, co pociągnęło za sobą zatrudnienie dużej liczby wysoko wykwalifikowanych rzemieślników. Pod koniec ubiegłego roku sprawę zatrudnienia rzemieślników udało się rozwiązać. Po prostu nastąpiło porozumienie z zakładami wytwarzającymi elementy budowlane, a mieszczącymi się przy ul. Wieniawskiego na dostarczenie dyli gazobetonowych, z których montuje się ściany, choć płyty stropowe nadal układa się z płyt kanałowych. Najpoważniejszym jednak mankamentem był brak wyprzedzającego uzbrojenia terenu na osiedlu „Pienista". W 1976 roku mimo licznych interwencji u władz miasta, a także u wykonawców wskazanych przez władze miasta do przeprowadzenia uzbrojenia, właściwie do realizacji nie doszło. Na całym osiedlu została jedynie uzbrojona ulica Falista prowadząca do pięciu budynków wybudowanych w ubiegłym roku na skraju osiedla domków jednorodzinnych. Nie rozwiązało to jednak problemu.

— Uzbrojenie jest potrzebne w poszczególnych uliczkach, przy których są zlokalizowane domki — mówi dyr. Zakładu Budowlano-Remontowego WSM w Łodzi **Tadeusz Pabin.** — Dopiero w drugiej połowie ub. roku rzucono większe siły na teren osiedla i obecnie trwa proces uzbrajania pozostałych uliczek. Spowodowało to sytuację dość szczególną: aktualnie jest rozpoczęta budowa 200 domków na osiedlu „Pienista" o różnym stopniu zaawansowania. Z domków już przygotowanych do zasiedlenia żaden nie został przekazany użytkownikom, gdyż do tej pory nie podłączono ani c.o., ani wody, gazu czy elektryczności.

Na obecnym etapie realizacji osiedla obok już wybudowanych domków wykonuje się uzbrajanie terenu, co powoduje niebywałe spiętrzenie robót.

Na ostatnim posiedzeniu Sejmowej Komisji d/s Budownictwa i Gospodarki Komunalnej mówiono, że główną przeszkodą w budownictwie jest fakt opóźnionego wykonywania robót uzbrojeniowych. Przytaczano przykłady, z których wynika, że średnia ilość robót uzbrojeniowych realizowanych równolegle z robotami kubaturowymi ciągle rośnie i dochodzi na niektórych osiedlach do 40 i więcej procent. Na osiedlu „Pienista" 80 proc. budownictwa uzbrojeniowego jest realizowane równocześnie z pracami kubaturowymi. Sądzę, że jest to swoisty rekord.

Zakres prac prowadzonych przez WSM Zakład Budowlano-Remontowy ogranicza się do wykonywania robót kubaturowych oraz wszelkich instalacji wewnętrznych i przyłączy. Nie są natomiast specjalistami mogącymi prowadzić tzw. głębokie uzbrojenie (woda gaz, kanalizacja), wymagającymi zatrudnienia wyspecjalizowanych robotników oraz posiadanie specjalistycznego sprzętu. Toteż Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa jest jednym z wykonawców, bowiem na osiedlu pracują także inne wyspecjalizowane przedsiębiorstwa: Kombinat Robót Drogowych (woda i kanalizacja), Mazowieckie Zakłady Gazownictwa (gaz) oraz Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Instalacji Elektrycznych i Ciepłowniczych (elektryczność i c.o.).

Budowa osiedla „Pienista" przyniosła budowlanym dość smutne doświadczenia, w wyniku których przy budowie domków jednorodzinnych na Rojnej być może uniknie się tamtych niedopatrzeń i niedociągnięć. Niestety, przygotowania terenu już zostały opóźnione o rok. Domki mają być montowane z elementów otrzymywanych z Wytwórni Domków Jednorodzinnych, która ma wytwarzać je na potrzeby tego budownictwa. I tu powstaje problem: zakładano, że uruchomienie technologiczne wytwórni nastąpi pod koniec 1977 r. Jest zawarta umowa z generalnym wykonawcą „Chemobudową". Przewiduje ona zakończenie budowy wytwórni do końca 1978 r. W tej wytwórni mają być wykonywane elementy nie tylko betonowe (w hali głównej) ale ma być produkcja pomocnicza, taka jak stolarka, malowanie, prace ślusarskie. Jednakże jeśli budowa samej wytwórni będzie przebiegać w takim tempie jak dotychczas, nie ma mowy by cokolwiek tu produkować w najbliższych dwóch latach. Stan jest taki: na 47 mln zł planowanych na rok bieżący „Chemobudowa" wraz z podwykonawcami wykonała zaledwie 22 mln zł, a ponadto z tych 47 mln zł jednostronnie obniżyła plan do 31 mln zł. Ale wykonanie tych 31 mln zł jest także pod znakiem zapytania. Jako inwestor Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa w Łodzi Zakład Budowlano-Remontowy dostarczył w odpowiednim czasie wszelkie urządzenia i maszyny sprowadzone z Danii (linia technologiczna została opracowana przez duńską firmę Thomas Smith i przedstawiciele tej firmy dokonali już wszelkich możliwych montaży maszyn i urządzeń, jakie na tym etapie budowy można było wykonać). Niestety, Duńczycy musieli przerwać pracę i powrócić do swojego kraju, gdyż brak osłony hali głównej oraz brak instalacji elektrycznej w hali uniemożliwił ich dalsze prace. A termin montażu maszyn i urządzeń został ustalony z Duńczykami na koniec grudnia br. Prawda jest taka, że obecnie na placu budowy pozostała jedynie „Hydrocentrum". A gdzie są inni? Nikt nie pracuje przy podłączaniu c.o. by doprowadzić parę technologiczną, nikt nie pracuje nad instalacją wewnętrzną hali by można było dokonać montażu maszyn i urządzeń. Podwykonawcy, z którymi jest zawarta umowa, na budowę nie przybywają. W tej sytuacji uruchomienie Wytwórni Domków Jednorodzinnych w przyszłym roku pozostaje pod znakiem zapytania. Spowoduje to sporo zamieszania, bo przecież w 1978 r. WSM ma rozpocząć budowę 170 domków na osiedlu „Rojna". Jest to warunek wykonania 5-letniego planu budowy domków jednorodzinnych dla województwa miejskiego łódzkiego zakładającego wybudowanie w pięciolatce 1.400 takich domków.

A teraz należy odpowiedzieć na postawione w tytule niniejszego artykułu pytanie: komu domek jednorodzinny? Prezes Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej **Stanisław Karbowy** powiedział, że do października br. zapisało się zaledwie 390 osób gotowych zapłacić te, bagatela! 900 tys. zł za domek. Więc dla kogo? Spółdzielnia bardzo liczy na zakłady pracy, które mogą realizować budownictwo jednorodzinne poprzez udział swoich pracowników na budowie. Zakład może dostarczyć sprzęt, transport, udzielić pożyczki. W ramach tej pomocy zakłady pracy mogą zawierać z Zakładem Budowlano-Remontowym WSM odpowiednie umowy o pomoc w realizacji budownictwa jednorodzinnego. Ustępstwa ze strony WSM idą nawet tak daleko, że zakład pracy może przyjąć do wykonania pewien fragment domków czy pewien rodzaj robót, delegując do tego swoich pracowników. Za „wypracowanie" 500 tys. zł tzw. „przerobu" zakład otrzymuje jako rekompensatę albo domek jednorodzinny albo prawo do otrzymania poza kolejnością jednego mieszkania w budownictwie spółdzielczym na zasadach lokatorskich.

Obecnie zawierane są takie porozumienia z Fabryką Osprzętu Samochodowego „Polmo" w Łodzi, Zakładami Przemysłu Pasmanteryjnego „Lenta", Zjednoczonymi Tkalniami Jedwabiu „Brokat" w oparciu o które, jeden pracownik tych zakładów po przepracowaniu 1.500 roboczo-godzin przysporzy zakładowi jedno mieszkanie w systemie lokatorskim lub domek jednorodzinny. Propozycja ta wszakże nie jest rzeczą nową. Parę lat wstecz, zakładów chętnych do takiej współpracy było wiele, ale gdy doszło do konkretnych ustaleń i realizacji, na „placu boju" pozostał jedynie „Uniprot" oraz częściowo Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Instalacji Elektrycznych i Ciepłowniczych. Inni wycofali się. Jest nadzieja że zakłady „Majed" rozpoczną dobra passę tej współpracy, bowiem niedługo zostanie zawarte porozumienie z WSM o budowie 15 domków dla tego zakładu. „Majed" sam chce wykonać roboty kubaturowe i stawia warunek, który WSM przyjęła, że jeśli koszt ich realizacji będzie tańszy od kosztów Zakładu Budowlano-Remontowego wówczas rozliczenie tych domków będzie odbywać się wg faktycznie poniesionych kosztów przez zakłady „Majed". Sądzę, że jest to jedna z dobrych form, gdyż zakłady pracy mogą nie tylko dysponować własną siłą roboczą ale także mogą posiadać własne materiały budowlane.

Na zakończenie parę słów o Zakładzie Budowlano-Remontowym Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Łodzi. Pracują tu specjaliści o wysokich kwalifikacjach, ludzie sprawdzeni w czasie wieloletniej pracy na budowach dobrzy fachowcy. Szczególnie w budownictwie jednorodzinnym są potrzebni najrozmaitszy specjaliści, autentyczni rzemieślnicy znający się na pracy. Weźmy choćby takie tynki: w budownictwie spółdzielczym robi się tzw. „przecieki" (są to tynki prawie milimetrowe), natomiast w budownictwie domków jednorodzinnych tynki kładzie się metodą tradycyjną, stąd wymagane są duże kwalifikacje od tynkarzy. Albo praca przy wejściach o różnych poziomach, schodach itp.

W trakcie dwuletniego swego istnienia Zakład Budowlano-Remontowy wychował wielu dobrych specjalistów, zgromadził fachowców z kilku dziedzin przydatnych w budownictwie. Wystarczy wymienić **Jana Borka** — murarza, **Czesława Chmielewskiego** — brygadzistę brygady betoniarskiej, **Stanisława Kwiatkowskiego** — mistrza robót instalacyjnych, operatorów dźwigowych — **Lecha Fortuniaka, Władysława Górskiego** i **Ryszarda Wrzesiaka**, czy **Janinę Kryzińską** — sprzątaczkę, dbającą o to by przemarznięta załoga miała na czas gorącą kawę czy herbatę.

Myślę, że sprawa budowy zarówno samych domków jednorodzinnych jak i Wytwórni Domków Jednorodzinnych, ma dość istotne znaczenie dla naszego miasta. Widzę tu przede wszystkim szansę dla zakładów pracy, które powinny partycypować w kosztach budowy pomagając w ten sposób swoim pracownikom chcącym otrzymać w przyszłości taki domek. Na powszechny i tłumny akces odbiorców indywidualnych raczej nie ma co liczyć.

Foto: W. Malek

Ryszard Binkowski

ZRÓWNANIE

Przez setki lat wieś polska była żywicielem narodu, lecz nigdy nie korzystała z tych zdobyczy cywilizacyjnych, kulturalnych, socjalnych i nie osiągnęła tych praw obywatelskich, co pozostałe grupy społeczne. Działo się tak z wielu przyczyn, lecz żeby nie zagłębiać się w historię dawną, sięgnijmy tylko do przykładów z okresu przedwojennego.

Wieś z tego okresu była siedliskiem zacofania, analfabetyzmu, chorób, biedy, niesprawiedliwości społecznej. Chłopi wprawdzie usiłowali walczyć o swoje prawa, ale nie potrafili osiągnąć wówczas nawet tych, co klasa robotnicza, ponieważ nie mogli należycie się zorganizować: ludzie rolniczego trudu pracowali w ogromnej fabryce pod gołym niebem, rozrzuconej na kilkuset tysiącach kilometrów kwadratowych.

Wieś była przeludniona, albowiem słabo rozwinięty przemysł nie mógł wchłonąć zbędnych rąk do pracy. I tak dziesiątka par oczu patrzyła na jeden krowi ogon, zapałkę dzielono na czworo, a hektar ziemi na pięć nędznych klinów.

Dzięki narodzinom władzy ludowej nastąpił pierwszy, historyczny akt zrównania: reforma rolna i ustawa o uwłaszczeniach. Za nim poszły dalsze pociągnięcia, prowadzące do zrównania wsi z miastem. Młodzież wiejska uzyskała szeroki dostęp do szkół wszystkich stopni, zlikwidowano analfabetyzm, a przemysł zaczął wyciągać z chłopskich zagród tych, dla których nie warto było dzielić gospodarki. Narastała migracja do miast, wieś wyludniała się i starzała. Dlaczego? Bo zawód rolnika nie zyskiwał na intratności. Kiedy w świecie problem wyżywienia stał się zagadnieniem numer jeden, u nas nadal obowiązywały dostawy obowiązkowe, a ceny na płody rolne w ramach tych dostaw były niezwykle niskie, co zniechęcało rolników do utrzymania produkcji na właściwym poziomie.

W roku 1970 nowe kierownictwo partii i rządu innym okiem spojrzało na polską wieś: dla rolnictwa zapaliło się zielone światło.

Od siedmiu lat następuje sukcesywny i wydatny wzrost świadczeń socjalnych dla mieszkańców wsi oraz poprawa warunków ekonomicznych, które w sumie doprowadzają do zrównania dochodów i poprawy warunków życiowych.

Przypomnijmy, iż w tym okresie m. in. zlikwidowano obowiązkowe dostawy i kilkakrotnie podwyższano ceny skupu artykułów rolnych.

W roku 1971 zostały podniesione emerytury przyznawane rolnikom zdającym swoje gospodarstwa państwu. Państwo przeznaczyło na ten cel 338 mln zł.

W roku 1974 kosztem 1,5 mld zł emerytury te podniesiono o dalsze 50 proc.

Wcześniej nastąpił jeden z najważniejszych aktów w polityce społecznej obecnego dziesięciolecia: od 1 stycznia 1972 roku cała ludność rolnicza objęta została bezpłatną opieką lekarską. Ta decyzja, stanowiąca ogromny krok naprzód w zacieraniu różnic między miastem a wsią, kosztowała państwo już w pierwszym roku 1,1 mld zł.

Na IV Plenum KC PZPR przywódca Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i narodu polskiego — Edward Gierek wystąpił z inicjatywą emerytalnego zabezpieczenia na starość rolników, którzy wnieśli ogromny wkład w rozwój naszego kraju. W wyniku VI Plenum rząd opracował założenia systemu emerytalnego, które poddano powszechnej konsultacji na wsi.

Sprawą tą żyła wieś od dwóch lat, tzn. od chwili zapowiedzi na IV Plenum. W trakcie dyskusji wysuwano różne uwagi, wnioski i opinie. Na ręce I Sekretarza KC PZPR, do instancji partyjnych, redakcji środków masowego przekazu, urzędów gminnych i wojewódzkich napływały tysiące listów ze słowami podziękowań od rolników oraz z prośbą o najszybsze urzeczywistnienie postanowień partii i rządu.

27 października br. miało miejsce wydarzenie, które zapoczątkuje nowy okres w życiu wsi polskiej: Sejm uchwalił ustawę o zaopatrzeniu emerytalnym rolników i ich rodzin. Był to akt historyczny, który w znaczeniu politycznym i społeczno-ekonomicznym jest równy reformie rolnej i ustawie uwłaszczeniowej.

Zawarte w ustawie rozwiązania, m. in. szereg świadczeń socjalnych, jak dodatki rodzinne dla osób będących na utrzymaniu emeryta, dodatki na dzieci kalekie, odszkodowania z tytułu wypadków przy pracy i chorób zawodowych, zasiłki chorobowe i porodowe, wyprzedzają podobne przepisy w krajach najwyżej rozwiniętych. I dlatego polska ustawa wzbudziła duże zainteresowanie w Międzynarodowej Organizacji Pracy.

Ale, rzecz jasna, ta norma prawna, zrównująca wieś z miastem, największy oddźwięk znalazła w kraju. Warto więc zatrzymać się przy najistotniejszych punktach ustawy, właśnie przy tych, które przyjęto ze szczególną aprobatą.

Najniższa emerytura wynosić będzie 1500 zł, a więc nie odbiegnie wcale od wysokości emerytury pracowników zakładów uspołecznionych.

W wyniku ustawy nowego znaczenia nabiera pojęcie „wolnego zawodu", jakim określano dotąd rolnictwo. Rolnik korzystający ze świadczeń socjalnych na równi z zatrudnionymi w przedsiębiorstwach państwowych nie jest już przedstawicielem wolnego zawodu w dotychczasowym tego słowa znaczeniu.

Wiadomo, że rodzice, obawiając się o swoją przyszłość, nie zawsze przekazywali ziemię dzieciom w decydującym okresie. Trzymali grunt jak najdłużej, a że sił brakowało, gospodarka podupadała. W świetle ustawy ten rolnik, który rozpocznie prowadzenie gospodarstwa przed ukończeniem 35 lat życia, zwolniony jest od obowiązku płacenia składek na fundusz emerytalny przez okres pięciu lat. Jest to niewątpliwie duży bodziec do przekazywania gospodarstw następcom w dobrym stanie, dzięki czemu młodzi mają szanse na szybki rozwój produkcji w gospodarstwie.

Warsztat pracy rolnika zawsze był warsztatem rodzinnym. W gospodarce pracowali mąż i żona, dzieci, wnukowie, dziadkowie. Głęboko przemyślane jest więc postanowienie, że emeryturę należy przyznać obojgu małżonkom wraz z przysługującymi dodatkami i świadczeniami dla dzieci, wnuków i rodzeństwa.

Aby uzyskać emeryturę, rolnik musi wyprodukować i sprzedać państwu rocznie produkty rolne o wartości nie mniejszej niż 15 tysięcy złotych. Jest to rozwiązanie słuszne, ponieważ mamy w kraju tysiące gospodarstw drobnych, o powierzchni 2—5 ha. Chodzi o to, aby wszyscy mogli skorzystać z emerytur. Czy jest to możliwe? Na pewno. Jeśli bowiem weźmie się pod uwagę obecne ceny skupu chociażby czterech zbóż (400—500 zł za kwintal) i wysokość plonów (średnio 30 q/ha), to łatwo wyliczyć, że właściciel dwuhektarowego gospodarstwa może śmiało wyprodukować zboże za 15 tys. zł.

Można również przewidywać, iż ustawa zainteresuje w sposób szczególny tzw. dwuzawodowych. Jeśli pracujący w fabryce właściciel pięciohektarowego gospodarstwa będzie miał zapewnione te same warunki, co w zakładzie, to kto wie, czy nie zechce poświęcić się wyłącznie gospodarce. Będzie kalkulował: Na pięciu ha utrzymam cztery krowy, za mleko dostanę 60 tys. rocznie, mam więc dobrą pensję i emeryturę.

Specyfika pracy na roli powoduje, że często mimo zabiegów agrotechnicznych, dobrego nawożenia, sumienności i pracowitości, rolnik nie osiąga spodziewanych plonów. Po prostu uniemożliwiają to warunki pogodowe. Gdyby więc wzorem zakładów pracy wysokość emerytury obliczano według średniej zarobków z ostatniego roku i gdyby ten rok w rolnictwie był „chudy", rolnik byłby niewątpliwie poszkodowany. Dlatego też podstawą do wymiaru emerytury będzie średnia roczna wartość sprzedanej państwu produkcji na przestrzeni ostatnich pięciu lat przed przejściem rolnika na emeryturę. Przewidziano także, że jeśli obniżenie produkcji w gospodarce spowodowane było klęską żywiołową, wypadkiem losowym lub innymi okolicznościami niezawinionymi przez rolnika, należy powziąć takie rozwiązanie, które by nie krzywdziło przyszłego emeryta. Jakkolwiek więc w naszym ustroju obowiązuje zasada: każdemu według jego pracy, pomyślano też i o odstępstwach.

Ustawa przyczyni się w poważnym stopniu do umocnienia gospodarstw chłopskich. Ojciec nie będzie musiał dzielić ziemi między synów. Może ją przekazać jednemu następcy, który na pewno zadba o gospodarstwo i przyśpieszy jego rozwój.

Na marginesie warto wspomnieć o sprawie mniej zauważanej, lecz posiadającej ogromne znaczenie społeczne i moralne. Otóż poprzez wprowadzenie w życie ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym zginie śmiercią naturalną jeszcze jedno zjawisko, kojarzące się z nędzą, niepewnością, licznymi procesami sądowymi i ludzkimi dramatami; już tylko we wspomnieniach i w literaturze pozostanie pojęcie dożywocia i „wycugowych dziadków".

Ustawa wchodzi w życie z dniem 1 stycznia 1978 roku, ale świadczenia emerytalne i rentowe przewidziane ustawą będą wypłacane w zasadzie od 1 lipca 1980 roku. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę kwestie związane z zabezpieczeniem finansowym ustawy oraz problem utworzenia funduszu emerytalnego rolników. Musi to być rozwiązanie korzystne dla rolników, a jednocześnie odpowiadające możliwościom państwa. Wcześniejsze utworzenie funduszu emerytalnego jest możliwe w oparciu o dotacje z budżetu państwa w 2/3 i 1/3 ze środków pochodzących ze składek rolników, które będą naliczane od przychodowości szacunkowej gospodarstw. Jak oświadczył minister finansów, Henryk Kisiel — koszty, jakie pociąga za sobą ustawa, szacuje się w 1978 roku na 3,2 mld zł, natomiast w 1981 roku sięgną one 21 mld zł, z czego 2/3 tych wydatków, tj. około 14 mld zł, będzie finansowane z budżetu państwa.

Jak widać, realizacja postanowień ustawy będzie ogromnym i trudnym przedsięwzięciem państwa. Ludność rolnicza z wdzięcznością przyjęła fakt wzięcia głównego ciężaru materialnego zabezpieczenia ustawy przez państwo. Obie strony są jednak głęboko przekonane, iż koszty te opłacą się, ponieważ realizacja ustawy spowoduje wzrost aktywności społeczno-produkcyjnej na wsi, lepsze wykorzystanie ziemi, rozwój nowych form gospodarowania oraz lepsze zaspokojenie potrzeb żywnościowych ludności.

Rzecz jasna, że osiągnięcia tych celów nie zabezpieczy sama ustawa. Trzeba stworzyć jeszcze lepszy klimat, aby rolnictwo mogło wejść w fazę pełnego rozwoju. Nie może się zdarzać, żeby środki przeznaczone dla wsi, zwłaszcza węgiel i materiały budowlane, były wykorzystywane na inne cele. Nie wolno dopuszczać do nieracjonalnego i kumoterskiego przydziału maszyn i urządzeń rolniczych, których rolnik często szuka po całym województwie, a jeśli nie znajdzie w porę, to strat nie odrobi. Trzeba też unikać błędów w przekazywaniu ziemi z PFZ przez naczelników gmin. Ziemię musi otrzymać taki użytkownik, który gwarantuje najlepsze jej wykorzystanie.

Dla rolnictwa płonie zielone światło. Ustawa o zaopatrzeniu emerytalnym całkowicie zrównuje wieś z miastem. Zasada równości socjalistycznej jest głównym celem polityki partii i rządu. Ale równe prawa to także równe obowiązki. Należy wierzyć, że rolnicy wywiążą się z tych obowiązków w sposób twórczy i rozumny. Bo dynamiczny wzrost produkcji to nie tylko sprawa honoru wsi — to podstawowy i ważki problem wyżywienia narodu polskiego.

Foto: Archiwum

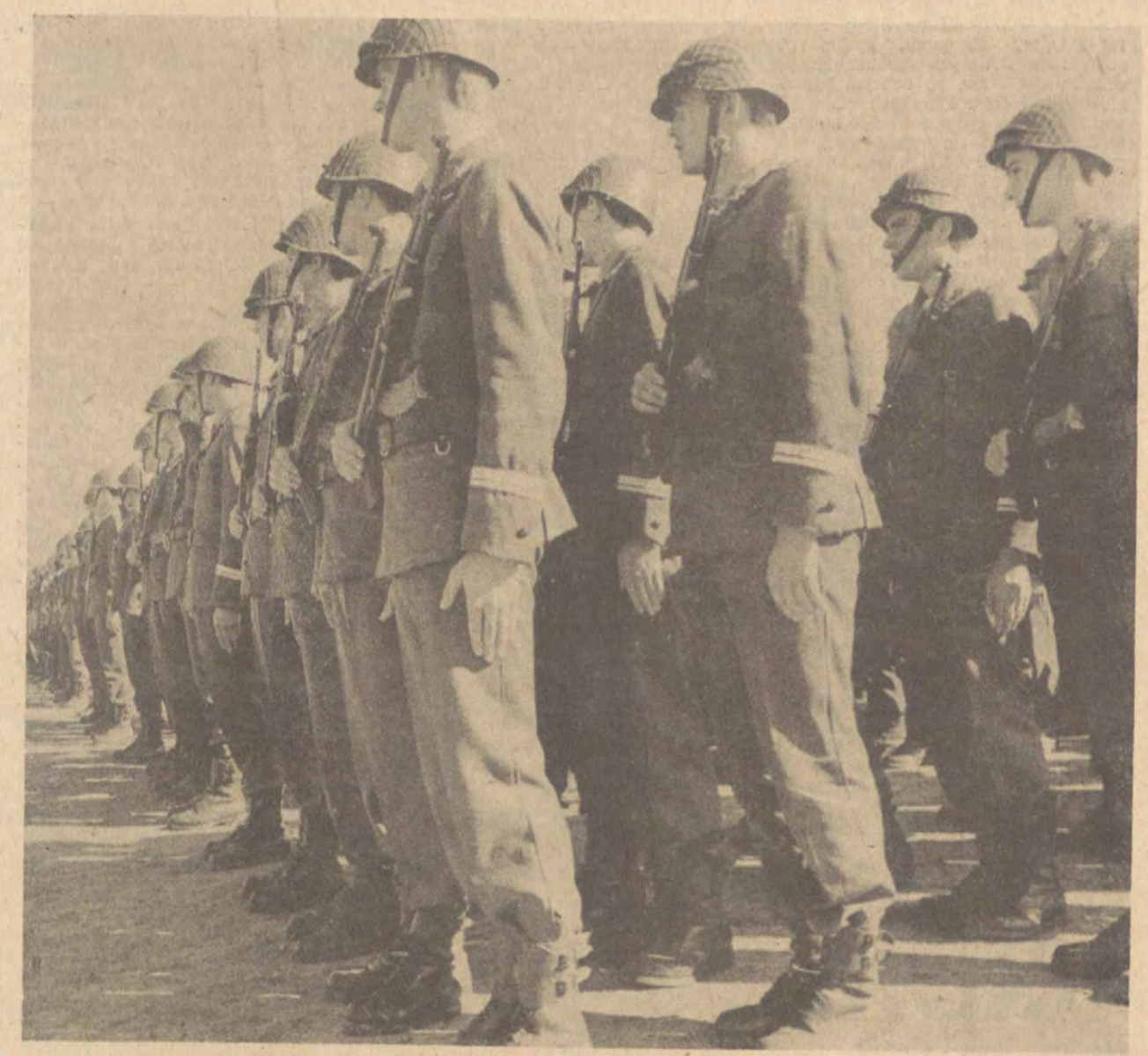

Tomasz Soldenhoff

masz pomysł? – wystąp...

Wielu ludziom, zwłaszcza młodym, wciąż jeszcze nie mieści się w głowie, ile rozmaitych odgałęzień wiedzie z wojskowego życia wprost w „cywilne" życie społeczne i jak ważne jest dla dużego Jana i społeczeństwa w którym żyje to, czego się mały Jaś w wojsku nauczy...

Od Uchwały nr 240 Rady Ministrów z dnia 8 września 1972 roku w systemie szkolenia wojskowego studentów — przyszłych absolwentów i oficerów rezerwy nastąpiły zasadnicze zmiany.

Obecny system składa się z dwóch faz szkolenia: pierwszej — w studiach wojskowych wyższych uczelni (obejmuje ona studentów III roku w wymiarze 180 godzin rocznie) i drugiej — w szkołach oficerów rezerwy i na praktyce dowódczej w jednostkach wojskowych (faza ta trwa rok).

Ale jak teraz przebiega szkolenie w studiach wojskowych, na tym pierwszym etapie wychowywania przyszłych oficerów rezerwy, nie wiedzą dzisiaj często nawet ci, którzy zaledwie przed pięcioma laty opuścili uczelnie...

— — —

Na konferencji naukowej pod hasłem „Wkład szkolnictwa wyższego w kształcenie oficerów rezerwy" zorganizowanej przez Uniwersytet Łódzki w październiku 1976 roku, gen. dyw. dr Zygmunt Zieliński — szef Departamentu Kadr Ministerstwa Obrony Narodowej powiedział m. in.: „Zadaniem studium wojskowego jest, oprócz wstępnego przygotowania wojskowo-obronnego studentów, zintensyfikowanie długofalowego procesu wychowawczego. Proces ten ma na celu rozwijanie wśród nich postaw obywatelskich, poczucia porządku i dyscypliny społecznej oraz systematyczności i wytrwałości w wypełnianiu ciążących na nich obowiązków".

Byłoby nieporozumieniem akcentowanie znaczenia rozwoju tych pozytywnych cech i postaw jedynie z punktu widzenia wąsko pojętych interesów obronnych. Zarówno na wspomnianej tu konferencji, jak i w codziennej praktyce studiów wojskowych, coraz bardziej zwraca się uwagę na szerszą społecznie korzyść: rozbudowywany u młodych ludzi zespół takich cech jak umiejętności organizatorskie, umiejętności współżycia i kierowania ludźmi, jak większa dojrzałość polityczna i poczucie społecznej dyscypliny, znajdują zastosowanie w późniejszej pracy zawodowej i społecznej.

— — —

— Chodzi o to, aby ogólne przygotowanie absolwenta szkoły wyższej: zawodowe, społeczne i polityczne, rozszerzyć o przygotowanie patriotyczno-obronne w oparciu o socjalistyczny model patriotyzmu — mówi kierownik **Studium Wojskowego Uniwersytetu Łódzkiego płk mgr Kazimierz Figurski.** — W kształtowaniu tego modelu musimy zacząć od dyscypliny społecznej.

Chciałbym zwrócić uwagę czytelnika: słowa te wypowiedział zawodowy oficer, ale przecież nie pochodzą one z militarnego słownika. Nie znaczy to jakoby student III roku filologii czy prawa, świetnie rozumiejący i czujący czym jest ta „dyscyplina społeczna", nie musiał jednocześnie umieć składać i rozkładać karabin czy precyzyjnie odróżniać „obejścia" od „oskrzydlenia".

Nic z tego! W Studium Wojskowym Uniwersytetu Łódzkiego nie ma taryfy ulgowej i nawet największy „działacz" nic nie zdziała, jeśli nie będzie mógł wylegitymować się konkretną wiedzą. I zapewne właśnie sukces dydaktyczny Studium Wojskowego, wysoko oceniany także przez studentów system nauczania sprawił, że władze miasta i uczelni obdarzyły tę placówkę zaufaniem dla jej ambicji i prób w działalności społecznej i politycznej.

— — —

Pełny i systematyczny wykład różnych form działania Studium dał mi jego oficer polityczny ppłk mgr **J. Zieliński**, ale zrobiłbym dziennikarski błąd poprzestając na wyliczaniu ilości pomysłów, inicjatyw, akcji... Notując wszystkie te fakty pytałem o stosunek do nich, interesował mnie styl myślenia sprzyjający ambitnym zamierzeniom, sposób w jaki się o nich mówi, atmosfera w jakiej dorobek Studium powstaje.

Styl myślenia... Wiadomo, że bywa on z początku często tylko właściwością jednostek, owych niespokojnych duchów, a potem dzięki ich pasji z jednej strony i doświadczeniu organizacyjnemu z drugiej, udziela się środowisku, zaraża innych.

Tego, że w Studium Wojskowym UŁ nowy styl myślenia zapanował przed trzema laty wraz z objęciem stanowiska kierownika przez płk Kazimierza Figurskiego nie można, pisząc o Studium, ukryć. Nie jest to mój wymysł. Od podobnego stwierdzenia zaczynali rozmowy ze mną oficerowie-wykładowcy, a i studenci podkreślali, iż pułkownik Figurski stawiając na partnerski dialog z młodzieżą nie unika częstych osobistych spotkań (sam pułkownik powiedział mi później: „Młodzi nie lubią fasad, trzeba być po prostu sobą").

Gdybym miał najkrócej scharakteryzować działalność Studium, najpierw użyłbym zapewne określeń „ruchliwość" i „pomysłowość", bo też na każdym kroku w Studium — od wystroju wnętrz: korytarzy i sal wykładowych aż po oficjalne statystyki i pamiątkową księgę Studium, widoczne są przejawy działania niepisanej zasady obowiązującej tak kadrę pracowników jak i studentów: **„Jeżeli masz pomysł, wystąp".**

Ale słuchając relacji o metodach pracy Studium zadałem sobie pytanie, chyba dość istotne: czy pewna, wypracowana już ilość form i metod działania wystarczy temu zespołowi ludzi, czy też będziemy mieli do czynienia z ciągłym poszukiwaniem nowych rozwiązań? Zwłaszcza, że niektórzy z moich rozmówców dawali wyraz przeświadczeniu, iż „teraz należy się skupić na doskonaleniu wypracowanych już form".

— W naukach humanistycznych nie ma spraw raz na zawsze odkrytych, prawd absolutnych ani jedynych metod — odpowiedział na moje wątpliwości płk K. Figurski, zdradzając tym samym charakter swoich zainteresowań naukowych (mój rozmówca jest z wykształcenia magistrem pedagogiki). — W pracy ideowo-wychowawczej mamy w Studium dużo planów i zamierzeń, które sięgają dalej niż dzień dzisiejszy, na obecnym etapie są jeszcze niewykonalne. Dziś wiemy jednak, że to co w tym roku zdaje egzamin, w przyszłym może nie okazać się warte kontynuacji. Dlatego proponujemy szeroką gamę form i nie ograniczamy się do ich doskonalenia. Cenimy sobie każdą nową formę, która daje szansę ukształtowania określonych pozytywnych wartości. Ale też nie hierarchizujemy ich.

— — —

Więc jak to się odbywa? Jak działa mechanizm decyzji?

Płk. Figurski:

— Powiadam do oficerów: trzeba pokazać młodym ludziom piękno akcji honorowego krwiodawstwa, piękno tego humanitarnego aktu, oddania...

Realizację pomysłu biorą w swoje ręce wykładowcy-dowódcy kompanii, potem studenci przez swoich przedstawicieli: grupowych, rady grup, rady kompanii.

A efekt? W roku akademickim 1974/75 na 1573 szkolonych studentów oddało krew (75 litrów) 316 osób. W roku 1976/77 liczba studentów-ochotników wzrosła o 155, a ilość oddanej krwi — o 45 litrów.

— Chcemy tę akcję rozwinąć w „Studencki Bank Krwi" — mówi płk K. Figurski. — Bo też rzecz nie polega na tym, aby sobie pogawędzić o krwiodawstwie. Dzięki zaczątkom „banku", dzięki tej studenckiej krwi, uratowano życie jednemu z pracowników łódzkiej nauki...

Przedstawiony tu mechanizm działa również w innych przypadkach, choć niemniej ważne od pomysłów idących „z góry" są propozycje studentów.

— Od roku działa Studencki Zespół Wychowawczy, który skupia wszystkie pomysły: podejmuje akcje, patronuje im, ma w każdej grupie swoich przedstawicieli, a poprzez apele wzywa do współzawodnictwa w nauce o tytuł „Przodownika Nauki, Dyscypliny i Pracy Społecznej", propaguje krwiodawstwo, zachęca do czynów społecznych... My im tylko podpowiadamy — wyjaśnia I sekretarz POP Studium Wojskowego ppłk mgr **Józef Bąkała.**

Dowodem dojrzałości studentów była również dobrowolna masowa składka na fundusz budowy Centrum Zdrowia Dziecka (dołączyli się do niej wykładowcy, w sumie uzbierano ponad 12 tys. zł). Jedna tylko z grup zebrała z własnych, studenckich oszczędności aż 670 złotych!

— O stosunku słuchaczy Studium do społecznej inicjatywy i dyscypliny — dodaje ppłk mgr J. Zieliński — świadczy również udział studentów w różnych formach wychowania przez pracę. Jeszcze w roku akademickim 1974/75 w pracach społecznych wzięło udział 61 procent studentów, w roku następnym już 83 procent. Są to prace zarówno na rzecz Studium i Uczelni, jak i dla miasta: zieleni miejskiej, przy budowie alei Włókniarzy i studenckiego szpitala, gdzie harmonogram prac przewidzianych na 6 tygodni zrealizowani studenci wespół z kadrą w 2 tygodnie!

— — —

Wraz z nauką, po dwumiesięcznym okresie „adaptacyjnym", zaczyna się w Studium edukacja ideowo-polityczna. Nie chodzi tu o jakąś „agitację", lecz o przybliżenie młodym ludziom problemu współodpowiedzialności za losy ojczyzny. Okazuje się, że studenci w większości rozumiejąc, dlaczego wciąż jeszcze w naszym interesie jest rozwój obronności — gdyż w dzisiejszych warunkach pokój zapewnić może jedynie równowaga potencjałów militarnych — nie zawsze mają poczucie tego, iż obowiązek służby wojskowej spoczywa również na nich.

Głośno już jest w środowisku akademickim o inicjatywie powołania Studium Wiedzy o Partii, które przy współpracy Studium Wojskowego z Komitetem Uczelnianym PZPR i Radą Uczelnianą SZSP działa już trzeci rok.

W układzie zajęć i doborze wykładowców Studium Wiedzy o Partii wzięto pod uwagę kierunek studiów, zainteresowania słuchaczy. I tak zajęcia dla studentów Wydziału Filologicznego prowadzili prelegenci z Wydz. Nauki i Oświaty KŁ PZPR, dla słuchaczy z Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego — ekonomiści i socjologowie z praktyką w gospodarce, dla studentów Wydz. Prawa i Administracji — przedstawiciele władz administracyjnych, wymiaru sprawiedliwości, dyrektorzy przedsiębiorstw i sekretarze komitetów zakładowych PZPR.

W pierwszym roku działania Studium miało ono 203 słuchaczy, 23 z nich złożyło po zakończeniu szkolenia deklarację o przyjęcie w szeregi PZPR. W rok później liczba słuchaczy zwiększyła się do 333, a liczba podań do 76.

Wśród współorganizatorów szkolenia panuje przekonanie o konieczności rozwijania formy Studium jako szansy nawiązania bezpośredniej więzi między organizacją partyjną a młodzieżą. Także — jako forum dyskusji i polemik.

— Studium Wiedzy o Partii jest dla tych, którzy chcieliby wyrazić swój akces do Partii dużym, organizacyjnym przede wszystkim udogodnieniem — powiedziała mi jego absolwentka, kandydatka PZPR **Eleonora Bielawska.**

Myślę, że dzisiejszym i jutrzejszym absolwentom będzie łatwiej określić swój stosunek do szkolenia wojskowego w sposób bardziej wyważony, obiektywny, głębszy.

NIE TYLKO HISTORIA

W KRĘGU PSYCHOANALIZY

Gorąco zachęcam do przeczytania tej książeczki. Jej autorem jest młody polski filozof Zbigniew Wieczorek, a dziełko nosi tytuł: „Neopsychoanaliza i marksizm" i zostało opublikowane w drugim już wydaniu (1977) w wartościowej serii „Omega", wydawanej przez Wiedzę Powszechną. Warto zapoznać się z tą książką co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że jest to na naszym rynku wciąż jedna z bardzo niewielu publikacji, dotyczących modnego w Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych kierunku naukowego, o którym mówi się dziś i pisze w świecie bardzo wiele. Po drugie dlatego, że jest to dziełko kompetentne, charakteryzujące się rzadkim zobiektywizowaniem ocen, przynoszące wiele nad wyraz interesujących i ważnych wiadomości o poglądach rozwijanych przez autorów, z których jedynie część może nam być znana z własnej lektury. Rzecz dotyczy koncepcji, rozwijanych przez tzw. amerykańskich kulturalistów, którym to terminem określa się przede wszystkim trzech wybitnych współczesnych przedstawicieli psychoanalizy, mianowicie Karen Horney, Harry'ego S. Sullivana oraz najgłośniejszego spośród nich — przynajmniej u nas — Ericha Fromma, autora sławnej, wydanej niegdyś także w tłumaczeniu polskim „Ucieczki od wolności". Polski autor przedstawił poglądy, rozwijane przez analizowanych przez siebie autorów, na szerokim tle dyskusji, jakie toczyły się i toczą wokół psychoanalizy, w szczególności zaś modyfikacji wprowadzonych do koncepcji psychoanalitycznych przez drugą i trzecią generację zwolenników nurtu Freudowskiego. Na szczególną uwagę czytelnika zasługuje zaprezentowana w ostatniej części rozważań Z. Wieczorka — jak określa to on w tytule tej części swojej książki — „historyczno-filozoficzna ocena oryginalnych idei kulturalistów". Uczony unika tu przesadnej jednostronności krytycznych sądów wielu swoich poprzedników, którzy bardzo często w polemicznym ferworze — któremu zresztą trudno się było dziwić — nie zawsze dostrzegali różnicę między pierwotnymi poglądami Zygmunta Freuda, a zmodyfikowanymi i to bardzo znacznie koncepcjami jego dzisiejszych kontynuatorów. Badacz podkreśla, że „amerykańscy kulturaliści przedstawiają próbę dialektycznej syntezy osiągnięć psychoanalizy z marksizmem" zauważa, że „ich dorobek ma istotne znaczenie dla rozwoju antropologii filozoficznej". Wypowiada wreszcie niestereotypowy, przynajmniej na naszym gruncie, pogląd, głoszący iż „współpraca psychoanalizy z antropologią kulturową rozwija się w dobrym kierunku. Faktem jest, że dzięki temu połączeniu zarówno psychoanalitycy, jak i antropologowie uchronią się przed nieuprawnionymi dążeniami do obiektywności w jakimś ostatecznym, uniwersalnym sensie. Ich rola polegać będzie na badaniu wszystkich aspektów sytuacji międzyosobowych. To, co jeszcze w latach trzydziestych XX w. wydawało się tylko wizją, zaczyna stawać się realne". Oprócz rozlicznych niedostatków — o których w tej książce jest wiele — autor dostrzega więc także i obiektywne wartości owego „etapu w historii myśli naukowo-filozoficznej, jakim jest psychoanaliza kulturalistyczna". Jest to z pewnością wiele kiedy się zważy, że wokół wszystkiego, co w jakikolwiek sposób trąci refleksją psychoanalityczną, narosło bardzo wiele mitów i nieporozumień, utrudniających adekwatne rozpoznanie tego, jak się rzeczy mają naprawdę.

Z. Wieczorek zajmuje się tylko jednym, chyba najbardziej interesującym nurtem współczesnej neopsychoanalizy, rozwijającym się na obszarze nauk społecznych. Inni autorzy często atakują problematykę szerszą, nie ograniczając swych badań jedynie do tego nurtu. Tak też czynią inni uczeni, których prace zostały zebrane w wydanym ostatnio, zaledwie przed kilkoma tygodniami, przez berlińską oficynę wydawniczą Deutscher Verlag der Wissenschaften (1977), tomie zbiorowym pod redakcją Waltera Friedricha, a opatrzonym tytułem: „Kritik der Psychoanalyse und biologischer Konzeptionen". Również i w tej pracy chodzi o związki psychoanalizy z naukami społecznymi, o ocenę powstających na tym gruncie ogólniejszych koncepcji i poglądów. Podobnie jak my, badacze z NRD szybko nadrabiają zaległości, powstałe w wyniku niezajmowania się tymi zagadnieniami. Edytor tego tomu powiada w przedmowie, że poza jednym dziełem, piśmiennictwo naukowe NRD nie dysponowało dotąd poważniejszymi pracami z tego zakresu. Okazuje się — jak świadczy omawiana publikacja — że dziś koledzy z NRD mają się już czym w tej dziedzinie pochwalić. Na całość tomu złożyły się, oprócz tłumaczenia znanego tekstu francuskiego marksisty Lucien Sève'a, opublikowanego po raz pierwszy w 1973 r., prace kilku autorów niemieckich, poświęcone koncepcjom Zygmunta Freuda, socjologii Talcotta Parsonsa oraz rozmaitym koncepcjom naturalistycznym czy też biologistycznym, rozwijającym się w naukach społecznych w różnych krajach w naszym stuleciu. Z pewnością jest to publikacja interesująca dla wszystkich, którzy chcieliby się poważniej zająć tymi zagadnieniami, tyle że nie dla wszystkich dostępna, gdyż... po niemiecku. Nie wszystkim to jednak przeszkadza w zapoznaniu się z tekstem, który zasługuje na uwagę nie tylko socjologów i filozofów, ale i historyków, którzy interesują się zróżnicowanymi tendencjami, występującymi dziś w historiografii światowej. Można bowiem nie kochać nurtów, wywodzących się z koncepcji psychoanalitycznych, trzeba poddawać je wnikliwej krytyce — nie sposób jednak nie zauważyć, że znaczą one dziś wiele w naukach społecznych, w tym również w nauce historycznej, w bardzo wielu krajach, o czym trzeba dokładnie... wiedzieć. Bowiem tylko dobra znajomość przedmiotu pozwala nam na krytyczną ocenę tego, dość przecież osobliwego, stylu myślenia o sprawach człowieka i społeczeństwa, jaki serwuje nam psychoanaliza zarówno w swej dawniejszej, jak i zmodernizowanej postaci.

ANDRZEJ F. GRABSKI

EWA FILIPCZUK

★ ☆ ★

niezwykle pojaśniały nasze horyzonty
chociaż na pozór w ciężkich czasach przyszło żyć
lecz od różowych świtów różowieją sny
od niebieskiego nieba niebieskie jabłonki
stają pod oknem proszą aby im otworzyć
cóż z tego że tu wejdziesz nie rodząc owoców
że posiedzisz przy ogniu ścięta rannym chłodem
skoro musimy ruszać skoro czas nam w drogę

niezwykle pojaśniały nasze horyzonty
kiedy wkładamy szynel tupiąc dla otuchy
nie przebaczają żony lecz ktoś za nas wie
czemu ten marsz ma służyć i zsiniałe dłonie
odejdź jabłonko od okna nikt ci nie otworzy
kto ma otworzyć

★ ☆ ★

ten chłopiec na bezdrożach wyczekuje światła
na jego włosy opadł kurz młodości
nie chce powracać do pustego domu
parzy herbatę i bezsilna wróżba
nakazuje cierpliwość ścieżkę co wyjaśnia

a kiedy siwy idzie po bezdrożach
depcząc bezdomność opuszczonych lat
ciepłą herbatę na wieczne zmęczenie
podają dłonie mieszkańki pokoju
w którym cierpliwie chłopiec się zestarzał

przystanął w oknie czeka kiedyś przyjdzie sen
w bramach krzyczą pijani pijani na śmierć
odszedł ostatni autobus świt jest niepodobny
do ciepłych poranków z nadzieją bezsenny od lat
szuka światła na drodze i ciemnieje dom

★ ☆ ★

Nieswój Czyj zatem Na kogo tak ciepło
patrzy dziewczynka oparta o ścianę
Sentymentalna prawa napoczęta
tańcząca pierwszy erotyczny taniec

A on jest nieswój Nie wróci nie będzie
I na to czeka nie dziecko kobieta
Już zapłaciła i już się nie zdarzy ,
Don Juan w pętach ani też poeta

FELIKS RAJCZAK

SONET

Janie pasterzu biały hostio ciszy
Na zboczach stada owiec karmisz chlebem
Winnica twoja wspina się ku niebu
Pod którym człowiek uklękłszy jest wyższy

O drogi strome przełęcze moczary
O uśmiech żmii skrzyżowanie miecza
O prawdy które świat w ogniu obwieszcza
O wszystkie słowa żywych i umarłych

Pacierz do ojca niesie gołąb świtu
Pozdrawia w locie jastrzębie błękitu
Ryby drapieżne w morzach i szarańcze

Albowiem ufność jego jest zielona
I w niej poczyna owoc mąż i żona
I łza jest czysta którą gołąb płacze

WANDA KARCZEWSKA

UROK MŁODEGO GÜNTHERA

———— Wracaliśmy wtedy z Marią z Opery do domu. Byłem po szczęśliwie złożonych egzaminach po drugim semestrze, po dobrym przedstawieniu i paru lampkach dobrego wina wysączonego w przyoperowej winiarni, tak Maria uczciła moją wizytę braterską i moje udane egzaminy. Było dobrze po północy, Maria miała świetny humor, ona lubiła czasem pociągnąć trochę dobrego, gorzkiego wermutu, odziedziczyła to pewnie po naszym Starym, on też lubił niekiedy popić, choć prawdą a Bogiem miał całe długie okresy czasu, kiedy nie brał do ust nawet kropelki.

Podśpiewywaliśmy z Marią pod nosem arię z „Poławiaczy pereł", ona miała dobry słuch, ja uczyłem się jako chłopiec gry na skrzypcach, trochę fałszowałem ale do śpiewania arii w nocy i po czterech lampkach — może to zupełnie wystarczyć. Szliśmy ulicą wysadzaną rozrosłymi kasztanami, pod zielonym światłem zielonych jeszcze wtedy gazowych lamp; zanurzyliśmy się w bramę domu, gdzie mieszkała Maria; nacisnąłem guzik elektryczny przy pierwszym podeście — na próżno. Żadne z nas nie miało przy sobie latarki, zapałek nie wyjmowałem, wystarczał nam zielonkawy odblask latarni wpadający na schody przez okno. Posuwaliśmy się gęsiego, jedno za drugim, trzymając się poręczy i wystukując czubkami butów drewniane stuk-puk po schodach tej starej secesyjnej kamienicy. Nagle, gdy już miałem oderwać rękę od poręczy, by wejść na podest trzeciego piętra, zawadziłem stopą o coś miękkiego, worek albo tłumok jakiś; byłbym się wywrócił, wyciągnąłem odruchowo rękę i natrafiłem na —— coś owłosionego; to „coś" było żywe, wydało nawet odgłos, taki jakiś gniewny: „nooo!", czyli, jak idziesz, ślepyś czy co? A ja — omalże nie krzyknąłem: co to, kto tu? Odskoczyłem na bok, pod ścianę, ostrzegłem Marię, uważaj, tu ktoś siedzi, wyciągnąłem szybko zapałki, błysnął płomyk, sparzył mi palce, ale w jego świetle spostrzegłem, że Maria weszła o stopień wyżej, pochyliła się, pomacała to coś żywego, gniewnego i powiedziała do mnie zbywająco, nic nic, to tylko Joanna.

To imię znałem dobrze, to było imię dziewczynki, którą parę lat temu poznałem w naszym domu ojcowym w Grodzieńcu. Maria przyjechała z nią kiedyś, mówiła wówczas o niej — sam teraz nie wiem na serio czy żartobliwie — to moja córka przybrana. Potem Joanna wróciła do ojca, który się odnalazł, spadł z nieba pod koniec wojny jako „cichociemny" czyli angielski skoczek spadochronowy i —— jakoś ta sprawa rzekomego macierzyństwa Marii rozeszła się po kościach. W każdym razie jadąc tutaj, wiedziałem, że Maria jest sama.

Zapaliłem drugą zapałkę; ciekaw byłem czy to ta sama młoda istota; zobaczyłem skuloną dziewczynkę w wieku czternastu, może piętnastu lat. Spała, tak mi się zdawało przynajmniej, z głową skrytą w ramionach wspartych o kolana. Spod kusej granatowej spódniczki sterczały długie wyrośnięte nogi w czarnych pończochach. Rzuciłem zdziwiony, co ona tu robi?

Maria zdmuchnęła mi drugą zapałkę, powiedziała jak na moje wyczucie z niestosownym w tej sytuacji żartem, ale może to była podszyta żartem cierpka ironia;

— Nic, nic, ona lubi spać na schodach.

Wyciągnąłem rękę, by dotknąć głowy dziewczynki — taki jakiś głupi odruch litości; ledwie jej dotknąłem, wyczułem szarpnięcie się — uchylenie spod tego miłosiernego dotknięcia. Dziewczyna, nie podnosząc głowy, mruknęła, proszę mnie zostawić w spokoju.

Maria odsunęła moją rękę, powiedziała, idź dalej, Filipie, mówiłam — to już było powiedziane z niecierpliwym przyciskiem — ona lubi spać na schodach. Dopiero po chwili Maria znalazła w ciemności moją rękę, uścisnęła mi znacząco palce, potem lekko szturchnęła mnie w plecy; zrozumiałem, mam się nie zatrzymywać, iść dalej; z jakiegoś powodu nie należało na to zjawisko śpiącej dziewczyny po północy na ciemnych schodach zwracać uwagi.

Podszedłem do drzwi mieszkania Marii, nie mogąc się w duchu zgodzić na takie stawianie sprawy. Posłyszałem zgrzyt klucza w zamku; Maria wepchnęła mnie pierwszego i zanim wszedłem do przedpokoju, usłyszałem jeszcze tylko jedno słowo Marii rzucone w ciemność schodów:

— No?!

Trzymała drzwi przez chwilę otwarte, jakby czekała aż tamta się ruszy i wejdzie do mieszkania, ale ciemność milczała, dopiero po sekundzie odpowiedziała zduszonym głosem, jakby istota siedząca tam, na schodach, jeszcze głębiej ukryła twarz w ramionach:

— Nie!

Po chwili powtórzone jeszcze gwałtowniej:

— Nie! Nie!

— Jak chcesz ——

Maria odparła obojętnie, niemal bezbarwnie, jak do psa albo kota, który woli siedzieć nocą na schodach, niż wejść do cudzego mieszkania, woli marznąć, kulić się i czekać, aż jego własny pan wyjrzy i wpuści go na jego własne legowisko. Myślałem, co to dziecko tu robi o tej porze, zacząłem nawet coś w tym sensie pytać —— Maria przyłożyła palce do ust. Zrozumiałem, miałem milczeć, nie wtrącać się. Maria wyciągnęła klucze z zamka, rzuciła jeszcze za siebie lekko, zupełnie konwersacyjnie:

— Przecież on może wrócić rano. Będziesz tak do rana siedziała?

To coś skulone mruknęło, niby wściekle ale prawie tłumiąc wzruszenie albo nawet hamowany ze złością płacz:

— Właśnie że wróci niedługo. Na zebranie poszedł. Widocznie się przeciągnęło. Zaczekam.

— Jak chcesz.

Moja siostra wzruszyła ramionami. I zamknęła drzwi. Ale nie na klucz. Na klamkę. Przed tym jeszcze powiedziała w ciemność za siebie:

— To dobranoc, Joanno. A jeśli ci się odwidzi, zastukaj.

Odpowiedzi nie było.

Maria zapaliła światło w przedpokoju. Spojrzałem na nią uważnie — w jej twarzy nie znalazłem ani rysu żartobliwości, ani drwiny, raczej zatroskanie w oczach. Mruknęła tylko, ale tak raczej do siebie, zaziębi się, jest zupełnie chłodna noc, ale ——

Przez chwilę milczała, tym milczeniem odtrącała moje zaciekawienie, właściwie raczej poruszenie, potem przyjrzała mi się ze zniecierpliwieniem w lekko zaciśniętych ustach, rzekła, ona nie cierpi, kiedy się nad nią ktoś lituje: nie, rób tego nigdy ——

— Ale przecież ——

Chciałem wytłumaczyć Marii, nie trzeba się tak z chimerami dziecka liczyć, trzeba ją wbrew uporowi wziąć do domu, ale Maria przecięła krótko:

— Nie ma żadnego „przecież". Nie rozumiesz niczego. Ona się wstydzi. Wstydzi się za swego ojca, który zapomina zostawić jej kluczy i nie pamięta, że ona będzie czekała na niego na ulicy albo na schodach. Dawniej, kiedy była mniejsza, czekała przygarnięta przez sąsiadów. Teraz nie. Trzeba ten jej wstyd uszanować.

Zirytowałem się;

— A kimże to jest ten jej ojciec, że tak na niego czeka, jakby ——

Maria wepchnęła mnie do kuchni, powiedziała, nastaw na herbatę. Poza tym nie pytaj za wiele, nie wtrącaj się, ona kocha tego człowieka; ojca się kocha takiego jakim jest, choćby się nim trochę przy tym pogardzało, a może nawet nienawidziło. Trzeba ten jej wstyd, że ona go kocha takiego jaki jest, uszanować.

— Ale co za człowiek może zapomnieć, że zostawia w nocy pietnastoletnią dziewczynę na ulicy albo na schodach?

Maria szepnęła pobłażliwie, oj ty, baranku boży ——

Ciągnąłem nie zrażony kpiną:

— Pijak chyba jakiś, albo —— wariat —— Albo jakiś trzaśnięty aktor, dla którego teatr jest ważniejszy od —— albo stuknięty działacz społeczny, taki zaaferowany uzdrawianiem ludzkości, że nie ma nawet czasu na myślenie o własnym ——

Maria przestała pocierać w zamyśleniu czoło, powtórzyła bezwiednie za mną, pijak, zwariowany artysta, pomylony działacz —— Nagle roześmiała się:

— Zgadłeś, ktoś w tym rodzaju — i po sekundzie — Bardzo ciekawe indywiduum. Jeśli już chcesz wiedzieć, kto to jest, too —— Pamiętam taką wielką przedwojenną fabrykę manufaktury „Bracia Günther" To jest właśnie ich najmłodsza męska latorośl, młody Günther. Wiedziałem. Chyba sama Maria mi o nim kiedyś wspominała: młody Günther, taki przedwojenny salon-komunista, którego ojciec wolał wysłać na studia za granicę, niż trzymać w domu w kraju, w Łodzi, żeby mu nie zrewolucjonizował fabryki.

Mruknąłem:

— Co on teraz robi?

Maria dmuchnęła mi złośliwie w twarz dymem, prychnęła:

— Jest na dnie. I pije. Był na górze przez parę lat, ale też popijał. Tylko, że z innego powodu niż teraz. Tyle, że on przy piciu nie traci głowy. Przeciwnie, błyska wtedy tym większą inteligencją. Pod rauszem jest nawet ciekawszy.

Przerwałem jej obcesowo:

— Tylko, że nie pamięta wtedy, że spłodził dziecko i ——

— No tak, mój dobry Filipie, wtedy zapomina o Joannie, ale ——

Uśmiechnęła się jakoś przewrotnie, albo kpiąco, albo —— wreszcie czy ja wiem co to był za uśmiech, za głupi jestem na te ich uśmieszki, Marii, a potem — dorozumiałem się — i na uśmieszki młodego Günthera, takie jakieś dobrotliwie drwiące, że człowieka mroziło i mierziło po trosze, bo —— jakby się im do pięt nie dorastało —— Dopowiedziała dopiero po chwili:

— Ale mnie to jest w pewnym sensie na rękę ——

Po chwili, jakby już powiedziała za wiele, porwała się:

Nie, tylko nie pytaj za dużo — po czym poklepała mnie dobrotliwie po ramieniu — Nie troszcz się o Joannę. Teraz spać, jutro mam ciężki dzień. Widzisz —— Joannę zgniewało, że do tego wszystkiego dołączyłeś się jeszcze ty. Nooo, ktoś obcy. A to jest sprawa między nami.

Chciałem zapytać: między kim? Tobą a Joanną? Czy tobą a tym ciekawym indywiduum jeszcze bardziej interesującym pod rauszem. Ale Maria manifestacyjnie ziewnęła, był to znak do przerwania rozmowy. Wycofałem się z indagacji. Maria nie lubiła zwierzeń. I ja, Filip Łagodny — bo ona mnie tak ciągle nazywała — ustąpiłem. Wydało mi się, jak zawsze, że ona nic nie powie, jeżeli nie zechce, raczej wypisze z siebie coś, co ją dręczy albo chociaż dotyka, a zakamufluje to tak, że nie poznasz, iż to jej doświadczenie: To się znajdzie w jakimś innym kontekście, w innym życiorysie, będzie w ogóle chodziło o jakąś inną sprawę, natury ogólniejszej, jakby się to jakoś odłączało od niej, składało z czymś innym, kiedy indziej przeżytym i doświadczonym, albo może i przez kogo innego, a tylko podpatrzonym przez nią.

— Dobrze — pomyślałem — niech to będzie sprawa między Marią a młodym Güntherem, albo między nimi trojgiem. Wszystko mi jedno.

— No to cześć, Majka — powiedziałem, zawsze tak mówiłem do niej zanim się rozstaliśmy, jeszcze w domu naszego dzieciństwa, gdyśmy nieraz siedzieli późną nocą i gadali przed snem; ja w nogach jej łóżka, w nocnej długiej koszulinie, ona przykryta do połowy kołdrą, z książką w ręce.

Posłyszałem teraz, no to cześć, Filipie i rozeszliśmy się. Każde do swego pokoju.

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

WSPÓŁCZESNE DRAMATY RADZIECKIE NA SCENACH ŁÓDZKICH

Odbiorca polski coraz częściej ma okazję zetknięcia się z radziecką literaturą dramatyczną, której autorami są twórcy, pochodzący z innych niż Rosyjska, Republik Kraju Rad. Z okazji obchodów 60-lecia Rewolucji Październikowej Teatr Ziemi Łódzkiej sięgnął do pisarza urodzonego w Adżarskiej Autonomicznej Republice Radzieckiej — **Aleksandra Czchaidze.** Spośród kilkunastu sztuk napisanych przez tego autora Jan Perz wybrał na prapremierę polską „Most", dramat najczęściej zresztą wystawiany w Związku Radzieckim (40 premier!), grany również w Bułgarii i Czechosłowacji, według którego ostatnio nakręcono film telewizyjny.

Popularność swoją zawdzięcza „Most" z pewnością aktualności poruszanej problematyki. Jest to co prawda aktualność o charakterze interwencyjnym ale przy pewnych anomaliach życia społecznego publicystyka w teatrze jest rzeczą wielce wskazaną i spełnić może funkcje uzdrawiającą. Pod warunkiem, że przeprowadzona jest śmiało i w sposób interesujący dla odbiorcy. Dramat Czchaidzego — mimo pewnych wad konstrukcyjnych — wydaje się spełniać te warunki. Przynajmniej podejmuje mogącą wzbudzić zainteresowanie problematykę egzekwowania sprawiedliwości wobec ludzi zajmujących odpowiedzialne stanowiska. A że podjęcie tego rodzaju tematu nie jest rzeczą łatwą, nie trzeba nikogo przekonywać. Trudności stąd wynikające starał się autor sztuki przezwyciężyć stwarzając typową postać bohatera pozytywnego, która jest w dramacie młoda dziewczyna, pełniąca obowiązki zastępcy prokuratora, prowadzącego śledztwo w sprawie niesłusznie oskarżonego o spowodowanie zawalenia się mostu inżyniera. W rzeczywistości winny jest zastępca przewodniczącego Rady Miejskiej **(Bogdan Juszczyk),** którego zbyt pochopna decyzja doprowadziła do katastrofy, w której zginął ponadto człowiek. Marika Czodriszwili prowadząca śledztwo, dochodzi do ustalenia prawdy, uwalnia z aresztu inżyniera Sartaniję **(Andrzej Jędrzejewski** i doprowadza do postawienia w stan oskarżenia rzeczywistego winnego. Wszystko to czyni wbrew „dobrym radom" całego otoczenia: od swojego narzeczonego począwszy **(Eugeniusz Korczarowski),** a na samym głównym prokuratorze **(Włodzimierz Tympalski)** skończywszy, ba! nawet wbrew sugestiom niewinnie oskarżonego. Jaki będzie wyrok sądu sztuka słusznie przemilcza...

W swoim postępowaniu Marika kieruje się zasadą, że sprawiedliwość i prawda stanowią nierozdzielną parę. Zasada niewątpliwie słuszna, ale uczynienie z niej jedynego motywu postępowania bohatera doprowadziło do stworzenia postaci wielce schematycznej, pozbawionej zwykłych ludzkich wątpliwości, a sam dramat nie uniknął uproszczeń właściwych dla tzw. sztuki z tezą. Szlachetność tezy nie ratuje dzieła, mającego swoje wzory formalne w XIX-wiecznym dramacie realistycznym oraz w sztukach realizmu socjalistycznego.

Barbara Szymanowska, kreująca rolę Mariki, nie miała łatwego zadania. Brak doświadczenia aktorskiego, nieumiejętność zapanowania nad tremą, nie pozwoliły jej wydobyć z głównej bohaterki bardziej ludzkich cech, które przy pomocy środków aktorskich wykrzesać z tej dosyć schematycznej postaci by się dało.

Na tle całego zespołu, biorącego udział w przedstawieniu, najkorzystniej wyróżnili się aktorzy najstarsi: **Andrzej Jędrzejewski,** a w szczególności **Stanisław M. Kamiński** w roli emerytowanego inżyniera.

Teatr im. S. Jaracza sięgnął do sztuki, która stała się wydarzeniem obecnego sezonu teatralnego w Moskwie. Jest to dramat pt. „Największa świętość", autorstwa Iona Druce, pisarza urodzonego w Mołdawii, znanego już czytelnikowi polskiemu z wydania trzech zbiorów jego prozy. Kto widział lub kto jeszcze zobaczy spektakl w Teatrze Jaracza przekona się, że wybór ten jest niezwykle trafny. Dzieło Iona Druce posiada formę dramatycznej ballady, opowiadającej w charakterystycznych epizodach dzieje wielkiej przyjaźni i wielkiej miłości: przyjaźni chłopa z urzędnikiem państwowym i miłości ich obu do sieroty wiejskiej. Ponadto jest to opowieść o przemianach społecznych, jakie zaszły w ostatnich trzydziestu latach w Związku Radzieckim i o zachowaniach ludzkich wobec tych przemian. Jest to z jednej strony dramat dwóch ludzi wrażliwych i prawych, z których jeden swoją prawość zaangażował we właściwą realizację zachodzących zmian społecznych **Michaj Gruja (Ryszard Sobolewski),** a drugi **Kelin Ababij (Wirgiliusz Gryń)** swoją wrażliwość pragnie pogodzić z faktami, które zazwyczaj człowieka wrażliwego niszczą. Nasycone realiami tło przedstawianych wypadków z życia dwóch bohaterów nie kłóci się z charakterystyczną poetyckością, właściwą dla pewnego odłamu literatury rosyjskiej, którego przykładem może być twórczość takich pisarzy, jak Czechow, Jesienin, Szukszyn. Ion Druce umiejętnie wchodzi w klimat tego rodzaju przedstawiania świata.

Teatr Ziemi Łódzkiej — Aleksander Czchaidze: „Most".

Teatr im. Stefana Jaracza — Ion Druce: „Największa świętość".
Foto: L. Myszkowski

Na dramat składa się kilka epizodów z życia byłego żołnierza, Kalina Ababija, opowiadanych młodemu chłopakowi wiejskiemu **(Krzysztof Stroiński),** przy czym opowiadania te ulegają inscenizacji i odegraniu na oczach widzów. Reżyserowi przedstawienia, **Janowi Maciejowskiemu,** i aktorom udało się niezwykle umiejętne przechodzenie od formy narracyjnej do widowiskowej. Podział sceny przez Barbarę Zawadę (scenografia) na kilka funkcjonalnych planów stoi na usługach stale zmieniających się układów przestrzennych i czasowych. W śmiałej konstrukcji swojego dramatu nawiązuje autor do najlepszych wzorów teatru epickiego i teatru poetyckiego, zgodnie łącząc te dwie, tak przecież odmienne, tradycje. Wykonawcy przedstawienia zdołali uchwycić dramaturgiczną funkcjonalność zmienności sposobów wyrażania, zgrabnie przechodząc od planu narracji do planu inscenizacji i łącząc w zgodną jedność charakterystyczne dla tego typu literatury rosyjskiej operowanie jednoczesne kilkoma stylami: realistycznym, poetyckim i groteskowym. (W tym ostatnim przypadku należy wspomnieć na świetnie uchwycone w kilku zaledwie gestach sceny narad).

Popisem gry aktorskiej jest kreacja Wirgiliusza Grynia w roli Kelina Ababija. Dysponując dużym zasobem środków aktorskiego wyrazu i znakomitą dykcją, stworzył postać nie tylko charakterystyczną, ale również przesyconą indywidualnym przeżyciem odgrywanej postaci, nadając jej w końcowych scenach prawdziwie tragiczny wymiar.

Na tle bogatej gry **W. Grynia** postać może zbyt mało wyrazistą stworzył Ryszard Sobolewski w roli Michaja Gruji. Należało bardziej zróżnicować zmiany mentalności tego bohatera, przechodzącego przez kolejne szczeble drabiny urzędniczej. Przy niedostatecznym wyakcentowaniu tych zmian nieumotywowana wydaje się być wina, jaką ponosi Gruja za śmierć przyjaciela.

Nutę szczerego liryzmu wniosła do przedstawienia Ewa Krzyńska w roli Marii. Jej stonowana relacja o śmierci Kelina wstrząsa tym bardziej, że jest opowiedziana z niezwykłą prostotą i umiarem.

Wrażenie to jest nieco zmącone zbytnim celebrowaniem zakończenia dramatu, w którym dość banalna symbolika (ścinanie wierzby) łączy się z przesadzonym sentymentalizmem. Ale to jest już winą autora i reżysera, który nie zdecydował się na skróty.

Oglądając dramat Iona Druce przypomina się niedawno wydana w Polsce znakomita powieść Borysa Możajewa pt. „Żywy". Obaj autorzy poruszają się w kręgu tych samych zagadnień, opowiadają o podobnych losach bohaterów, na próżno walczących z bezdusznością warunków, w jakich przyszło im żyć. Tylko że dzieło Możajewa — mimo iż nie kończy się śmiercią bohatera — wydaje się być w swojej wymowie bardziej tragiczne. Może dlatego, że w dramacie Iona Druce za wiele jest poetyckiej idealizacji, a za mało obiektywizmu w przedstawianiu realnych wypadków.

Tak więc widzowie teatralni otrzymali dwie odrębne propozycje, realizujące dwa kierunki we współczesnym dramacie radzieckim. Z tym, że o ile pierwszy z omawianych spektakli należy polecić tym, którzy lubią w teatrze „drażliwe" tematy przedstawione w niedrażliwy sposób, to na drugi winni wybrać się ci, którzy wolą upoetyzowany realizm życia, które wcale poetyczne nie jest.

Teatr Ziemi Łódzkiej. Aleksander Czchaidze: „Most". Przekład: Grażyna Strumiłło-Miłosz. Reżyseria: Jan Perz. Scenografia: Iwona Zaborowska.

Teatr im. Stefana Jaracza. Ion Druce: „Największa świętość". Przekład: Grażyna Strumiłło-Miłosz. Reżyseria: Jan Maciejowski. Scenografia: Barbara Zawada. Muzyka: Piotr Hertel.

JERZY PANASEWICZ

PUBLICYSTYKA NA GŁOSY ROZPISANA

Ten Polak piszący wyłącznie po łacinie, gorący patriota, humanista i prawnik, klient możnego rodu Łaskich, sekretarz króla Zygmunta Augusta, wreszcie wójt wolborski — należał do najwybitniejszych myślicieli XVI stulecia. Jego drukowane w Bazylei w 1544 roku koronne dzieło „O poprawie Rzeczypospolitej" uderza szerokością spojrzenia i śmiałością poglądów na ustrój społeczny i funkcje państwa, które Andrzej Frycz Modrzewski chciał widzieć silnym, praworządnym i opiekuńczym, władnym kontrolować różne dziedziny życia ze szkolnictwem i wychowaniem na czele.

Tyle, a pewno i trochę więcej, wie dzisiaj przeciętny uczeń, pomny iż publicystyka czasów polskiego renesansu bywa częstym tematem na maturze. Uczeń ten wie również, że chociaż traktat „O poprawie Rzeczypospolitej" już w roku 1577 doczekał się polskiego przekładu Cypriana Bazylika i — co prawda okrojonego ze względów cenzuralnych — druku w Krakowie, to program reform i poglądy autora tak obce były masom szlacheckim, że ani nie zaowocowały w praktycznym działaniu, ani też nie weszły w krwiobieg społecznego myślenia, a sam Modrzewski na długie stulecia pozostał nieomal zapomniany.

Współcześnie oddajemy mu sprawiedliwość, stawiając między czołowych pisarzy politycznych epoki, jednak najświetniejsza nawet publicystyka, gdy raz rozminie się ze swoim czasem, pozostaje już tylko dokumentem, bo ogień który ją rozpalał, z biegiem lat nieuchronnie wygasa. I jeżeli przenoszenie publicystyki na scenę jest zabiegiem ryzykownym, acz częstokroć wieńczonym sukcesem, to rozpisywanie na głosy publicystycznego dokumentu ryzyko to wielokrotnie zwiększa.

Teatr im. Jaracza po to jednak otwierał Małą Scenę, aby móc pozwolić sobie na eksperyment, choćby hazardowy, choćby z góry niemal skazany na niepowodzenie. Coś w końcu zostaje z każdej próby, jakieś przemyślenia i doświadczenia, niechby i negatywne. Aby uzyskać odpowiedź, trzeba wprzódy postawić pytanie, a pytanie brzmiało: czy dzieło Frycza Modrzewskiego „O poprawie Rzeczypospolitej" da się przedstawić w kształcie scenicznym? I czy przynajmniej w niektórych partiach tekst zabrzmi współcześnie, nośnie i jasno, wzbudzając rezonans na widowni?

Nie było rezonansu, we mnie przynajmniej nie było, choć reszta widowni też siedziała milcząca. Gładki, nazbyt może gładki przekład Edwina Jędrkiewicza ułatwiał wprawdzie odbiór, wciąż jednak był to odbiór historyczny, odbiór poprzez naszą wiedzę o czasach augustowskich i daremnych staraniach o naprawę Rzeczypospolitej. Owszem, wiele myśli dałoby się również odnieść do współczesności, po cóż jednak Modrzewski, aby mówić o naszym dniu dzisiejszym?! Radujmy się raczej tym, że mieliśmy pisarza politycznego tej miary lat temu z górą czterysta i zostawmy go w czasach, które wprawdzie przerósł, ale z których też wyrastał.

Autorka adaptacji scenicznej i reżyser spektaklu w jednej osobie, Krystyna Piaseczna, pospołu ze scenografem Michaiłem Czernaewem, zamyślili jednak rzecz inaczej, starając się poprzez zabudowę sceny, kostium, samą formę wypowiedzi scenicznej, przerzucać mosty do współczesności, wpisywać Modrzewskiego zarazem w wiek XVI i XX.

Krzesła na kółkach sąsiadowały tedy z posrebrzanym fotelem, tronem niemal, ale był też składany inwalidzki wózek, były chorągwie i orły na kostiumach, były drabiny, z których jedna przemieniła się w stół i była wielgachna, drewniana konstrukcja przypominająca dawne urządzenia astronomiczne, w początkowych scenach starannie opatulona białym płótnem. Przez dziury w płótnie wychylały się głowy aktorów, wypowiadające oderwane kwestie, a te głowy bez ciał i ten wózek zdały się być wzięte wprost z inscenizacji sztuk Becketta, gdy wśród chorągwi zwieszających się spod pułapu dałoby się zagrać „Barbarę Radziwiłłównę".

Ta niewątpliwie świadoma, agresywnie atakująca wyobraźnię widza niejednorodność stylistyczna, robi nawet pewne wrażenie, układając się jakby w ciąg szyfrów, im bardziej jednak zechcemy zająć się szyframi, tym mniej pilnie będziemy wsłuchiwać się w tekst Modrzewskiego. I przeciwnie — zajęci tekstem pominiemy w odbiorze szyfry, bo nazbyt często jedno do drugiego nie przystaje, a działania sceniczne kłócą się ze słowem.

Dlatego też najlepsze zdały mi się sceny rozegrane najprościej, bardzo ładnie prowadzone zwłaszcza przez Stanisława Kwaśniaka (Modrzewski), który ogromne partie tekstu mówił ze zrozumieniem i szczerym przejęciem. Partnerowali mu Zdzisław Jóźwiak, Andrzej Jurczak, Jan Jurewicz i Marek Kołaczkowski. Interesująca była muzyka Juliusza Wacławika, ba, również starania reżysera śledziliśmy ze szczerym zaciekawieniem, choć z samym zamysłem, z nadczasową poetyką spektaklu nie zgadzam się bardzo serdecznie.

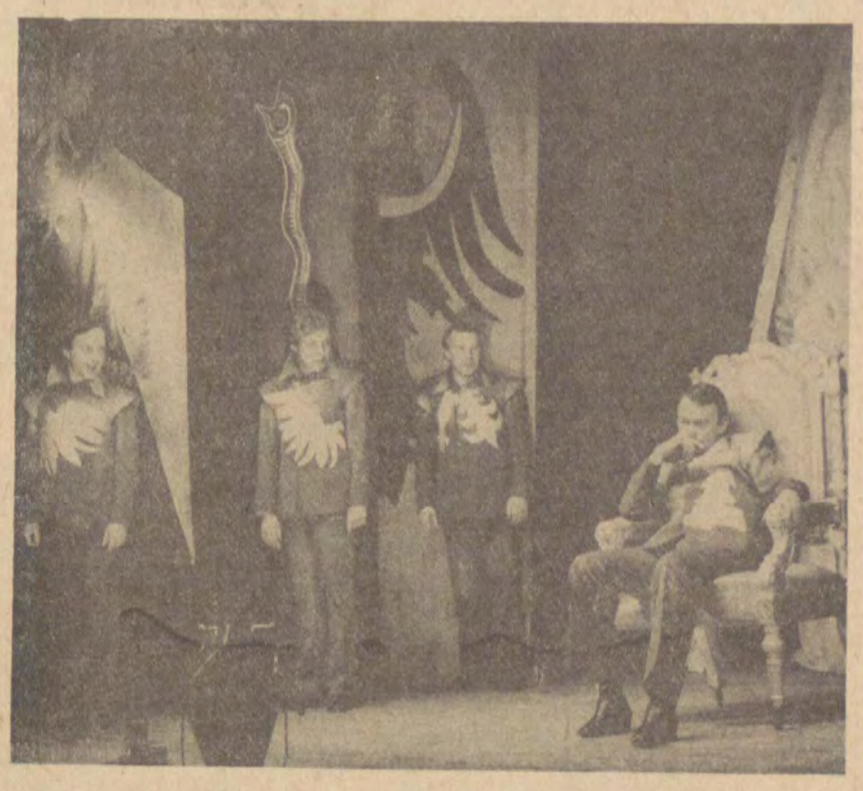

Mała Scena Teatru im. Stefana Jaracza — Andrzej Frycz-Modrzewski: „O naprawie Rzeczypospolitej".
Foto: L. Myszkowski

Mała Scena Teatru im. Jaracza — Andrzej Frycz Modrzewski: „O poprawie Rzeczypospolitej" — Premiera prasowa 15.XI.77 r.

Zbigniew Wojciechowski

niepokojący spokój

Jesienna, słoneczna niedziela. Po okresie deszczowych chłodów, przez ostatnie dwa dni świeci słońce. Drzewa barwią się odmianami ugrów i przygaszonej, pożółkłej już zieleni. Czasem tylko podmuch wiatru strąci z gałęzi przyschnięte liście, które wolno szybują w powietrzu, spadają na ziemię szeleszcząc pod nogami. Cieszę się, że pogoda dopisała. Na pewno na stadion przyjdzie sporo kibiców. Wziąłem ze sobą trzy magnetofony i z trzech różnych miejsc, jakby z trzech różnych punktów widzenia, chcę popatrzeć na mecz. Nie tej najwyższej ekstraklasy piłkarskiej, o której stale czytamy w prasie, słuchamy w radio, oglądamy w telewizji, ale tej najniższej, rozgrywanej w małych miasteczkach, gminach, na boiskach, gdzie często w dni powszednie pasą się krowy.

W Piotrkowskim Okręgowym Związku Piłki Nożnej wytypowano **Rozprzę i Kamieńsk.** Dwie drużyny z dwóch gmin, od lat rywalizujące między sobą. Współzawodnictwo sportowe często przybiera — jak oględnie mówiono — formy dalekie od fair play. Kilka lat temu sporo piłkarzy z Rozprzy otrzymało żółte i czerwone kartki, drużyna była zdziesiątkowana dyskwalifikacjami. Po zakończonych zawodach, kibice obu zespołów wywoływali awantury i bijatyki. Takie wypadki dość często zdarzały się w pobliskim Niewiadowie i na innych boiskach, gdzie grali piłkarze klasy B czy C. Jaki będzie przebieg tego meczu?

Spotkanie ma rozpocząć się o 15 Jesteśmy w Rozprzy o 11.

Kościelne dzwony oznajmiają mieszkańcom miasta rozpoczęcie sumy. Ludzie wychodzą z domów. Idą w kierunku niewielkiego ryneczku, przy którym po jednej stronie jest otoczony murem kościół, a po drugiej restauracja „Kasztelańska". Kobiety skręcają w prawo, do kościoła, mężczyźni w lewo, na poranne piwo.

Objeżdżamy miasteczko. Na obrzeżach czerwienią się cegłą jeszcze nie otynkowane, jednorodzinne domki. Rozprza się buduje. Rozprza się rozrasta. Pośrodku rynku fontanna. Miała upiększać centralny punkt Rozprzy. W czynie społecznym budowało ją kilku młodych ludzi. Zbiornik gotowy, ale straszy sterczący kawałek rury, z którego miała popłynąć woda. Prace rozpoczęto, rozgrzebano i nie dokończono. Wokół fontanny, na trawie walają się puste worki po cemencie i niepotrzebne nikomu materiały budowlane. Ci, którzy poświęcili na prace społeczne swój wolny czas i swoje siły, narzekają, że ich trud poszedł na marne. Podobnie jest z nowym stadionem sportowym, który miał powstać za miastem, na polach. Tam też ludzie pracowali, niwelowali ziemię, by dowiedzieć się, że, niestety, boiska nie będzie, gdyż jeden z rolników nie chce odsprzedać kawałka ziemi. Po co więc pracowaliśmy? po co organizowało się społeczny czyn? — pytają głównie młodzi i swoje pretensje kierują pod adresem miejscowej władzy, winiąc ją za brak konsekwencji i inicjatywy. Rozprza nigdy nie miała szczęścia do prężnej władzy. Taki Kamieńsk, gmina przecież nie większa, nie majaca takich, przeszło 900-letni tradycji jak Rozprza, ma nowoczesny hotel, wielki jak na takie miasteczko, Wiejski Dom Towarowy.

Więc jedziemy do Kamieńska. Po drodze zatrzymujemy się w Niewiadowie. Koło kościółka „kolorowe jarmarki" — stragany z odpustową tandetą. Strzelnica, w której próbują swych sił jeszcze „wczorajsi" birbanci, loteria, na której wygrać można gwiazdę szeryfa, kogucika na drucika, lizaka czy gipsową piękność o nazwie „Hania do kochania". W Niewiadowie odpust, ale rozmowy kupujących, bawiących się krążą stale wokół pojedynku piłkarzy Rozprzy i Kamieńska. Straganiarze spostrzegli wóz transmisyjny i natychmiast zwijają swoje kramy. Głupio mi, że sieję taki popłoch. Pytam, ile kosztuje lusterko z kolorową „jak żywą" filmową gwiazdą. Straganiarz milczy. Odwraca się tyłem. „Telewizja przyjechała, będą filmować!" — więc na wszelki wypadek kryje swoją twarz wśród kolorowych paciorków. A ja przecież nie mam żadnej kamery, nie chcę robić zdjęć, a magnetofon przewieszony przez ramię nie jest włączony. Nie chcę dłużej straszyć sobą odpustowych kramarzy. Niech sobie handlują sznurami obwarzanków, cukierkami, tandetnymi świecidełkami. Nie moja sprawa. Ja jadę do Kamieńska.

Nim dojechałem do centrum, w którym główne akcenty stanowią — wspomniany już hotel z barem o niespotykanej nazwie „Wisienka", Dom Towarowy, posterunek milicji, kościół i przystanek PKS-u, z kioskiem oferującym włoskie lody, napotykam stojącą przed niezbyt okazałą chałupiną taksówkę. Jasna Wołga w kolorze ecri. Kierowca akurat je niedzielny obiad. Pytam go, ile taksówek jest w Kamieńsku. Sześć — odpowiada taksówkarz. A w Rozprzy? — Żadnej. Wystarczy. Dziękuję i wsiadam do wozu. Ten fakt też o czymś świadczy. Przed hotel zajechała wycieczka. Z autokaru wysypują się panie, które chcą skorzystać z hotelowych sanitariów. Mężczyźni preferują piwo z „Wisienki". Wchodzą z nimi do knajpy Znów magnetofon „Uhrer" z pokaźną ilością srebrno-czarnych potencjometrów i klawiszy wywołuje zaciekawienie. Pytam siedzących młodych mężczyzn, kto wygra — Kamieńsk czy Rozprza? Kamieńsk... Musi wygrać... Bo jak nie... — rozmawiający nie dokończył zdania...

Wracam do Rozprzy.

W restauracji „Kasztelańska" gwarno i tłoczno. Zagaduję tubylców o nazwę restauracji. Dlaczego „Kasztelańska"? „To tradycja, tradycja" — odpowiadają. Rozprza drzewiej była kasztelanią. Wcześniej nią była, nim o Piotrkowie się w Polsce słyszało. Z dawnej świetności wprawdzie niewiele pozostało oprócz nazw ulic i restauracji, „ale niech pan odnajdzie nauczyciela, mieszka z rynku na prawo, obok apteki, on zbiera fakty historyczne dotyczące miasta, to od niego się pan wszystkiego dowie".

Opuszczam więc zadymiony, rozdyskutowany lokal i lewą stroną rynku idę w kierunku apteki. Po drodze mijam szkołę. Obok niej otoczony kwiatami, ozdobną roślinnością, jednopiętrowy, zadbany budynek. Nad wejściem wykuty w żelazie, stylizowany, z ozdobnym znakiem farmaceutów — wężem — napis: Apteka. W niedzielne popołudnie zamknięta. Ale z tyłu są drugie drzwi. Do służbowego mieszkania Dzwonię. Otwiera mi posiwiała już kobieta. Gdy pytam o nauczyciela, historyka Rozprzy, ściszonym głosem odpowiada, że ojciec jest bardzo chory i moje spotkanie z nim nie byłoby wskazane.

Zaproszenie do środka. Przy herbatce dowiaduję się, że apteka została pobudowana przez jej dziadka. Obecny kierownik, to już trzecie pokolenie tej samej rodziny. Gospodyni jest nauczycielką — to po ojcu. W ogóle od lat jedna strona reprezentowała zawód nauczycielski, a druga była spadkobiercą tradycji farmaceutycznych. Moja rozmówczyni jest przewodniczącą Towarzystwa Przyjaciół Rozprzy, zaś jej mąż, niestety, już nieżyjący, opracował całą historię tej apteki, którą obecnie prowadzi jej syn. Córka kończy studia pedagogiczne. Tradycji więc i w tym pokoleniu stanie się zadość. Wiem, że dziś nie poznam ani historii Rozprzy, ani historii rodziny nauczycielsko-aptekarskiej, ale wiem także, że znalazłem temat na kolejny reportaż.

Niedługo będzie 15. Czas jechać na boisko. Położone jest tuż za torem. Jedna, dłuższa część prostokątnego placu gry przylega bezpośrednio do kolejowego nasypu. Kiedyś mocniej kopnięta piłka wpadła do odkrytego wagonu pociągu towarowego, który akurat przejeżdżał przez Rozprzę i mecz trzeba było przerwać, gdyż piłka pojechała wraz z pociągiem w stronę Piotrkowa. Drugi, krótszy bok boiska, przylega bezpośrednio do asfaltowej drogi, po której bez przerwy jadą ciężarówki, albo przelatują wozy osobowe, śmigają motocykle, terkocą traktory albo człapią konie ciągnąc wozy. Każdy silniejszy strzał trafia albo w bramkę, jeśli celny, a jeśli zawodnik spudłuje, bez trudu trafić może w samochód lub konia. Dwa pozostałe boki prostokąta wychodzą na pola. Ustawiamy samochód — transmisyjną Wołgę tak, aby nie być w polu rażenia. Wyciągamy sprzęt i przygotowujemy się do nagrań. Piłkarze z Kamieńska już przyjechali. Nyską. Mały mikrobus jest jednocześnie szatnią dla zawodników. Podchodzę do rozbierających się w Nysce piłkarzy. Wtykam głowę przez uchylone drzwi i odrzuca mnie. Co za okropny zaduch. Duszne, smrodliwe powietrze. Słońce nagrzało blachę furgonetki, stąd temepratura we wnętrzu jest o wiele wyższa niż na zewnątrz samochodu. A gdzie się myjecie po meczu? — pytam trenera. Nigdzie. Nie ma warunków. Dopiero w domu, jak przyjedziemy — w misce z ciepłą wodą. To nie ma nigdzie szatni? — pytam zdumiony.

— Oni mają — odpowiadają z uśmiechem gracze z Kamieńska, wskazując ręką zardzewiały, odtłuczony wrak starego autobusu, który działacze sportowi przekształcili w prymitywną, prowizoryczną rozbieralnię. Ta — w cudzysłowie — szatnia jest przestronniejsza od małej Nyski, więc w niej przebiera się także sędzia.

Tymczasem boisko obsiedli wokół kibice. Najwięcej usadowiło się na nasypie kolejowym. Siedzą grupkami, dogadując sobie, pokrzykując, popijając ukradkiem. W większości mężczyźni w średnim wieku. Młodzieży najmłodszej mało. Gdzieś tylko jakiś niemowlak drze się w niebogłosy. Ojciec, skonfundowany wrzaskiem malca, daremnie próbuje go uspokoić. Płaczącemu dziecku wtóruje pies. Te odgłosy mieszają się z ostrym sygnałem przejeżdżającej po torach elektrycznej lokomotywy. Na drodze terkocze traktor, czekając na podniesienie szlabanu. Kibice okrzykami udzielają swoim pupilom ostatnich rad. Wreszcie na boisko żwawym kłusem wbiega sędzia. Średniego wzrostu, w okularach. „Przetrzyj sobie szkiełka, byś dobrze gwizdał" — wita go okrzyk dowcipnego kibica.

Powitalna ceremonia i rozpoczyna się gra. Rozprza w pomarańczowych — jak Holendrzy — koszulkach, Kamieńsk — w niebieskich, jak „Squarra Azurra" — Włosi, lub jak „Bule Boys" — Manchester City. Z początku gra wyrównana, potem lekką przewagę zdobywają, szybsi i zwrotniejsi piłkarze z Kamieńska. Oni też strzelają pierwszą bramkę. Wśród widowni konsternacja i spokój. Ci z Kamieńska nie szaleją z radości, ci z Rozprzy nie mają pretensji, gdyż gol padł po ładnej akcji trzech napastników. W kilka minut później jest już jeden — jeden. Szybki kontratak skrzydłem, zamieszanie pod bramką Kamieńska, niezbyt silny strzał i piłka jest w siatce. No, teraz się zacznie, myślę i włączam magnetofon. Ale nic się nie dzieje. Jeśli któryś z kibiców zabluźni, próbuje wyzwać sędziego od patałachów, to go zaraz uciszają działacze, których łatwo rozróżnić po biało-czerwonych opaskach. Kamieńsk do przerwy strzela jeszcze dwie bramki, a ja już wiem, że nic z tego, co sobie zaplanowałem, nie wyjdzie. Kamieńsk jest lepszy, więc rozprzanie jakby się pogodzili z porażką ich drużyny Nie mają pretensji do sędziego, a zawodnicy obu zespołów grają fair. Nie ma polowania na kości, nie ma złośliwych, brutalnych fauli, chamskich odzywek. Przysiadam się do jednego z zapalonych działaczy, członka zarządu klubu i wypytuję go o tych chłopców, którzy dziś nie zdobędą laurów, nie przysporzą chwały swojej gminie.

— Niedobrze się stało — mówi działacz, — że wczoraj była zabawa. Chłopcy trochę pohulali, no i stąd gorsza gra. Ale jak im zabronić pójść na zabawę, kiedy u nas w Rozprzy zabawa jest raz na kilka miesięcy. Poza tym nic się tu specjalnie atracyjnego nie dzieje. Telewizja — tylko pierwszy program, „Kasztelanka", odpust, no i mecze.

— Ale przecież zawodnicy mają wobec klubu jakieś zobowiązania — mówię.

— Jakie zobowiązania? Przedtem dostawali za mecz 30 złotych, teraz podnieśliśmy dniówkę do 60. Za 60 złotych tracić całą niedzielę, to nikomu się nie opłaca. Oni grają, bo jeszcze wierzą, że może któryś z nich wyrośnie na Grześka Ostalczyka. On jest dla nich wzorem, tym, któremu się powiodło. Kiedy był młody, chciał grać w Rozprzy, bo mieszkał niedaleko na wsi. Ale był za mikry jak na twardą grę w C-klasie. Trener nie chciał go wziąć do pierwszej drużyny. Ale on był uparty, trenował, a że talent miał, to poszedł do Piotrcovii, a potem już do ŁKS-u. U nas talentów nie brakuje, chłopcy chcą grać, są chętni... ale co robić, jak nie ma w Rozprzy żadnego zakładu przemysłowego, który by miał pieniądze i opiekował się drużyną. Jest wprawdzie SKR, dostaliśmy od niego 20 tysięcy złotych, trochę daje gmina, ale to wszystko mało. Chłopakowi za założenie siatek, za wysypanie linii, za pielęgnację i doprowadzenie do jakiego-takiego stanu boiska dajemy za mecz 100 złotych. A żeby jeszcze dać coś graczom, na to już nie starcza pieniędzy. A która żona pozwoli mężowi tracić całą niedzielę na kopanie piłki, jeżeli z tego nie przyniesie do domu pieniędzy. Baby, panie, to są baby — żali się działacz i po chwili dodaje: — To są najgorsze przeciwniczki sportu. To one chłopaków psują. Nic, tylko wołają grosza... A my skąd go weźmiemy. Rozprza to nie Piotrków czy Łódź.

Przeciągły gwizdek sędziego kończy spotkanie. Wśród publiczności konsternacja. Wszyscy spoglądają na zegarki. Przecież do końca zawodów pozostało jeszcze pełnych sześć minut. Gracze z Rozprzy interweniują u sędziego. Ten dostrzega pomyłkę, mówi, że źle spostrzegł czas na zegarku... i wznawia grę. Ktoś z trybun krzyczy: „E, sędzia, czy ty w ogóle widzisz piłkę!?"

Mój rozmówca dodaje:

— Z sędziami to też problem... Czasem zalatuje od niego piwem, lub czymś innym... Czasem potrafi podyktować jedenastkę na minutę przed końcem meczu za faul popełniony przed polem karnym, czasem wyrzuci zawodnika, ale nigdy z drużyny gospodarzy, tylko z przeciwnej. Ludzi, gdy patrzą na te jawne kanty, to boli. A jak sporo jest na widowni podpitych, to o awanturę nietrudno. Dziś będzie spokój. Sędzia, poza tym numerem ze skróceniem meczu, sędziował grzecznie. Nie krzywdził specjalnie nikogo. Nasi też się pogodzili, że Kamieńsk jest lepszy... Nie tylko na boisku... Widział pan ich hotel, ich dom towarowy? Co my, w Rozprzy, na to poradzimy? Tak widocznie ma być i koniec. Nawet i ta porażka teraz już specjalnie nikogo nie zaboli. Nie pierwsza ona i nie ostatnia.

Spoceni, zmęczeni zawodnicy obu drużyn schodzą z boiska. Kibice zbierają się wokół graczy, a następnie środkiem drogi idą wolno w stronę miasta. Ci z Kamieńska odjeżdżają wozami i po chwili boisko jest całkiem puste. Zmierzch błyskawicznie zapada. Zwijamy taśmy, chowamy magnetofony i siedząc w wozie wymieniamy uwagi.

— No, nie wyszło nam to nagranie — mówi Heniek Kapczyński, który kilkanaście lat pracuje w Radio i nagrał już setki reportaży.

— A bo tu tak wszystko szło ospale — dodaje kierowca, Józek Gruchała, który ponad dwadzieścia pięć lat wozi nas na przeróżne nagrania. — Mieli sobie skakać do oczu, trzaskać się, a tu nic z tego, pełna rezygnacja.

Smugi reflektorów Wołgi przecinają zmrok, oświetlają asfalt drogi. No, nie wyszło to, co sobie zamierzyłem. Rywalizacja dwóch konkurujących z sobą gmin, która miała się — jak w soczewce — skupić na boisku, w sportowej walce. No, nie wyszło — powtarzam w myślach. I zaraz sobie dopowiadam: To chyba dobrze, że tak jest, a nie inaczej. Że było spokojnie, kulturalnie, bez kłótni, awantur, zawiści. Nic się przecież nie stało. Zamiast reportażu dźwiękowego opiszę tę niedzielę, słoneczną, jesienną niedzielę w Rozprzy.

Ale teraz, gdy piszę te słowa, gdy kończę reportaż, nie wiem dokładnie czy na pewno dobrze, że jest tak a nie inaczej. Czy dobrze jest, że ludzie tak łatwo się pogodzili z tym, że przegrywają z Kamieńskiem, że przegrali hotel, dom towarowy, przegrali mecz piłkarski, przegrali nawet tę fontannę, której nie ma kto wykończyć, a którą kiedyś młodzi, pełni zapału rozprzanie, wybudowali w czynie społecznym...

Dalszy ciąg ze str. 1

szym magnesem. Więc fluktuacja duża. W ubiegłym roku ubyło 12 proc. stanu załogi, przybyło 10. Saldo ujemne, deficyt. W pierwszych miesiącach tego roku, do czerwca, samych tylko zorganizowanych młodzieżowców skreślono siedemdziesięciu z ewidencji ZSMP, zarząd frasuje się, że co sezon szkoleniowy — to zmienia się jedna trzecia stanu członkowskiego, jak w takich warunkach systematycznie realizować programy? Ale, trzeba podkreślić, spora część uciekinierów powraca potem „do Geyera". Tu są ludzcy majstrowie, z dyrekcją idzie wytrzymać, w ogóle stosunki międzyludzkie jak trzeba — przyznają nawróceni i proszą, czasem ze łzami, o ponowny angaż. Taka po Łodzi krąży o „Dzierżyńskim" opinia. Mit? Złudzenie? Nie wykluczone. Ale może jednak w tych opiniach odzwierciedla się pewien aspekt rzeczywistości. Koniec końców, czym innym „Dzierżyński" jest w stanie rywalizować ze szczęśliwszymi konkurentami na rynku pracy, jeśli nie troską o to, by ludzie czuli się tu u siebie? Przecież tu nawet baza socjalno-wypoczynkowa właściwie nie istnieje, poza autokarowymi wycieczkami, ośrodkiem kolonijnym i nudnawym domem kultury, przytułkiem emerytów. A rywalizować trzeba ostro — o młodych oczywiście, gdyż ze starszymi robotnikami zmartwienia nie ma. Oni już nie szukają lepszego. Tu urośli, tu mają swe kręgi przyjaciół, trzyma ich też przywiązanie do „firmy". Gdy mówią o sobie, zaczynają od stażu. **Kazimierz Rosiak**, kierownik warsztatów remontowych oddziału A: „Już mi stuknęło 32 lata w „Dzierżyńskim", a w zawodzie za rok złoty jubileusz". **Stanisław Kaczkowski**, obwołany najlepszym wychowawcą młodzieży: „Tu jestem odkąd tylko z wojny wróciłem". Ale młodzież? Najambitniejsi, najzdolniejsi, raczej nie w bawełnie szukają życiowej szansy. Należy więc starać się przynajmniej o tych, których losy ułożyły się nie tak, jakby chcieli.

Dbałość o zadowolenie załogi, o jej integrację z zakładem, byłaby łatwiejsza, gdyby równolegle doskonalić technikę. W tych obskurnych murach pogeyerowskich trudno jednak o rewelacje. 144 krosna saurerowskie, które były nowalijką polskiego włókiennictwa w latach pięćdziesiątych, tu wymienia się jako czynnik postępu technologicznego. Bogiem a prawdą, te „Saurery" przywieziono z zakładów w Kaliszu już w stanie mocno sfatygowanym ośmioletnią pracą bezremontową. Tam wibracje rozwalały stropy, tu nie zaszkodzą zbytnio, albowiem mury i tak rozwalają się same. Od starości i od osiadania. Stary Geyer kazał sypać szlaki na grzęzawisko i na tym lichym podłożu, na przełomie wieków, wybudowano Nową Tkalnię. Więc grunt słaby, ściany rysują się i pękają, gdzieniegdzie szpary takie, że pięść można wsadzić. Kiną ślusarze, gdy wyważają silniki, bo szyny są źle spoziomowane i trudno o precyzję przy regulacji.

Wszelako, nie można powiedzieć, żeby zupełnie nic nie szło ku lepszemu. Szatnie idą, na przykład — słyszę. Kiedyś to tkaczki, i młode, i stare, przy chłopach przebierały się wprost na halach — skrępowanie było, wstyd i niewygoda — a teraz na szatnie wygospodarowano zwolnione powierzchnie produkcyjne. Wygospodarowano również na pokoje śniadaniowe, w których ze ścian wystają krany z napisami: „kawa", „mięta" i „woda z sokiem". Czy pan wie, redaktorze, co to znaczy w takim ścisku wykroić jeszcze kilka pomieszczeń na zaplecze socjalne? Troska o człowieka — słyszę — niewątpliwie wzrosła w latach siedemdziesiątych, za Gierka znaczy, przedtem wszystko bez reszty przesłaniał priorytet zadań planowych.

Docenia się też, jakże by inaczej, estetykę. Dziś akurat malarze pac-pac, bo na akord, kładą farbę, zgniłą zieleń, na sparszywiałe ściany. Na etacie jest plastyk. Plastyk jest, socjologów dwóch nawet (dwie — ściślej mówiąc), tylko psychologa brakuje, ale i on będzie, gdy się znajdzie — bo taka moda w przemyśle nastała, że szanujący się zakład musi koniecznie zatrudniać humanistów.

Poniektórzy entuzjaści odkrywają nawet, że te obskurne i chaotyczne zabudowania fabryczne mają, mimo wszystko, swoisty wdzięk, że dużo zieleni na dziedzińcach, że — w gruncie rzeczy — Geyer nie jest brzydki. Ale większość osądza swój zakład trzeźwo i bezpardonowo: niechby go już wreszcie rozwalono...

Przekleństwo najgorsze: hałas.

Niczego, niestety, nie udało się zrobić dla wyciszenia krosien. Stare maszyny pracują solidnie, psują się jakby rzadziej od nowoczesnych, ale grzechoczą niemiłosiernie, emitując 96 do 100 decybeli. Norma wynosi 40. Hałas do 65 decybeli uważa się jeszcze za nieszkodliwy. Powyżej tego limitu następuje stopniowe uszkodzenie słuchu.

Kiedy tkaczki opowiadają sobie w tramwaju o kłopotach z mężem — pijaczyną i o porannej kupce niemowlęcia, ich rozmowy — mimo zgrzytu kół — niosą się od platformy do platformy.

WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

lekki przemysł, ciężka praca

— Przesada z tą szkodliwością! — oponuje jeden z aktywistów. — Starsze tkaczki wcale na hałas nie narzekają, rzadko która wtyka watę do uszu.

Istotnie. Nie narzekają. Bo j u ż są dotknięte połowiczną głuchotą.

Opinia łódzkiego psychologa:

— Zaawansowana głuchota powoduje dezintegrację czynności intelektualnych. W tym samym kierunku działają zmiany organiczne w mózgu, powodowane stosowaniem przy produkcji dużych ilości odczynników chemicznych. Statystyka wskazuje też na częste wśród pracowników przemysłu włókienniczego przypadki epilepsji, wywoływane wśród osób o predyspozycjach do tego schorzenia dodatkowym obciążeniem warunkami produkcyjnymi.

Opinia lekarza zakładowego:

— Statystyka? Wskaźnik absencji istotnie wzrósł u nas, odkąd ustawa wprowadziła stuprocentowe zasiłki chorobowe, bo ludzie na wszelkie sposoby wydreptują zwolnienia. Dawniej ten wskaźnik oscylował na poziomie pięć do sześciu, obecnie stale przekracza osiem. Ale identyczny wzrost wskaźnika absencji nastąpił również w innych łódzkich fabrykach, nie ma przeto żadnych podstaw do alarmu, że u „Dzierżyńskiego" warunki najbardziej szkodliwe. Jeśli nawet tak jest istotnie, to okoliczność ta nie znajduje odbicia w międzyzakładowych porównaniach zdrowotności załóg.

— Jakie skutki dla zdrowia, prócz oczywistego — gorszego słyszenia, daje zaawansowana głuchota?

— Prowadzi do nerwic.

— A inne schorzenia? Co jest największą waszą bolączką?

— Choroby serca i systemu krążenia oraz zniekształcenia stawów od długotrwałego stania przy maszynach i wysokiej wilgotności. No i od zmian starczych. Po prostu. Nasza załoga nie jest młoda. Średni wiek wynosi lekko ponad 40 lat.

— Czy praca na trzeciej zmianie, nocą, stanowi większe obciążenie organizmu?

— Oczywiście tak. Ma bardzo zły wpływ zwłaszcza na układ krążenia, a więc i na serce. Nie wspominam o żylakach, bo je nękają kobiety niezależnie od pory dnia.

— Istnieje opinia, że wzrasta także zagrożenie toksyczne, w związku z wprowadzaniem do produkcji coraz lepszych, czyli coraz bardziej agresywnych związków chemicznych.

— To przecież dotyczy nas wszystkich, i pana, i mnie, a nie tylko włókniarzy. Nowe preparaty chemiczne są na ogół niebezpieczniejsze od dawnych, a w dodatku prawie nic nie wiemy o ich skutkach genetycznych. One się objawią kiedyś, nie wiadomo w którym pokoleniu.

— Ale ani pan, ani ja, nie stykamy się na co dzień, przez osiem godzin, ze żrącymi kwasami i trującymi odczynnikami. Natomiast w wykończalni...

— W wykończalni tkanin działają wyciągi i inne środki zapobiegawcze, na ogół sprawne.

— Na ogół?

— Gdy nie są sprawne, służba zdrowia i bhp interweniują. Co nie znaczy, że owe szkodliwe opary można wyeliminować całkowicie. Produkcja ma niestety swoje wymogi i każdy wie, że istnieją wydziały oraz stanowiska pracy mniej i bardziej niebezpieczne dla organizmu. Podkreślam jednak, że nasze zakłady bynajmniej w tym względzie nie wyróżniają się in minus.

Jednakże wentylatory w halach wykończalni trzeba zmieniać prawie co rok, bo niszczą się od agresywnych wyziewów.

Ludzie są twardsi. I trudniej ich wymieniać.

— Ludzi mamy ofiarnych, gotowych do poświęceń — mówią mi w dyrekcji. Ale to lichy komplement ponieważ nie ma w Polsce ani jednej fabryki, w której nie jest powtarzany przy wszelkich okazjach.

To prawda, że ludzie pracują rzetelnie i wydajnie. W 1964 roku „Dzierżyński" wraz z dwoma mniejszymi, włączonymi doń zakładami, zatrudniał circa 6.000 pracowników. Teraz stan załogi niewiele przekracza 4.600, a zadania produkcyjne bynajmniej nie są mniejsze. Plan jest wykonywany i przekraczany. Przy niektórych operacjach wprowadzono maszyny, wielokrotnie redukujące obsługę — na przykład w postrzygalni pracowało 60 osób, teraz 8. Obecnie instaluje się nowe przewijarki, co przejściowo pogłębia trudności. Ten oddział jest chwilowo newralgicznym punktem całych zakładów.

— Na naradzie dyrekcyjnej w ubiegły piątek — relacjonuje mi **Swietłana Napieraj**, wiceprzewodnicząca ZSMP — podniesiono taki problem, że na przewijalni brakuje 70 ludzi, stoją maszyny i dyrektor widzi tu miejsce dla aktywności organizacji młodzieżowej. Rzuciliśmy apel, żeby młodzież ruszyła w nadgodzinach na tę przewijalnię i podratowała plan. Dla nas to nie jest żaden problem zebrać tylu ludzi — zapewnia. — Ale jak zaczęłam rozmawiać z mistrzami i kierownikami zmian, to okazało się, że ta praca wymaga kwalifikacji. Zresztą sama się o tym przekonałam, bo i ja stanęłam do maszyny: przewinęłam 6 motków po kilo każdy, ale inne musiały po mnie poprawiać, zresztą takie, co potrafią, robiły w tym samym czasie po 40 motków. Więc nasza grupa nie mogła być tak liczna. W każdym razie do wczoraj młodzieżowcy przewinęli 200 kilo przędzy, i to jest pomoc dla zakładu.

— Ilu daliście tych ochotników?

— Chwilowo czterech.

Więcej ochotników nie było, chociaż za nadgodziny wyższe stawki. Coraz częściej w przemyśle, nie tylko u „Dzierżyńskiego", jest tak, że ludzi nie skusisz pieniędzmi do wysiłków ponad barierę znużenia.

Lepiej się młodzieżowcom powiódł inny czyn, mianowicie w ramach akcji „Oszczędzamy kilowaty": otóż umyli okna. Zaraz zrobiło się jaśniej i można było wygasić część żarówek. Chyba jednak nie wszystkie umyli, bo gdzie nie spojrzeć dookoła — wszędzie na szybach grube kożuchy brudu, nawarstwionego od dziesięcioleci.

Pod względem deficytu rąk do pracy przewijalnia nie jest wyjątkiem. W drukarni tkanin też ludzi nie dostaje. Często maszyn stoi; niektóre z nich pamiętają cara Mikołaja, pochodzą z 1890 roku. Części do nich cierpliwie sztukują złotoręcy ślusarze. Prawdę mówiąc, nie więcej z tym kłopotu, niż z zaopatrzeniem w części do niektórych całkiem nowych maszyn krajowej produkcji. Dopiero kilka lat temu wyrzucono machiny jeszcze starsze, gdyż praca przy nich była katorżnicza. Na ich miejsce stanęły nowe, nawet elektroniczne, bardzo wydajne. Tyle, że delikatne są, nie wytrzymują zespolonego ataku wibracji, wilgoci i chemicznej erozji. Psują się. Przodująca technika nie zachwyca trwałością i pewnością. Amerykańska wiązarka osnów „Barber Colman Co" przyjechała do Geyera w 1910 roku, działa bezbłędnie. Natomiast nowoczesny, także importowany parownik, zainstalowany w wykończalni, rąbnął kilka tygodni temu ciężko poparzył człowieka; najgorsze, że nie wiadomo właściwie, dlaczego rąbnął, może od oparów nafty, bo przecież nie od ciśnienia. Istna zagadka, acz sprawa — jak zwykle w takich przypadkach — badana jest z wnikliwą uwagą przez odpowiednie czynniki. Sprawa przykra niesłychanie, bo identycznych maszyn ustawiono w Polsce więcej i teraz wszyscy chodzą wokół nich podejrzliwie.

Branżowa nazwa: „Wykończalnia" — prowokuje do niedwuznacznych dowcipów... Mało, że śmierdzi, że gazy, że wybuchy, to jeszcze cholerna ciasnota, która na przykład uniemożliwia zastosowanie mechanizacji przy zmianie wałów. Trzeba je dźwigać i pasować ręcznie, a ważą niekiedy po 200 kilo. „Jak się źle chwyci — powiada **Andrzej Chruściel** — to coś łupie w kręgosłupie". Inne łódzkie zakłady przeszły już na nowoczesną technikę fotograwiury, tylko tutaj rytownicy — ginący zawód w przemyśle włókienniczym — skrobią, trawią i dygają ciężkie miedziane wały.

Ale tam przynajmniej nie ma tej najgorszej zmory: nocnej zmiany. Tkaczki, które wychodzą o piątej, słaniają się na nogach. Zanim dojadą do domu — czas dzieci szykować do szkoły, potem stają w długich kolejkach, potem pitraszą obiad. Kładą się na parę godzin dopiero po południu, ale co to za sen o tej porze, kiedy dzieciarnia właśnie ożywia się i dokazuje? A te, które dojeżdżają z Zelowa, z Łasku, z Bełchatowa? Na nie położyła krzyżyk nawet dziarska Swietłana. Owszem — rzecze — wciąga się je do organizacji, bo musi być dobra statystyka, to się liczy na dzielnicy, ale przecież trudno wymagać, żeby robiły czyny, przychodziły na szkolenie polityczne, a choćby uczestniczyły w pracy kulturalnej, na przykład w młodzieżowym kabarecie, który zabezpiecza akademie. Nie, nawet tej działalności w kulturze trudno od nich wymagać. I to pozytywne, że te, co przyjeżdżają z daleka, chłoporobotnice dodatkowo utyrane na swoich małorolnych gospodarstwach, prawie nigdy nie spóźniają się do pracy. Ale w ZSMP muszą być niestety martwymi duszami, nie ma rady.

Większą optymistką jest pani socjolog.

Odniosła sukces: z jej inicjatywy dyrekcja i organizacje społeczno-polityczne wdrożyły wszak bogaty program adaptacji społeczno-zawodowej. Raz na miesiąc w każdym wydziale odbywa się mianowicie spotkanie adaptacyjne z młodzieżą nowo przyjętą. Przychodzi któryś z dyrektorów i każdy może swobodnie powiedzieć przy nim co jest źle i co warto by zmienić. Kiedy ludzie wygarną, co im leży na wątrobie, czują się znacznie lepiej.

A jeszcze lepiej będzie, zdaniem pani socjolog, gdy w pełni wejdzie w życie następny program: humanizacji pracy. Już się zresztą zaczął. Na przykład solidni pracownicy, i to wcale nie tylko ci najwydajniejsi, dostają listy pochwalne na pięknym papierze. A inni znów dostają listy gratulacyjne. I kwiaty dostają też przy rozmaitych okazjach. Bo to nie jest prawda, rzecz traktując socjologicznie, że ludzie tylko za pieniędzmi gonią. Doskonałe efekty daje stosowanie bodźców niematerialnych. Ludzie chcą być docenieni, to wpływa na stabilizację, zmniejsza fluktuację. Wprawdzie fluktuacja jest nadal duża, mimo wszystko, lecz byłaby jeszcze większa, niewątpliwie, gdyby nie humanizacja.

W ramach szeroko pojętej działalności wychowawczej czynniki społeczno-polityczne ostro postawiły sobie konkretny cel: wyeliminowanie kradzieży. Zresztą, czy to można nazwać kradzieżami? Ot, na przykład, kobiecina, która już 20 lat pracuje w „Dzierżyńskim" nienagannie, wzięła sobie przed Wielkanocą parę garści kolorowej przędzy do zdobienia pisanek. Może ze dwa złote było to warte. Obowiązuje zasada, że kradzieże tępi się bezpardonowo, ale jak zareagować na taki przypadek, w mikroskopijnym wręcz wymiarze? Albo co zrobić z młodym chłopakiem, którego własny brat przyłapał, gdy zwędził kawałek tkaniny i za kark przyprowadził go do dyrektora z prośbą: ukarzcie go przykładnie, ale nie wyrzucajcie z roboty, zmarnuje się do reszty. Czy jest sens do takiej sprawy angażować milicję? Zdecydowano przesunąć chłopaka z wykończalni do przędzalni średniej, tam żadnych pokus. Innym znów razem mąż, wzorowy pracownik i chłop strasznie honorowy, żonę własną przed dyrektora postawił, bo coś tam wyniosła za parę groszy, a przedtem oczywiście sam ją stłukł jak należy na kwaśne jabłko za ten wstyd dla robociarskiej rodziny. Tak więc załoga sama walczy z drobnymi kradzieżami, sąd społeczny też przyczynia się pozytywnie, nie mówiąc już o wyrywkowej kontroli na bramach; pedagogikie nieźle jest wzmacniać postrachem. Więc, ogólnie biorąc, zjawisko kradzieży (słyszę), dzięki stanowczemu i zespolonemu przeciwdziałaniu, jest właściwie — szczerze mówiąc — w zaniku.

Chciał traf, że akurat dziś, pechowo, gdy po zakładzie kręciło się pół tuzina reporterów, przyjechała ekipa MO i zgarnęła czterech malwersantów z wykończalni: uwili sobie na stryszku złodziejski magazynek i gromadzili różne materiały do lewej wywózki.

— Sporadyczny przypadek — zapewniają mnie. — Absolutnie nietypowy. Trzon załogi jest zdrowy.

Rzeczywiście, nie ma sensu śledzić marginesów, które są i nieprędko chyba zaginą we wszystkich dużych zbiorowościach. Ważne to, co typowe.

Tylko co jest właściwie typowe? Wiadomo: typowe są postawy i motywacje starych pracowników, którzy do swej roboty mają stosunek nabożnie rzetelny i klasowo świadomy. Ale motywacje młodych nie komponują się w przejrzysty schemat.

Nie jest przecież typowa młoda tkaczka, która pod bramę podjeżdża własnym fiatem 125p, bo ma tatę-badylarza i mogłaby nic nie robić do końca życia, gdyby nie to, że nudzi ją nieróbstwo.

Ale nie jest też typowy przypadek chłopaka, który z żoną i dziećmi, rodzicami, i rodzeństwem wegetuje w jednym pokoju z kuchnią — 9 osób razem — więc haruje jak opętany żeby prędzej wyrwać się z tej nędzy kwaterunkowej.

Typowa jest chyba **Elżbieta Mrowicka.** Chciała dostać się do technikum chemicznego w Zgierzu, ale za późno złożyła papiery. Więc, żeby przeczekać, poszła do szkoły przyzakładowej przy „Dzierżyńskim", zdobyła kwalifikacje tkaczki — i zeszło jej przy krosnach 14 lat. Wystarczy — powiada — nie pozuje na uszczęśliwioną.

— Zarabiam 4.700, to nie jest źle, ale mam dość hałasu, a po wtóre monotonii tej pracy. Nocna zmiana? Wolę niż popołudniową, na której czas wlecze się niemiłosiernie, pod tym względem jestem nietypowa. W ogóle jednak chcę zmienić sposób życia. Zamierzam skończyć technikum ekonomiczne, zarabiać choćby mniej, ale lżej.

Jednakże równie typowa jest **Maria Błoch:**

— Ja już przywykłam. Pracuję dwadzieścia lat, z tego piętnaście u „Dzierżyńskiego" na tkalni elektrycznej, opinię mam wyróżniającą, zarobki dobre, nie myślę o żadnej zmianie. Wierzę zresztą, że wreszcie stanie dla „Dzierżyńskiego" nowa fabryka, i wtedy będziemy miały doskonałe warunki pracy.

Bogdan Domagała pracuje w transporcie wewnętrznym, przy wózku. Przy ręcznym, oczywiście, akumulatorowym nie można wjechać na halę, nie ma dróg. Złożył podanie do średniej szkoły. Kim chciałby być? Najpierw tkaczem. To awans dla wózkarza. A potem dojść jak najwyżej — może nawet do funkcji mistrza? Horyzont marzeń niezbyt wyśrubowany; to też typowe.

Ewa Nastałek, po szkole włókienniczej, jest umysłową. Ale robotę fizyczną zna dokładnie. Jest jedną z tych czterech, które zgłosiły się na apel dyrekcji, po godzinach pracuje na przewijarkach. Osiem godzin w biurze, pięć przy maszynie. Jak trzeba pomóc fabryce — powiada — to trzeba. Chyba niezbyt typowa...

Inż. **Wiesław Krystiańczuk** przed paru laty skończył Politechnikę Łódzką. Wpierw jako mistrz „poznawał krosna od dołu", krótko był kierownikiem salowym, awansował na kierownika zmianowego całej tkalni A.

— Pracę mam mniej więcej taką, na jaką liczyłem podczas studiów. Nie jestem więc swym wyborem zawiedziony, chociaż o pełnej satysfakcji też trudno mówić w fabryce, która murszeje od starości, sypie się. Może to tylko jest inaczej, że obowiązki moje polegają bardziej na pracy z ludźmi, organizowaniu, niż na rozwiązywaniu problemów ściśle technicznych, forsowaniu postępu. We włókiennictwie, przy danym parku maszynowym, pole do wykazania inżynierskiej inwencji jest niewielkie. Za to kwestii organizacyjnych mnóstwo. Na ogólną liczbę przewidzianych 250 pracowników brakuje mi stale ze 20 osób, ale plan robimy, bo większość tkaczek przekracza normy, niektóre o 30 procent, wiele o 20. Oczywiście, o ile jest sprzyjająca pogoda, to znaczy właściwa wilgotność. Klimatyzacja pomaga wprawdzie, lecz najważniejsze jest jednak to powietrze zewnętrzne. Jeśli długo jest sucho i gorąco, to dla włókniarzy fatalnie.

— Więc jednak jest pole do nowatorstwa, na przykład udoskonalić nawilżacze. Śrubować jakość? Wprowadzać nowe asortymenty?

— Pewnie, pewnie... Tylko, że na tym parku maszynowym żadnych nowalijek nie uda się wyprodukować. A zresztą po co? Od nowości są zakłady nowe. My robimy produkcję bardzo prostą, ale stale potrzebną: drelichy, flanele, koce. Możemy sprzedać każdą ich ilość.

Jednak, co ukrywać, ambicja cierpi. O tych kocach, piedzikach właściwie, mówi się u „Dzierżyńskiego", że owszem, nadają się do przykrywania piesków, ale tylko tych z długą sierścią. Zagranica zaś kupuje te piedziki jako towar jednorazowego użytkowania: raz na zieloną trawkę, ale już nie warto schylać się i zabierać z powrotem.

Nawet najstarsi geyerowcy, opętani do swej fabryki sentymentem przyznają, choć niechętnie: ona dogorywa. Nie warto jej latać.

Łódź zresztą eksploduje we wszystkich kierunkach, wyrzuca przemysł na peryferie, Piotrkowska, szczycąca się niegdyś sławą najdłuższej w Polsce ulicy, w odczuciu łodzian kurczy się gwałtownie. Geyer, który ongiś leżał na końcu świata, zaczyna zawadzać i jej, i całemu śródmieściu. Odkąd wezbrała lawina motoryzacyjna, Łódź weszła w stadium zaawansowanego paraliżu, mogą ją uratować tylko ogromne przebicia, szerokie arterie. Więc idą pod kilof setki domów zagęszczonych jak ule, program spółdzielczości mieszkaniowej uległ kompletnemu zwichnięciu, priorytet mają przesiedlenia, przed czekającymi na mieszkania — u „Dzierżyńskiego" i wszędzie — perspektywy niezbyt świetlane. Spółdzielnia „Polesie", zamiast po kilkadziesiąt mieszkań rocznie — z góry zakupionych — przekazuje „Dzierżyńskiemu" zaledwie kilka. To jeszcze bardziej utrudnia nabór i stabilizację pracowników.

Dopiero dalsza przyszłość jest jasna, promienna. „Dzierżyński" połączy się z „Harnamem", „Walterem" i „Dubois" w jeden bawełniany gigant, obmierzono już nowy teren na Smulsku. Jawi się on ludziom niby oaza szczęśliwa. Czy raczej fatamorgana? Wzdychają do Smulska młodzi, bo chcieliby pracować w halach czystych, widnych i przestronnych, na nowoczesnych maszynach; ale, zanim ten sen ziści się — dodają sceptycznie — zdążymy się postarzeć. Robotnicy w wieku przedemerytalnym nie mają złudzeń: my nie doczekamy. Żeby przynajmniej rok-dwa porobić na tym Smulsku, byłoby to piękną nagrodą na stare lata! Dyrektorzy twardo podkreślają: Smulsko musi powstać i powstanie. Sytuacja przemysłu lekkiego jest zła, wytworzył się za duży dystans w poziomie technicznym, tymczasem bawełna powraca do łask, bo ludzie nie chcą nosić syntetyków — i mają rację. Smulsko nadrobi zapóźnienie w technologii i jakości. Smulsko sprosta potrzebom ilościowym.

Ale Smulsko już dwa razy spadało z planu. Czy znany jest definitywny termin podjęcia budowy?

Po takim obcesowym pytaniu zapada kłopotliwe milczenie. Ktoś mruczy: rok osiemdziesiąty, ale jakby bez wiary. Tyle potrzeb w kraju... Dziesiątki, setki priorytetów... Inwestycyjne cięcia.

— Więc może Smulsko nie powstanie nigdy?

— M u s i powstać.

Musi — z punktu widzenia osób, które odpowiadają za rozwój produkcji tkanin bawełnianych.

Gdyby jednak zdjąć z nich tę odpowiedzialność?

Resortowy punkt widzenia niekoniecznie zbieżny jest z perspektywicznymi potrzebami kraju. Być może jest z nimi sprzeczny. To prawda, że bawełna ma w Polsce tradycje. Na niej wyrosła Łódź. Na niej bogaciła się, handlując z Imperium, Kongresówką. I to też prawda, że koszule z bawełny są zdrowsze niż z syntetyków, których gwiazda była efemeryczna.

Ale w przyszłości, w bliskiej przyszłości, cały układ: import, przemysł, rynek, eksport — może w branży bawełnianej ulec kompletnej transformacji. Już ulega. Coraz mniej kupujemy sławnej bawełny egipskiej, coraz mniej pakistańskiej. Tamte kraje też chcą mieć przemysł. Już mają. Bazary Karaczi, suki Kairu, zawalone są belami własnych tkanin o pięknej kolorystyce i fantastycznych wzorach; niektóre tamtejsze przędzalnie i tkalnie dysponują supernowoczesnym parkiem maszynowym, aczkolwiek obok nich nadal pracują prymitywne manufaktury. Kilkadziesiąt państw Trzeciego Świata wchodzi na przedproże industrializacji, a pierwszym jej szczebelkiem jest często bawełna. Tak jak na ziemiach polskich było w XIX wieku. To, nie owijając w bawełnę, jest przemysł łatwy, o dość ustabilizowanej technologii, bez rewelacyjnych innowacji — w sam raz dla Azjatów i Afrykanów, którzy dziś chodzą za drewnianym radłem. Oni to wiedzą. Wie to również rozwinięty świat kapitalistyczny i wyciąga logiczny wniosek: stopniowo redukuje własne włókiennictwo. Żadne bariery protekcyjne nie powstrzymają na długo inwazji tkanin, wytwarzanych przez robotników o wielokrotnie niższych płacach — tkanin tanich. My też nie będziemy mieli w przyszłości żadnych szans w konkurencji. Czy zresztą warto konkurować? Importując surowce i angażując w proces ich przetwarzania tysiące pracowników, o których ubiegają się inne gałęzie gospodarki? Czy nie jest to krótkowzroczna polityka gospodarcza, dyktowana raczej siłą nawyku, aniżeli racjonalną kalkulacją i sensownym prognozowaniem?

W tym przypadku prognoza jest bezwzględnie jednoznaczna: nawet odkładając na bok wyliczenia opłacalności, kraj nasz — wcześniej czy później, ale raczej wcześniej — będzie m u s i a ł importować z państw Trzeciego Świata ich wyroby przemysłowe. Tym lepiej, im mniej wyrafinowane technologicznie: na przykład tkaniny. Jeśli zamkniemy się w gospodarczej autarkii, jeśli nie spełnimy azjatycko-afrykańskich oczekiwań w zakresie i c h eksportu przemysłowego, to zamkniemy sobie także źródło dostaw surowców dla c a ł e j gospodarki. Oni mogą wybierać klientów: swoje surowcowe Eldorado otworzą tym, w pierwszej kolejności, którzy nabędą od nich artykuły przemysłowe powszechnego użytku; i od tych klientów kupować będą sprzęt techniczny.

To upragnione Smulsko, marzenie łódzkich włókniarzy, może naderwać i tak wątłą nić, która łączy nas z rynkami krajów Trzeciego Świata; krajów „rozwijających się" — jak, nieco na wyrost, określa je oficjalna nomenklatura ONZ. Ale to, co dziś jest nazwą podyktowaną dobrymi chęciami, rychło stanie się odbiciem nowej, światowej rzeczywistości. Obyśmy wtedy nie znaleźli się w sytuacji potęgi perkalikowo-flanelowej, ale głodnej ropy, chromu, fosfatów...

Jak ludzie, jak miasta, fabryki rodzą się, rozkwitają i obumierają. Taka jest prawidłowość. I dlatego nie smuci mnie Requiem dla Geyera. Ta fabryka z honorem wypełniła swoje przeznaczenie w służbie dla kraju. Reanimacja nie jest celowa.

III nagroda w konkursie zorganizowanym z okazji 150-lecia Zakładów im. F. Dzierżyńskiego w Łodzi.

FOTOREPORTAŻ WŁODZIMIERZA PARYSA

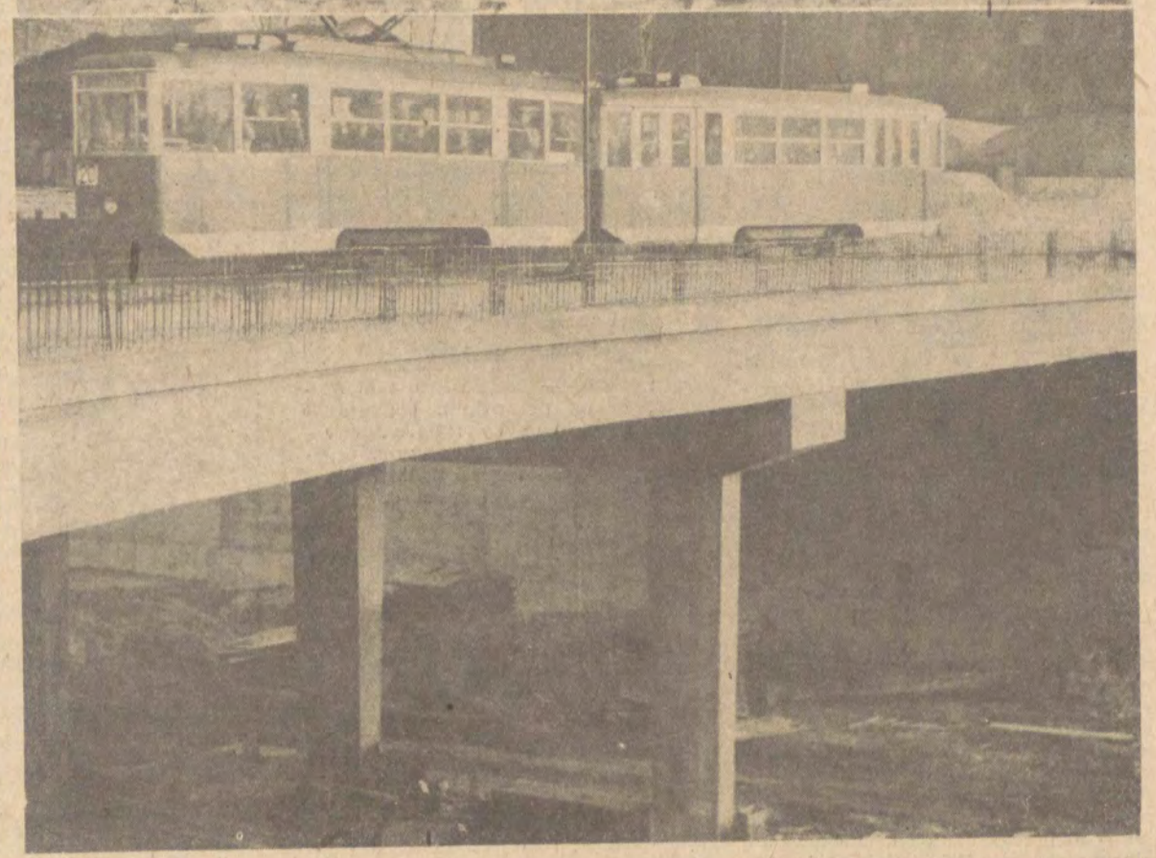

ŁÓDZKA TRASA W-Z

Wygodne ciągi komunikacyjne były od dawna marzeniem Łodzi. Dynamiczny rozwój miasta i nie naruszona od stu lat struktura zabudowy śródmieścia sprawiły, że z Bałut na Chojny jechało się przez zatłoczone śródmieście, ze Stoków do Rudy podróż trwała dłużej niż do Zgierza...

I oto miasto otrzymuje nowy ciąg komunikacyjny, zwany łódzką trasą W-Z. Nie ma w tym określeniu przesady.

Długość prawie 3 kilometry, dwie jezdnie jednokierunkowe z kilkoma pasmami ruchu i wydzielonym torowiskiem tramwajowym, 25-metrowe maszty z lampami oświetleniowymi, cztery przejścia podziemne, dwa wiadukty dla komunikacji samochodowej i jeden wiadukt tramwajowy. Koszt budowy oblicza się na 545 mln złotych. Przeszło połowa tej sumy wydatkowana będzie na realizację podstawowego odcinka od alei Włókniarzy do ul. Żeromskiego, łącznie z dwupoziomowym skrzyżowaniem bezkolizyjnym. Całość trasy przebiegnie od al. Włókniarzy wzdłuż osi Mickiewicza — Główna do ul. Armii Czerwonej.

W numerze z 24 lipca br. publikowaliśmy reportaż Konrada Turowskiego o budowie tej wielkiej inwestycji. Dziś prezentujemy zdjęcia naszego fotoreportera z placu budowy.

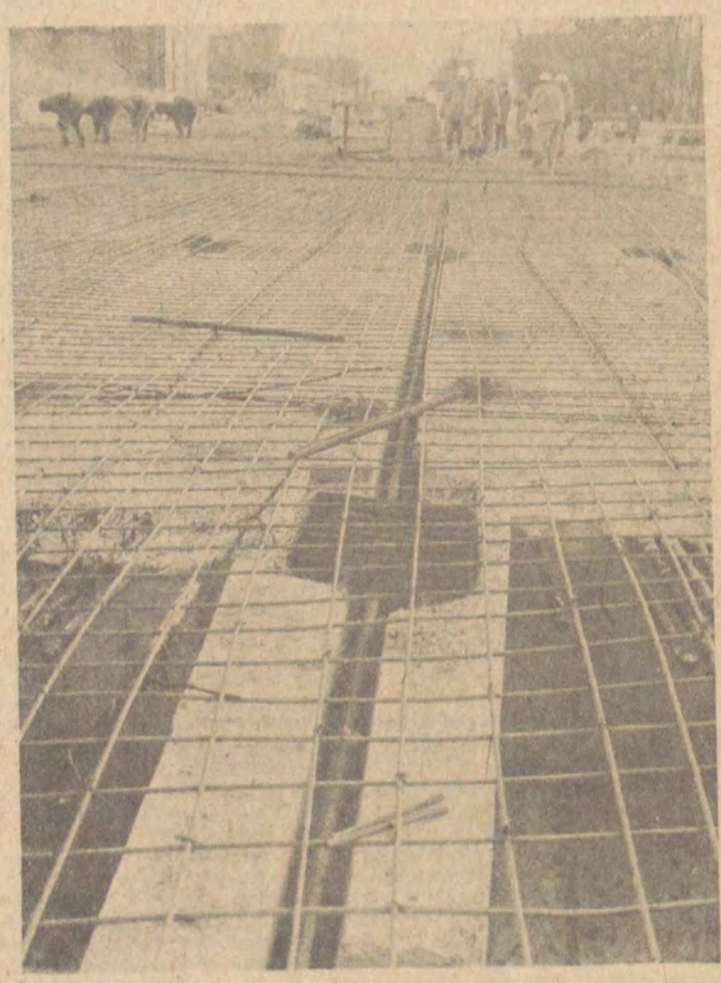

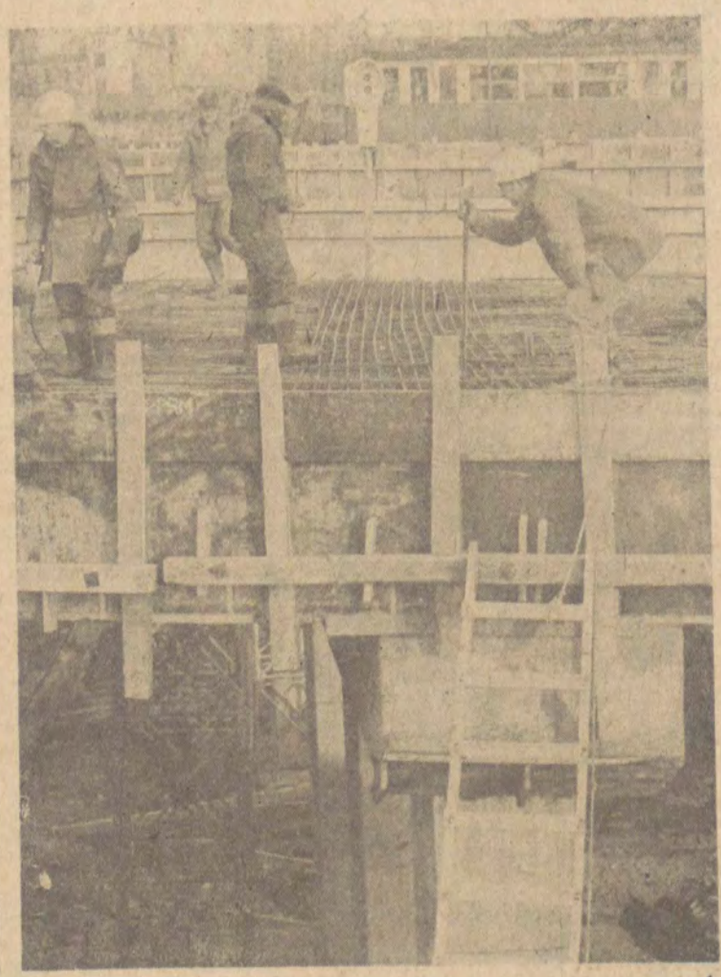

JERZY URBANKIEWICZ

WSTECZNY BIEG WEHIKUŁU CZASU

Gdyby matematykę i fizykę uznać za dyscypliny torujące drogę ku przyszłości, to rolę wręcz przeciwną należałoby przypisać archeologii. Rzecz zastanawiająca — kiedy tamte osiągnęły rozwój tak wielki, że duma z osiągnięć miesza się z uczuciem obawy o skutki, ta stała się ważna, modna i bardziej potrzebna niż kiedykolwiek. Nie tylko dlatego, że spatynowane przedmioty budzą w wyobraźni dzisiejszego człowieka skojarzenia z czasami okrytymi mrokiem tajemnic, — może w tym mroku kryją się wartości dla nas bezpowrotnie stracone? Przyczyna główna tkwi zapewne w tym, że wyniki dokonanych niedawno badań otaczającego nas kosmosu zaktualizowały wiele nie wyjaśnionych dotąd pytań dotyczących pochodzenia Ziemi i nas, jej mieszkańców. Zwłaszcza enfant terrible dzisiejszej nauki Erich von Däniken zadał uczonym tyle kłopotliwych pytań, że ich zirytował. A pytania dotyczą w znacznej mierze archeologii. Licznym znanym zabytkom Däniken przypisuje zgoła inne znaczenie niż im przypisała nauka tradycyjna, ta sprzed pierwszych ludzkich kroków w kosmosie. A domaga się też kopania głębiej, sugerując, że tam leży prawda.

Jest wreszcie trzeci czynnik sprzyjający renesansowi archeologii: inwazja betonu. Monstra, dające schronienie ludziom lub maszynom aneksują coraz nowe przestrzenie. Żelazo-betonowe „poduszki" zamykają dostęp do ziemi, praktycznie rzecz biorąc, na zawsze. Zanim więc to nastąpi, trzeba sprawdzić, czy się tam pod spodem nie kryje coś, czego przeoczenie stanowiłoby niepowetowaną stratę.

Zwłaszcza ten ostatni wzgląd postawił wobec archeologii nowe wymaganie: pośpiech. Archeolog radziecki, dr. **J. A. Krasnow** informuje, że na południu ZSRR rozkopuje się rocznie 80 kurhanów. To znaczy — cztery i pół dnia wypada na kurhan. A przecież niektóre z nich usypano na kamiennych budowlach, grobowcach, każda garść ziemi je wypełniająca może kryć bezcenne skarby, więc cztery i pół dnia?

Do niedawna do narzędzi archeologa należały łopata, pędzel lub szczoteczka i własne palce. Ile kubłów ziemi można było przy ich pomocy przebadać? Chociaż kurhanów w Polsce niewiele, mówię o nich, bo charakterystyczne i ilustratywne. Można je policzyć na palcach bez rozpoznania wstępnego. A miarę wysiłku, jaki trzeba w ich odkopanie włożyć ujął dr. **A. Kitow** w te słowa: „Mamy w Bułgarii dziesięć tysięcy kurhanów. Musimy je zbadać, zanim nam to przemysł uniemożliwi".

Bywają różnej wielkości. Największy z bułgarskich nosi nazwę „Żabamogiła", takie bowiem skojarzenie nasuwa jego kształt. Ma 20 metrów wysokości, z 50 metrów długości. Gdyby taką masę ziemi przepuścić przez palce ekipy archeologów, to jak długo musiałoby to trwać? Przecież nie cztery i pół dnia. Przecież nie cztery i pół miesiąca! W „Żabamogile" znaleziono dwa unikalne kamienne budynki, pokryte świetnie zachowanymi kolorowymi ornamentami z czasów rzymskich, w jednym z nich — grobowiec z cenną zawartością, w drugim — między innymi nie mającą ceny płytę z wizerunkiem lwa. A więc warto było kopać. Ale, jak dotąd, z owych dziesięciu tysięcy zbadali Bułgarzy zaledwie pięćset kurhanów.

A więc zarówno Bułgarzy jak i Rosjanie, my, archeologowie całego świata stanęli wobec zagadnienia: jak przyspieszyć archeologiczne prace badawcze. Praktycznie chodzi o to, czy można palce, żmudnie rozkruszające grudkę po grudce zastąpić mechanizmem. Kiedy przed paru laty zwiedzałem Małą Azję, zauważyłem w Pergamonie transportery taśmowe wynoszące ziemię z zamulonego w ciągu dwudziestu stuleci amfiteatru. Ironia losu! Turcy te miejsca zburzyli i ograbili. Przed stu laty Niemcy wygrzebali rzeźby i fragmenty budowli z gruzów i wywieźli do berlińskiego muzeum. Obecnie Turcy z wielkim pietyzmem i nakładem kosztów rozkopują Pergamon, a także Efez, Troję i inne miejsca, by uratować od ostatecznej zagłady resztę.

Dygresja ta o tyle nie pasuje do tematu, że miejsca te rekonstruuje się nie w obawie przed inwazją przemysłu. Odkopuje się ślady dawnych wydarzeń i legend, rekonstruuje dawne miasta na użytek dzisiejszych turystów. Ale i tutaj zastosowanie urządzeń technicznych ma sens. Obniża koszty. Inna rzecz, że owe transportery taśmowe służą tylko do usuwania tej ziemi, którą już przebadano. Ale przebadano metodami tradycyjnymi, przy użyciu palców. Turcja ma jeszcze miliony tych palców do dyspozycji. U nas i na zachodzie zaczyna ich brakować.

Praca archeologa dzieli się na stadia. Najpierw — rozpoznanie, następnie kopanie, dokumentacja, konserwacja i wreszcie przechowanie znalezionych przedmiotów. Tylko ostatnie ma charakter statyczny. Poprzednie cztery są praco- i czasochłonne. Szuka się więc ratunku w mechanizacji. Ale czy bezduszny mechanizm potrafi przeszukać nawarstwioną przez wieki ziemię tak dokładnie, jak to robią ręce ludzkie? Archeologowie różnych krajów różne mają na to pytanie odpowiedzi, posługują się różnymi mechanizmami, stosują różne sposoby. Do ich pierwszej w dziejach tej dyscypliny konfrontacji doszło dzięki inicjatywie **kierownika Katedry Archeologii Uniwersytetu Łódzkiego, doc. dr h. Jerzego Kmiecińskiego.** On i współpracujący z nim archeologowie łódzcy rzucili hasło podjęcia wspólnego w tej mierze wysiłku i zorganizowali w Chojnicach **międzynarodowe sympozjum** sprawie tej poświęcone. Jak bardzo było potrzebne, świadczy o tym udział, obok polskich, czołowych specjalistów z Bułgarii, Czechosłowacji, Finlandii, Norwegii, NRD, Szwecji i ZSRR. Wartość zaś konferencji leży w tym, że przedstawiciele każdego z tych krajów zaprezentowali własne, wypróbowane przez siebie metody mechanizacji prac archeologicznych i własne punkty widzenia.

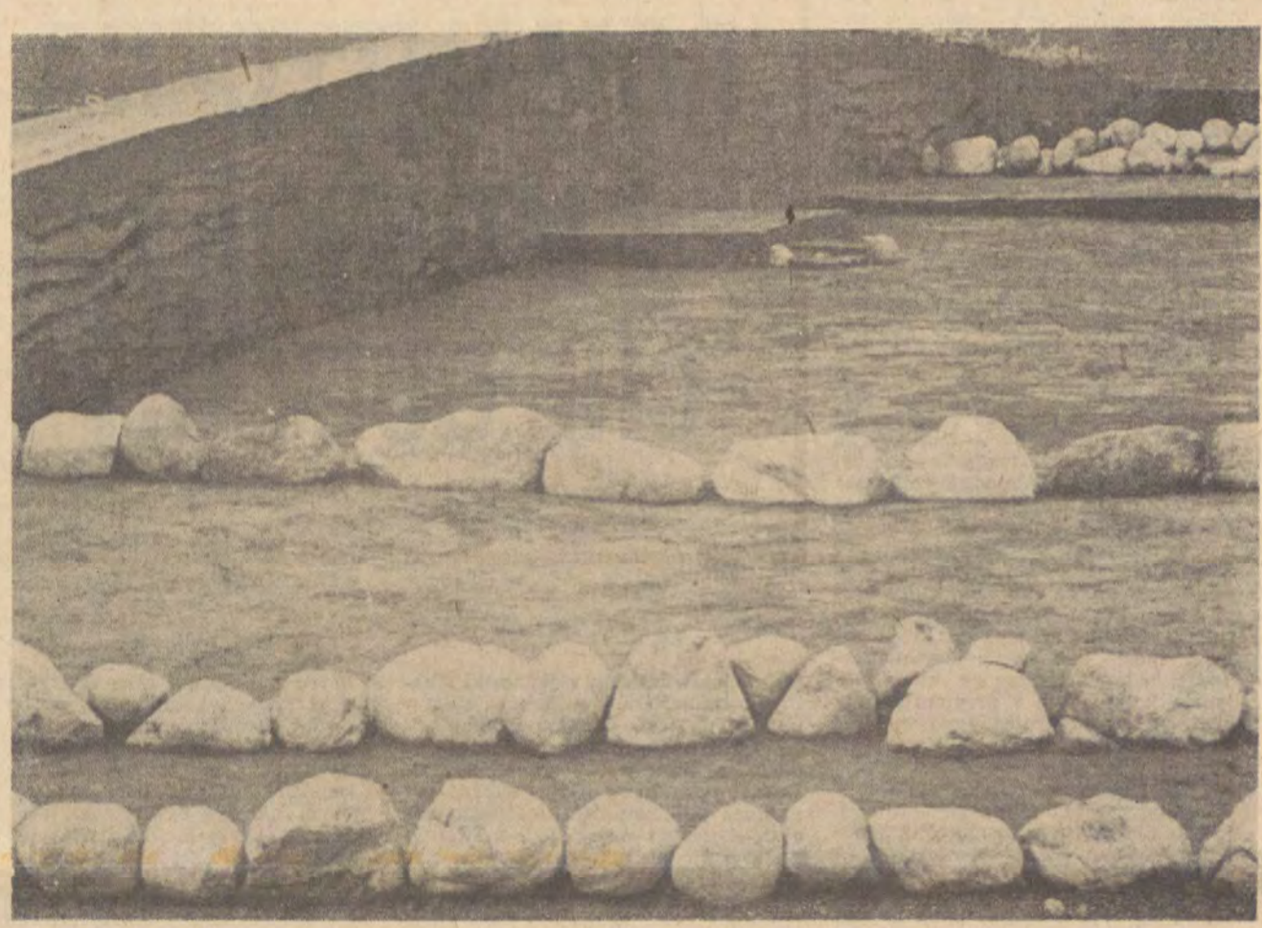

Foto: Archiwum

Skoro rozpoznanie terenu leży u podstaw pracy badawczej, zacznijmy od niego. Przykład mamy w zasięgu ręki. Bełchatów. Tysiące hektarów, z których zniknęła zieleń roślin, a krajobraz przyjmuje cechy martwego księżyca. Przez te obszary płyną rzeki i rzeczki. A nawet dziecko wie, że nasi nieokrzesani przodkowie chętnie obierali na siedliska tereny nadrzeczne. Jak je zbadać, skoro nie ma ludzi chętnych do łażenia po wertepach i nie ma czasu? Muszą pomóc mechanizmy.

Czesi, według relacji doktora **E. Plesla,** stosują w rozpoznaniu metodę magnetyczną. Zewnętrznie przypomina ona nieco zabiegi stosowane przez saperów, kiedy szukają min. Zawiesza się na szyi aparat wytwarzający pole magnetyczne. Jego wartości zmieniają się, jeżeli pod powierzchnią ziemi leżą jakieś przedmioty. Nie tylko metalowe, nawet ceramiczne. Wartości te archeolog zapisuje w postaci liczb. Komputer rysuje na ich podstawie zbiór linii przypominających warstwice. W miejscach zalegania przedmiotów, które mogą być pozostałością po ludzkiej egzystencji, linie stają się grubsze. Nałożone na mapę wyznaczają dokładnie punkty, w których należy kopać.

Inne metody rozpoznania terenu stosują Szwedzi. Jak mnie poinformował dr. **David Damell,** dla nich punktem wyjścia jest zawartość fosfatu w glebie. Bowiem tam wszędzie, gdzie bytował i rozrzucał odpadki człowiek, przetrwał ten właśnie związek chemiczny jako dowód ludzkich zanieczyszczeń. Tak więc obszar przeznaczony dla przemysłu, albo teren, w którym zwiad lotniczy dostrzegł zarysy niegdysiejszych pól uprawnych, poddaje się następującemu zabiegowi. Archeolog wyposażony w niewielki świder idzie po wyznaczonej linii, do plastykowych torebek pobiera próbki ziemi co 100 metrów, numeruje i przekazuje do analizy. Zawartość fosfatu w poszczególnych punktch nanosi się na mapę i stąd już tylko krok do nakreślenia granicy zalegania największej ilości tego związku. Metoda okazała się bardzo skuteczna, bowiem w 75 procentach przypadków obecność fosfatu zbiegła się z zaleganiem resztek dawnych osiedli. Ponieważ jedna osoba może dziennie pobrać do 80 próbek, Szwedzi uważają, że tak pomyślana praca przygotowawcza przebiega dość szybko.

Dla odmiany Finowie, którzy m. in. prowadzą poszukiwania osiedli z Epoki Żelaza, orientują się według znalezionych w ziemi zwęglonych resztek roślinnych. Tradycyjne metody suchego przesiewania nie na wiele się przydały i były bardzo pracochłonne. Archeologowie **Milton G. Nunez** i **Irmeli Vuorela** opracowali metodę odcedzania resztek roślinnych z mieszaniny ziemi z wodą. Całą operację przeprowadza się na miejscu, w terenie, resztki roślinne wyławia się sitem i przekazuje do laboratorium do dalszych badań.

Archeologowie radzieccy szeroko stosują wywiad lotniczy. Jest to sposób o tyle skuteczny, że wczesną wiosną lub późną jesienią fotografie robione z góry dość często ujawniają zarysy przekształceń dokonanych przed wiekami ręką człowieka. Jest to jednak metoda dość kosztowna i trudna organizacyjnie. W Związku Radzieckim o tyle dostępna, że w roku 1976 Rada Najwyższa ZSRR przyjęła ustawę „O ochronie i wykorzystaniu zabytków historii i kultury". Ustawa stwarza m. in. bazę materialną dla badań.

W gorszej sytuacji są archeologowie polscy. Owszem, wykonano zdjęcia lotnicze z wysokości 2,5 tys. metrów w celu stworzenia fotomapy kraju. Stanowią one jakąś pomoc w ujawnieniu i lokalizacji faktów zakłócenia jednorodności tzw. litosfery na interesującym archeologa obszarze. Aby jednak mógł on powziąć decyzję, w którym miejscu kopać, niezbędne są zdjęcia robione z niższego pułapu, 600 — 700 metrów. A to już zadanie trudniejsze, bowiem uczelnie polskie nie dysponują samolotami. W tej sytuacji Pracownia Archeologiczna Pracowni Konserwacji Zabytków w Łodzi (jej rzecznikiem na chojnickim Sympozjum był mgr **Z. Z. Lechowicz**) podjęła próbę dokonywania zdjęć przy pomocy modelu samolotu sterowanego falami radiowymi z umieszczonym w nim aparatem fotograficznym. Skoro uzyskanie zdjęć powierzchni księżyca nie wymaga dziś obecności fotografa na miejscu, tym chyba łatwiej dotrzeć przy pomocy aparatury na wysokość kilkuset metrów. Rzecz została technicznie rozpracowana w najdrobniejszych szczegółach. Samolocik z laminatu szklanego jest górnopłatowcem o rozpiętości skrzydeł około 3 metrów, długości kadłuba 2 metry 20 cm. Zaopatrzony w pół litra paliwa poleci do wysokości 600 metrów i na radiowe sygnały z ziemi wykona 24 zdjęcia.

Pomysł ten wysoko ocenił archeolog radziecki, prof. **B. A. Kołczin.** Tym niemniej nie udało mi się do końca wyjaśnić, dlaczego się go dotąd nie stosuje.

Fotograficznie dokumentuje się też każde stanowisko badawcze w czasie kopania. Tu również chodzi o robienie zdjęć z góry, ale z jeszcze mniejszej wysokości. W tym celu Szwed, dr. **E. Nylen** skonstruował składany trójnóg, na którego wysuniętym na wysokość dziesięciu metrów maszcie zawiesza się aparat fotograficzny. Migawkę uruchamia się z ziemi, sprężonym powietrzem. Polscy archeologowie z Krakowa montują w tym celu lekką, metalową, łatwo składaną i rozkładaną wieżę.

Nie mniej trudną, a zwykle jeszcze bardziej pracochłonną częścią zajęć archeologa jest kopanie. Przytoczyłem wyżej przykład ogromnego zwałowiska ziemi, jakim jest bułgarska „Żabamogiła". W Związku Radzieckim badają obiekt jeszcze większy. Jest nim Niżnij Nowgorod. Warstwa kulturowa ma tam do 10 metrów grubości. A jeśli nawet ilości ziemi, którą trzeba zdjąć i przesiać, nie są tak wielkie jak w wymienionych dwóch przypadkach, to archeologowie, działając najczęściej pod presją budownictwa, muszą się spieszyć. Jak zwiększyć tempo prac wykopaliskowych, aby jednocześnie nie przeoczyć najmniejszego koralika, który nierzadko od tysiącleci czeka, by dać świadectwo jakiejś prawdzie?

Powszechnie panuje przekonanie, że w pewnej mierze problem mogą rozwiązać maszyny budowlane, takie jak spychacze i koparki. Chodzi tylko o to, jaki typ maszyny najbardziej się do tego celu nadaje oraz jaką rolę ma odegrać. Wszyscy są zgodni co do tego, że przebadaną, przesianą przez sita lub palce ziemię należy usuwać przy pomocy transporterów i spychaczy. Urządzenia te przyspieszają też zasypywanie niepotrzebnych już dołów. Niejednakowy jest natomiast stosunek archeologów do wykorzystania maszyn w początkowej fazie badań. **Prof. Kołczin** zdecydowanie odrzuca możliwość dopuszczenia mechanizmów do warstwy kulturowej. Jego zdaniem tylko palce archeologa mogą wychwycić najdrobniejsze pozostałości dawnych kultur. **Dr Kitow** twierdzi, że uporać się z owymi tysiącami bułgarskich kurhanów można tylko stosując na dużą skalę maszyny. Sprawdza się więc wierzchnią warstwę aparatami elektronowymi i protonowymi, a następnie spychaczami zdejmuje usypisko aż do kamiennych, ukrytych pod spodem budowli. Oczywiście, jeżeli aparat lub oko archeologa coś dostrzeże, przechodzi się na badanie ręczne. Jak uczy doświadczenie, wiele kurhanów nie kryje w sobie niczego. Być może usypano je, by uczcić jakichś bojowników trackich, poległych daleko od ojczyzny. Zastosowanie metod tradycyjnych w tym przypadku równałoby się trwonieniu sił i możliwości.

Stosunek archeologów polskich do tych spraw nie jest jednakowy. Pracownicy **Zakładu Archeologii Małopolski IHKM PAN w Krakowie** zastosowali nawet ciężkie spychacze, ale tylko do zdejmowania wierzchniej warstwy ziemi ornej we wstępnej fazie badań oraz w ostatniej, do zasypania wyrobiska. Natomiast łodzianie, pracujący w **Katedrze Archeologii UŁ** pod kierunkiem doc. Kmiecińskiego wykazują w tej mierze wiele inwencji i chwalą sobie wyniki.

Wychodząc z założenia, że spychacz przejeżdża gąsienicami po odkrytej warstwie, skonstruowali z g a r n i a c z, wmontowany z tyłu ciągnika. Obserwowałem pracę tego urządzenia w Leśnie nie opodal Chojnic. Zdejmuje cienkie, kilkucentymetrowe warstwy ziemi, ale wycofuje się, kiedy odsłoni miejsce wymagające ostrożniejszego zbadania. Łodzianie nie podzielają też opinii, że owe liczne metry kubiczne ziemi trzeba koniecznie przepuszczać przez palce. Mianowicie w Raciążu prowadzi się badania na terenie spalonego przed wiekami dworu starosty. Zamiast wymacywać palcami zawartość warstwy kulturowej, archeologowie ustawili sita, nad nimi wyloty brezentowych rękawów i strumieniami wody rozmywają duże porcje ziemi. Jak powiedziałem, profesorowi Kołczinowi nie bardzo się to podobało, a przecież w mojej obecności wyjęto z sita garstkę żwiru, który nie spłynął z wodą i znaleziono w niej parę koralików oraz rzecz tak małą jak dwucentymetrowej długości ość jesiotra. Nawiasem mówiąc, tych ości znaleziono więcej, co świadczy, że jesiotr w owych czasach nie należał na naszych ziemiach do rzadkości.

Każdy kraj stosuje własne metody mechanizacji prac archeologicznych, zgodnie z własnymi możliwościami i potrzebami. W wyniku zorganizowanej przez Katedrę Archeologii UŁ sesji naukowej w Chojnicach wydany zostanie zbiór referatów, będący pierwszym na świecie vademecum współczesnego badacza przeszłości, zawierającym metody przyspieszenia prac polowych i innych, już przez kogoś sprawdzone. Wiele z nich, jako przeznaczone dla fachowców, zostało tu pominięte. Ale warto na zakończenie przytoczyć choćby taką informację. Panowało powszechne przekonanie, że prace wykopaliskowe prowadzi się tylko w sezonie letnim. Zadali temu kłam Szwedzi. **Dr Damell** opisał używany w jego kraju, ogrzewany ciepłym powietrzem namiot, który pozwala na kontynuowanie tych prac nawet w czasie największych mrozów.

Doc. dr Jerzy Kmieciński ocenił chojnickie spotkanie jako sukces: „O tym, że trafiliśmy w dziesiątkę — powiedział mi — świadczy fakt, że z wielu krajów przyjechali ludzie, którzy mają w tych sprawach najwięcej do powiedzenia".

Dla nas laików, obserwujących czasem z niepokojem ekspansję betonu, ważne jest to, że gąsienice maszyn budowlanych nie zmieszają z błotem bezcennych pamiątek przeszłości.

NA ZACHÓD OD ŁABY

Do tego stołu trzech przysiadło się konkurentów. A stół to obficie zastawiony. Spoczywają na nim miliardy do wzięcia. Krupp, Henschel i Flick. To owa trójka. To produkcyjne giganty, które od dłuższego już czasu toczą zacięte choć bezkrwawe boje o „Leopardy". Krupp współzawodniczy z Flickiem, a Flick z Henschelem. Kto kogo? Pardonu tu nie dają. Wygrasz gonitwę — zagarniesz miliardy, stracisz rytm na bieżni — musisz obejść się smakiem lub zadowolić resztkami.

Krupp to Krupp. Właściwie nie ma o czym mówić. Anton Krupp, ten pierwszy, zaczął w tym interesie kręcić już w 1812 roku. To on założył podwaliny pod przyszłą potęgę „armatnich królów". To „krupskie" kanony torowały w 1871 roku pruskiej armii drogę do serca Francji. To „gruba Berta", ta od Kruppa, wstrzeliwała się w Paryż w tej pierwszej wojnie światowej. To Krupp stanowił kuźnię rozdętych już prawdopodobnie zbrojeń hitlerowskiej armii.

Ostatni z „armatnich królów" Alfried Krupp von Bohlen und Halbach oświadczył po wyjściu z więzienia, gdzie odsiadywał wyrok za przestępstwa wojenne: „Dość tego. Koniec z armatami". Czy aby na pewno koniec? Ostatni z Kruppów poszedł do ziemi w 1967 roku. Koncern pozostał. Prosperuje jak być może nigdy przedtem. Koncern niczym nie gardzi, co dźwięczy złotą monetą.

Krupp siedzi w Essen. Henschel siedzi w Kassel.

Ten pierwszy Henschel zaczął jednak w Moguncji. Panu Bogu świeczka a diabłu ogarek. Otóż właśnie. Johann Henschel już w 1634 roku odlewał dla grafów kanony, dla moguncki proboszczów kościelne dzwony. Dziś Henschel zlał się w gigantyczny koncern z Thyssenem, tym od stali w Zagłębiu Ruhry. To jest dopiero firma. Ale jak się zdaje, w biegu po rządowe zamówienia, po miliardy w twardych markach, Kruppa i Henschela wykołował Flick.

Leopardy to „Leopardy", to supernowoczesne czołgi, najlepsze ponoć w tym zachodnim świecie.

„Leopard I" albo „Leo", jak czule o tym czołgu wyrażają się generałowie „Bundeswehry", jest potomkiem w prostej linii hitlerowskich „panter" i „tygrysów". „Leo" należy do tej samej rodziny krwiożerczych zwierząt na stalowych gąsienicach. Ogromne zamówienie na produkcję „Leoparda I" otrzymał Flick. Co do Kruppa, to zostały mu tylko resztki ze stołu. Wszystkiego ma Krupp wyprodukować 35 czołgów. Śmieszne. Ale w gruncie rzeczy dobre i to. Początek został zrobiony. Te bramy zostały wywalone. Perspektywy otwierają się kusząco.

Czy jest dziś lepszy interes od przemysłu zbrojeniowego?

Nie ma i długo nie będzie.

Hamburski „Die Zeit" podaje, że 100-markowa akcja przemysłu zbrojeniowego przyniesie w tym roku 40 marek dywidendy.

To są dopiero dochody. Średniowieczni lichwiarze ze średniowiecznej Moguncji ani marzyć nie mogli o takich zyskach. Czołgi są drogie. Powiedziałbym horrendalnie drogie. Pierwszy „Leopard" kosztował w 1963 roku milion marek. „Leopard II" kosztuje już cztery miliony. „Bundeswehra" zamówiła 1800 „leopardów" za 7,2 miliarda marek. Jeszcze dojdą „Gepardy", czołgi przystosowane do obrony przeciwlotniczej, za 4,4 miliarda.

„Leo II" to nowa generacja RFN-owskich czołgów.

Flick pozornie z Kruppem się dogadał. Flick dostarczył 990 czołgów typu „Leopard II". Krupp dostarczy ich 810.

To ciasto złożone z broni różnorakiej, od krótkiej zacząwszy na odrzutowcach skończywszy, bez porównania jest szersze, dłuższe i grubsze. Jest co krajać. Jest czym się dzielić. W zeszłym roku „Bundeswehra" pochłonęła 38,5 miliarda marek. Dla porównania — budżet wojskowy Francji nie przekroczył 33, Wielkiej Brytanii 28 miliardów. Spośród wszystkich państw Zachodu, pominąwszy oczywiście Stany Zjednoczone, najwięcej na zbrojenia wydaje Republika Federalna Niemiec. To są, niestety, te tradycje, te ciągoty, te korzenie sięgające tych pierwszych Kruppów i tych pierwszych Henschelów od „dzwonów i kanonów".

A w ogóle jakieś szaleństwo tkwi w tym na pewno. Pomyśleć, że świat wydał w zeszłym roku na zbrojenia 276 miliardów dolarów. „Kanonen statt Butter". Armaty zamiast masła. Smutno się robi, ale to hasło znów krąży po świecie. W głowie się mąci. Czy nie lepiej by było w armatę to wszystko nabić i wystrzelić?

JAN BĄBIŃSKI

ROMANTYCZNA LEGENDA CHE GUEVARY

10 lat temu zginął Che Guevara. W związku z rocznicą londyński dziennik „Guardian" w numerze datowanym z 8 października 1977 roku publikuje artykuł poświęcony wielkiemu rewolucjoniście, zawierający stwierdzenie, że jego śmierć pozostaje do dnia dzisiejszego tajemnicza. Autorem artykułu jest Richard Gott, który przed 10 laty przebywał w Boliwii.

Santa Cruz de la Sierra na tropikalnej równinie wschodniej Boliwii. Miasto to zostało założone w 1580 roku przez hiszpańskiego awanturnika Nuflo de Chaveza, który nadał mu nazwę od swojego miasta rodzinnego Santa Cruz w Sierra de Guadelupe, leżącego wśród wzgórz w prowincji Estremadura na zachodzie Hiszpanii. W jasny dzień, który jednak należy do rzadkości na tej wielce zachmurzonej równinie, która rozciąga się po Brazylię i Paragwaj na wschodzie, można zobaczyć z okien najwyższych kondygnacji linię wzgórz zachodniego horyzontu — podnóże Andów.

Tutaj, wśród tych wzgórz, w pobliżu Vallegrande, przed 10 laty inny poszukiwacz przygód walczył, został schwytany i poniósł śmierć. Ernesto Che Guevara de la Serna przeszedł bez wysiłku do historii i legendy. Pozostała po nim pamięć jako o człowieku, który próbował popchnąć naprzód historię, który próbował przyspieszyć rewolucyjne procesy, jako o człowieku, który porzucił próbę administrowania porewolucyjną biurokracją na małej wyspie karaibskiej i zamiast tego podjął jeszcze bardziej ambitne zadanie wzniecenia rewolucji na całym kontynencie latynoamerykańskim.

Żadna inna postać nie podbiła wyobraźni świata, jak Che Guevara od czasów Garibaldiego — człowieka, który także spędził swoje twórcze lata na kampanii w Południowej Ameryce. Oto jak Garibaldi opisuje w swoich pamiętnikach zetknięcie się z wczesnym stadium socjalizmu Saint-Simona: „Jeden z jego uczniów udowodnił mi, że człowiek, który broni swego kraju, jest żołnierzem cnoty, zaś ten, który atakuje kraje innych ludzi, jest żołnierzem nieprawości; natomiast człowiek, który staje się kosmopolitą i przyjmuje inny kraj za swój oferując swój miecz i swą krew wszystkim ludziom walczącym przeciwko tyranii jest więcej niż żołnierzem — jest bohaterem" Che Guevara jak Giuseppe Garibaldi jest takim właśnie kosmopolitą i bohaterem.

Urodzony w Argentynie w 1928 roku Guevara zmarł w Boliwii w wieku 39 lat. Tak się złożyło, że w ową niedzielę 8 października 1967 roku byłem w Santa Cruz de la Sierra. Trafiłem tu wraz z trzema innymi brytyjskimi dziennikarzami drogą powietrzną z miasta nafty Camiri na południu w kierunku argentyńskiej granicy. Byliśmy w Camiri na procesie Regisa Debray'a — młodego francuskiego pisarza, oskarżonego o współudział w partyzanckiej ekspedycji Guevary.

Jego proces, wielokrotnie odkładany, został ostatecznie wyznaczony na wtorek i myśleliśmy, że będzie można z pożytkiem spędzić weekend na wizycie w amerykańskim wojskowym obozie szkoleniowym w cukrowni Esperanza pod Santa Cruz. Tutaj, w opuszczonym agroprzemysłowym kompleksie, amerykański major „Pappy" Shelton miał od kwietnia swoją siedzibę i zaangażowany był w trening 600 boliwijskich rekrutów z jednostki wyznaczonej do akcji antypowstańczej. Była to wojna, w którą Amerykanie nie chcieli absolutnie angażować swoich własnych żołnierzy na polu walki. Guevara wezwał do stworzenia „dwóch, trzech, wielu Wietnamów", ale Amerykanie byli na tyle roztropni, że nie pomogli mu w realizacji tego apelu i nie wysłali swych ludzi na ugrzęźnięcie wśród dżungli i gór Boliwii. Zamiast tego Amerykanie przysłali „doradców" takich jak major Shelton. Po pięciu miesiącach szkolenia pierwsza grupa boliwijskich „Rangersów" została wysłana z bazy Esperanza na wzmocnienie wysuniętych pozycji 8 dywizji armii boliwijskiej w Vallegrande.

W samolocie DC-3 z Camiri do Santa Cruz przelecieliśmy nad strefą partyzancką — pociętym i niedostępnym, gorącym, górzystym i niegościnnym terenem. W bazie Esperanza powitali nas amerykańscy oficerowie. Było ich dwudziestu z jednostki służby specjalnej (zielone berety), stacjonującej w strefie Kanału Panamskiego. Mieli oni codzienny kontakt radiowy z główną kwaterą amerykańskiego dowództwa tej strefy, jak również pułkownikiem Josephem Rucem — szefem stałej misji militarnej Stanów Zjednoczonych w Boliwii stacjonującym w Cochabamba. Starali się oni za wszelką cenę wykazać, że nie angażują się zbytnio w akcje podkreślając, że ich rola ogranicza się wyłącznie do szkolenia wojskowego. Powiedzieliśmy majorowi Sheltonowi, że tydzień temu podczas wizyty w bazie Vallegrande widzieliśmy dobrze zbudowanego białego człowieka w zielonym uniformie wojskowym, który jak najwyraźniej nie był Boliwijczykiem. Major Shelton zaklinał się, że o niczym nie wie, chociaż po pewnym czasie odkryliśmy pewną liczbę kubańskich uchodźców, pod egidą CIA występujących w roli łączników pomiędzy Vallegrande, Camiri i La Esperanza.

W niedzielę odpoczywaliśmy w Santa Cruz porządkując notatki. Podczas wieczornego spaceru wokół głównego placu miejskiego — jak każe zwyczaj we wszystkich hiszpańskich i południowo-amerykańskich miastach prowincjonalnych — natknęliśmy się na Amerykanina z bazy Esperanza siedzącego w narożnej kafejce.

„Che został schwytany" — powiedział — „ale jest ciężko ranny i może nie przeżyć nocy". Tę wiadomość słyszał on w bazie przez krótkofalówkę.

Złapaliśmy jeepa, służącego za taksówkę na pozbawionych chodników ulicach Santa Cruz i udaliśmy się do głównej kwatery 8 dywizji na przedmieściach miasta dla potwierdzenia informacji. Boliwijscy żołnierze nie wiedzieli o niczym. Zapytaliśmy szofera jeepa, czy mógłby nas zabrać do Vallegrande — miasta na krawędzi strefy partyzanckiej. By się tam dostać, trzeba 5 godzin nocnej jazdy. Szofer zawahał się i w oczywisty sposób przeraził. W końcu zgodził się pod warunkiem, że wyruszymy w podróż o świcie i znajdziemy się w strefie partyzanckiej w poniedziałek rano, gdy słońce będzie już wysoko na niebie.

Wyruszyliśmy o 4 rano zatrzymując się na kawę w Samaipata, wsi przy głównej drodze pomiędzy Santa Cruz i Cochabamba, którą partyzanci Guevary zajęli przed trzema miesiącami. Sklepikarz wskazał nam miejscę, w którym niegdyś był telefon, ale został zerwany ze ściany. Partyzanci — powiedział — zażądali medykamentów, ale nie było dla nich nic.

Następnie udaliśmy się na południe od głównego szlaku, drogą prowadzącą do Vallegrande. Przybyliśmy tu około 9 rano. To stare, hiszpańskie, kolonialne miasto ze swoimi stromymi i wąskimi wybrukowanymi ulicami pełne było boliwijskich żołnierzy znajdujących się w stanie najwyższego podniecenia. Z trawiastego pasa startowego pod miastem, helikopter utrzymywał wahadłową komunikację między Vallegrande a wsią La Higuera jeszcze dalej na południe, gdzie najoczywiściej przetrzymywano Guevarę.

Zakazano nam dalszej podróży jeepem pod pretekstem, że nadal trwają walki, a masywnie zbudowany biały człowiek z CIA ubrany w zielony uniform, na którego natknęliśmy się na lotnisku, próbował nas wyprawić z powrotem do Santa Cruz. Nie było wątpliwości co do tego, że drażniły go nasze aparaty fotograficzne. Jednakże boliwijscy oficerowie mieli w tym dniu do okazania tak wielki sukces, że nie troszczyli się o kilku zagranicznych dziennikarzy. Powiedziano nam, że w południe będzie „wiadomość".

O godzinie pierwszej helikopter przywiózł z La Higuera dowódcę 8 dywizji, gen. Zenteno Anayę. Guevara — powiedział on lakonicznie — nie żyje. Nie podał jednak żadnych szczegółów. Mogliśmy przypuszczać, że zmarł z odniesionych ran. Po południu DC-3 z boliwijskich sił powietrznych przywiózł z La Paz boliwijskiego dowódcę, gen. Alfredo Ovando. Następnie o piątej helikopter przyleciał jeszcze raz z La Higuera. Do płozy startowej maszyny przywiązane były nosze, na których znajdowały się zwłoki. Lotnisko otoczone było przez żołnierzy i niemożliwy był jakikolwiek ruch. Z daleka zobaczyliśmy, że ciało zostało przeniesione do furgonetki, która odjechała z dużą szybkością i zniknęła nam wkrótce z pola widzenia. W tym momencie wydawać się mogło, że sprzed naszych oczu znikają wszelkie dowody. Czy był to rzeczywiście Guevara? Czy już nie żył? Jak zginął? Jeśli nie pojedziemy za furgonetką, nie dowiemy się tego nigdy.

Dziwnym zbiegiem okoliczności z tłumu wyłonił się ksiądz, podszedł do nas i podjął rozmowę. Okazało się, że pochodzi z Nowej Zelandii. Powiedział nam, że domyśla się, dokąd udała się furgonetka. Wskoczyliśmy do jeepa i udaliśmy się w kierunku wskazanym przez zesłanego zrządzeniem opatrzności księdza. Dogoniliśmy furgonetkę i podążaliśmy za nią w bezpośredniej odległości, tak że nie mogła nas zgubić. Furgonetka wjechała na jakiś dziedziniec na przedmieściu miasta i zatrzymała się przed małym barakiem, który służył za pralnię.

Reszta jest historią. Gdy otwarły się tylne drzwi furgonetki, wybiegł z niej agent CIA, wykrzykując po angielsku: „Do diabła, wynoście się stąd". A we wnętrzu furgonetki na noszach leżały zwłoki Che Guevary. Wszystkie relacje są — jak się wydaje — zgodne co do tego, że został on schwytany w niedzielę po południu, był przetrzymywany w La Higuera przez noc i zastrzelony w poniedziałek rano z upoważnienia boliwijskiego prezydenta — gen. Rene Barrientosa. Jednakże mam pewną wątpliwość. Kiedy zobaczyłem ciało Guevary w furgonetce, miał on zielone skarpetki na nogach i — jak napisałem wówczas w depeszy do „Guardiana" — „miał założone mokasyny, jak gdyby zastrzelono go podczas rączego biegu przez dżunglę".

Kilka lat później w Hawanie natknąłem się na urugwajskiego pisarza, Carlosa Marię Gutierreza, który pisał oficjalną, autoryzowaną przez Kubańczyków biografię Guevary. Gutierrez pokazał mi nieznaną fotografię nieżyjącego Guevary na noszach, ale bez butów. Długie cienie na fotografii wskazywały, że jak gdyby została ona wykonana w La Higuera późnym wieczorem. W takim przypadku czyż nie jest możliwe, że Guevara już nie żył w niedzielę w nocy? Czemu nie było butów na hawańskiej fotografii i dlaczego nosił Guevara wykonane sposobem domowym mokasyny, kiedy pokazano go w Vallegrande? Dla mnie jest to nie rozwiązana zagadka. Chociaż z opracowanego przez Gutierreza życiorysu Guevary zostały opublikowane wyjątki, to Kubańczycy nigdy nie zatwierdzili jego książki do publikacji.

Gdyby Guevara mógł wstać z martwych i przybyć do Londynu, jak niegdyś Garibaldi, to być może milion ludzi wyległoby, by go zobaczyć, jak Garibaldiego. Jednakże nie ma takiej możliwości i dlatego Guevara przetrwał tylko w formie wizerunku jego twarzy na milionach koszulek.

CHODZĄC PO AMSTERDAMIE

Błądziłem po Amsterdamie.

Znam cudowne, średniowieczne piękno tego ze wszech miar godnego podziwu grodu. Stare mieszczaństwo. Kupieckie rody. I całe ulice, wąskie i stłoczone, zabudowane powielanymi jakby bez końca „Dworcami Artusa" z naszego Gdańska. Długi Targ w Gdańsku. Wysmukłe, lśniące, stylowe kamienice. W Amsterdamie wszystkie niemal ulice są „Długim właśnie Targiem". Są pełne architektonicznych cudów. Właściwie całe miasto jest takie jakim było przed wiekami, w średniowieczu i nieco później, kiedy Holandia panowała na morzu i panowała w sztuce, rzemiośle i handlu.

Są dziś różne Amsterdamy.

Jest Amsterdam stary, nobliwy, mieszczański i wciąż nieprawdopodobnie bogaty. Każde amsterdamskie mieszkanie w tych strzelistych, gotyckich kamienicach, mogłoby uchodzić za muzeum późnogotyckiej i renesansowej sztuki. Tyle w tych mieszkaniach zabytkowych mebli, tyle starych obrazów, tyle sreber, złota, wreszcie dywanów i rzemieślniczych cudów powyrabianych z mistrzowskim kunsztem. Bogate są te mieszkania. Kapiące dobytkiem gromadzonym przez całe pokolenia skrzętnych, obrotnych, pracowitych i oszczędnych „Dutchmenów".

Jest też Amsterdam podziemny, odpychający, groźny i zatruty.

Przez tych kilka ostatnich lat ogromnie dużo się w Amsterdamie zmieniło. Wszędzie się zmieniło. Hippisowski ruch wymarł. Przestał być modny. Dziś duża część zachodniej młodzieży tknięta jest powiewem mistycyzmu. W modzie są religie Wschodu. W modzie jest kontemplacja nad nicością życia i ułudą ludzkich poczynań. Marność nad marnościami. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Jakoś nago przyszedł na ten świat, tak nago powrócisz, a wszystko ostawisz. W modzie jest dziś na Zachodzie introspekcja, wglądanie w głąb samego siebie, w głąb swojej własnej duszy. Poznaj samego siebie.

Coś z dawnego hippisowskiego ruchu jednak zostało. Siew zrobił swoje. Zapuścił korzenie. I niepostrzeżenie zmienił nie tylko amsterdamskie obyczaje. Tym posiewem jest narkomania. Jest opium, haszysz i heroina. Nie bez zdumienia przeczytałem w „Le Monde", że obecnie masa Holendrów używa narkotyków. Ci dawni hippisi wydorośleli. Pozakładali rodziny. Ustatkowali się. Ale nałóg pozostał.

„Hash" to oczywiście haszysz.

Narkomani z „Dam", z „Vondelpark", z tych krętych uliczek średniowiecznego Amsterdamu, poprzenosili się do domów.

Narkomania z ulicy przeszła do mieszkań.

Proszek biały lub brunatny. Opium zniknęło z ulic Amsterdamu. Pojawiła się heroina.

Pamiętamy ten film „Francuski łącznik". Owszem, był taki czas, że te heroinowe szlaki prowadziły do Marsylii. Przeminęło. I chyba nie wróci. Dziś taki film powinien już nosić tytuł „Chinese connection". Jego bohaterem winien być chiński łącznik. Osiadły w tej najstarszej, najciekawszej i najbardziej też mrocznej dzielnicy Amsterdamu. Chińczyk o kamiennej, dziwnie nieruchomej twarzy, który ma łączność z Hongkongiem, Singapurem, Malazją i Bangkokiem. Chińska dzielnica. Mieszka w niej dziesięć tysięcy niezwykle zalatanych niskich ludzi, o twarzach z żółtego pergaminu.

Obserwowałem amsterdamskich Chińczyków.

Są ponurzy. Odosobnieni. Siedzą nieruchomo przed nocnymi lokalami i wcale nie mają chińskiego uśmiechu na kamiennych twarzach.

Hasz? Heroine? Ależ proszę, jeden gram 150 florenów.

Czy wszystko teraz jasne? Jeden gram heroiny to tyle, co 50 dolarów. Cena zupełnie fantastyczna. Jeden gram złota u amsterdamskich jubilerów kosztuje 4—5 dolarów, a jeden gram heroiny kosztuje u chińskich „junkies" 50 dolarów. To jest dopiero interes! Inna sprawa, że ryzyko jest duże. Dla „junkiego". Bo wobec tych, którzy heroiny zażywają w formie chociażby tabaczki, policja nader jest pobłażliwa. Wlepia mandat i tyle. Mniej więcej w wysokości mandatu za przejście ulicy w niedozwolonym miejscu.

Narkomanów próbuje się w Holandii leczyć na wydzielonej farmie w Loosduinen pod Hagą. Psychoterapia. To ma być ten lek. Ma być, ale nie jest. Narkomana trudniej nawet wyleczyć niż alkoholika. Są tacy, co opadli już na samo dno. Im nic już nie pomoże. Więc dla tych ludzkich szczątków otwarto w Amsterdamie azyl. Przy ulicy Spuisstraat. Dom jak każdy inny. Zadbany. Nobliwy. Zabytkowy. Co się dzieje wewnątrz tego domu przypomina piekło. Przebywa tu ponad 100, młodych najczęściej ludzi, którzy powoli dogorywają. Wolno im tu zażywać heroinę po zniżonych nawet do minimum cenach. Do każdego pensjonariusza rząd dopłaca po 65 florenów dziennie.

To jest „huk" — powiadają Holendrzy.

„Huk" po holendersku, to salon.

To jest ten ostatni przystanek. Ostatnia już stacja dla stu narkomanów. Z tej stacji pociągi już nie odchodzą. Tu się jeszcze żyje. I tutaj powoli się umiera.

Heroinę kupuje się w tym najstarszym i najpiękniejszym Amsterdamie znanym z odbitek na kartkach pocztowych. Heroinę kupuje się w kioskach z gazetami, w schludnych i miłych kwiaciarniach, kupuje się na przykanałowym ulicznym bazarze i kupuje się w ciemnym kącie zawsze mrocznych antykwariatów. Według „Le Monde", a jest to dziennik uważany za najlepiej poinformowany w świecie, półtora miliona Holendrów narkotyzuje się codziennie. Dawki to małe, przyjmowane z rozwagą, stosowane w dopuszczalnych ponoć granicach. Tylko, że ta granica jest cienka jak nić. I tak łatwo jak nić się urywa.

DIEGO GARCIA

AMERYKAŃSKA BAZA W TROPIKU

Już od sześciu lat trwają prace przy budowie amerykańskiej bazy morskiej na wyspie Diego Garcia na Oceanie Indyjskim. Wciąż rosnący kontyngent amerykańskich żołnierzy zagraża niepodległości afrykańskich i azjatyckich krajów tego rejonu, stwarza atmosferę napięcia i groźby agresji. Już teraz z lotniska na Diego Garcia startują samoloty wykonujące loty wywiadowcze nad Zatoką Perską, Morzem Czerwonym i Wschodnią Afryką. Obecnie przygotowuje się lotniska do przyjmowania bombowców B-52, a lagunę poszerza się i pogłębia, żeby mogły w niej zakotwiczać lotniskowce.

Mechanicy i pracownicy służb naziemnych zapoznają się z samolotami wywiadowczymi dalekiego zasięgu typu P3 „Orion". Anteny przekaźników widać gołym okiem. Mówi się, iż na wyspie zainstalowano supertajne urządzenia łączności. Wszystko to wskazuje, iż baza wojskowa na wyspie Diego Garcia jest jednym z najważniejszych ogniw w komunikacyjnym systemie Pentagonu.

Niegdyś Ocean Indyjski był strefą wpływów byłego imperium brytyjskiego i w wykazie „amerykańskich problemów" zajmował ostatnie miejsce. Jednakże proces dekolonizacji, nieustanny wzrost popularności idei narodowowyzwoleńczych, klęska Amerykanów w Wietnamie, niepowodzenia Francuzów na Madagaskarze, na Komorach (wyspy na Kanale Mozambickim — red.) i w Dżibutti, wreszcie kryzys energetyczny oraz rosnąca zależność Zachodu od arabskiej nafty spowodowały, iż Stany Zjednoczone postanowiły zrewidować swój „punkt widzenia" na tę strefę świata. W wyniku tej „reorientacji" Pentagon zaczął budować bazę wojskową w samym sercu Oceanu Indyjskiego — na Diego Garcia — a rząd amerykański zacieśnił wojskową i ekonomiczną współpracę z Arabią Saudyjską, RPA i innymi reakcyjnymi reżimami, które bez wahania podjęły się roli żandarmów na tamtejszych drogach naftowych. Jednocześnie zaktywizowały one swoją afrykańską dyplomację, głównie we wschodniej części kontynentu, starając się przeszkodzić ostatecznemu rozgromieniu twierdz białych kolonizatorów na południu Afryki, pełniących funkcje obrońców strategicznych interesów Zachodu. Po wojnie arabsko-izraelskiej, w październiku 1973 roku, amerykańscy stratedzy zaczęli po „nowemu" patrzeć na problem Oceanu Indyjskiego.

Kiedy podejmowano decyzję założenia amerykańskiej bazy wojskowej na Oceanie Indyjskim, ówczesny szef sztabu sił zbrojnych USA sprecyzował interesy amerykańskich kół wojskowych w następujący sposób: „Takie wydarzenia, jak wojna arabsko-izraelska, embargo na naftę, podwyższenie cen na ropę naftową, pokazały że nasze interesy w Europie i Azji są nierozerwalnie zwiazane z interesami na Oceanie Indyjskim. Stał się on rejonem, w którym, w najbliższym dziesięcioleciu, mogą nastąpić wydarzenia bardzo dla nas niekorzystne. A zatem powinniśmy stworzyć mechanizmy zdolne do wywierania określonych wpływów w tym rejonie, wyasygnować środki na aktywizację naszej wojskowej obecności".

Stopień zależności zachodniej ekonomiki, a przede wszystkim amerykańskiej, od sytuacji w strefie Oceanu Indyjskiego należy uzależniać — według opinii kół afrykańskich — od potencjału surowcowego krajów basenu Oceanu Indyjskiego oraz transportu morskiego. Jeśli chodzi o to pierwsze kryterium, to kraje Zatoki Perskiej i Morza Czerwonego dysponują około 60 procentami światowych zapasów nafty. Według większości publikowanych ocen, poczynając od 1980 roku, zachodnia Europa będzie kupować w tej strefie miliard ton nafty rocznie, Japonia — 600 milionów ton. Dodajmy, iż mimo importu indonezyjskiej nafty i szerokiego programu rozwoju energetyki jądrowej, Japonia, pokrywając 90 proc. swego zapotrzebowania na naftę z dostaw państw Zatoki Perskiej, w przeciągu bieżącego 10-lecia będzie od nich uzależniona nieomal całkowicie. Europa znajduje się w sytuacji analogicznej: Włochy kupują od państw Zatoki Perskiej ponad 3/4 potrzebnej im nafty, Anglia i RFN — 2/3, Francja — połowę. Mimo eksploatacji złóż nafty z dna Morza Północnego i rozwoju energetyki jądrowej, objętość zakupów (przez Europę zachodnią) nafty, w okresie od 1975 do 1985 roku powinna przypuszczalnie wzrosnąć o 450 procent. Bardziej niezależne od nafty z Zatoki Perskiej były do niedawna Stany Zjednoczone, ale ich zakupy wzrosły do 25 procent. Poczynając jednak od 1977 roku USA wchodzą w okres tzw. krytycznej zależności, który, jak oceniają specjaliści, potrwa osiem lat. Stany Zjednoczone, które już zainwestowały półtora miliarda dolarów w państwa Zatoki Perskiej, kontrolują połowę naftowego przemysłu wydobywczego tego rejonu. Od 1980 roku wydatki USA na naftę będą wynosiły w przybliżeniu 10 miliardów dolarów.

USA są zainteresowane Oceanem Indyjskim także i dlatego, że przecinają go drogi prowadzące do złóż szeregu ważnych surowców strategicznych. To samo można powiedzieć o większości członkowskich krajów NATO. Ponadto Stany Zjednoczone wywożą z Afryki 35 procent diamentów, 30 procent kawy, tyleż platyny 20 procent rtęci, 40 procent manganu 47 — chromu. Znaczną część minerałów potrzebnych Amerykanom wydobywa się na południu Afryki — w RPA, w południowo-zachodniej Afryce i w Rodezji. Na przykład w Republice Południowej Afryki lokują USA połowę wszystkich swoich afrykańskich inwestycji. Według niektórych ocen, inwestycje Stanów Zjednoczonych w przemyśle krajów basenu Oceanu Indyjskiego sięgają już blisko 10 miliardów dolarów.

Drugie kryterium — transport — jest niemniej ważne. W roku 1974 około 56 procent statków, które przepłynęły przez Ocean Indyjski należy do krajów NATO. (W sumie około 46 tysięcy rejsów). Jak podaje senegalski tygodnik „Afrique" ukazujący się w Dakarze, każdego dnia, mniej więcej, 3 miliony ton nafty transportuje się statkami przez Cieśninę Ormuz albo na Daleki Wschód, albo przez Morze Czerwone i Kanał Sueski, omijając niekiedy Południową Afrykę, kieruje się naftę na gigantyczne rynki Europy i obu Ameryk. Około miliona ton ropy naftowej dziennie przewozi się drogą morską wokół Przylądka Dobrej Nadziei.

Usilnej krzątaninie USA wokół „problemu" Oceanu Indyjskiego towarzyszy, jak zwykle w takich wypadkach, niesłychana wrzawa o „naruszeniu równowagi" w strefie Oceanu Indyjskiego na korzyść ZSRR, choć doskonale wiadomo, iż Związek Radziecki nie ma tam baz wojskowych. Tezę o „radzieckim zagrożeniu" rozdmuchują koła NATO i kompleks wojskowo-przemysłowy USA tym intensywniej, im bliższy jest termin debaty w Kongresie nad budżetem wojskowym lub nad projektem zbrojeń. Mimo ultranowoczesnej bazy wojskowej na Diego Garcia, USA nie są w stanie ostatecznie rozwiązać problemu „bezpieczeństwa" na Oceanie Indyjskim w tym sensie, w jakim go rozumieją. Rzecz w tym, że RPA, sojusznik USA na południu afrykańskiego kontynentu, zgadza się na udział w „obronie" regionu, ale pod warunkiem, iż Zachód przymknie oczy na reżim apartheidu. Przez długi czas problem ten nie sprawiał większego kłopotu zachodnim mocarstwom, które na forum ONZ czy też na forum innych międzynarodowych organizacji, udaremniały naciski na izolowanie RPA, rozumiejąc, iż w przeciwnym wypadku same się pozbawią wielkiego dostawcy drogocennych surowców i niezastąpionego dozorcy na jednej z naftowych tras morskich. Wpływowe koła Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii, Francji, RFN i Izraela rozdmuchują „strategiczne" oraz „prozachodnie" znaczenie Południowej Afryki i robią wszystko, żeby tylko zneutralizować opinię publiczną swoich krajów, która żąda zajęcia wobec RPA twardej pozycji. Wojskowy potencjał RPA jest duży, dysponuje ona armią lądową, flotą morską wyekwipowaną przez Francję i Anglię, stacją podsłuchową w bazie wojskowej w Simonstown, która kontroluje całą zachodnią strefę Oceanu Indyjskiego. Terytorium kraju pokrywa sieć lotnisk, a na wybrzeżach usytuowano liczne porty wojskowe. Jednakże nowa sytuacja na południu tego kontynentu, jak powstanie niepodległych państw — Angoli i Mozambiku — nieustanne narastanie fali ruchów narodowowyzwoleńczych i inne zmusiła, jak wiadomo, Zachód do rewizji swego stosunku wobec problemów Południowej Afryki.

JERZY CZECH

ECHA POKOJOWEJ INICJATYWY ZSRR

„Pokój, pokojowa przyszłość narodów, postęp — oto droga, którą szedł i będzie iść stale Związek Radziecki" — powiedział sekretarz generalny KC KPZR, Leonid Breżniew, występując na przyjęciu przedstawicieli dyplomatycznych akredytowanych w Moskwie. Szerokie echa nowych radzieckich inicjatyw pokojowych zmierzających do rozwiązania najważniejszego i najpilniejszego problemu naszych czasów: zahamowania wyścigu zbrojeń i usunięcia groźby wojny jądrowej wskazują, jak wielkim ogólnoświatowym poparciem cieszy się kierunek polityki Związku Radzieckiego. Wystąpienie Leonida Breżniewa wysoko oceniły rządzące koła wielu krajów zachodnich.

Tokijski dziennik **„Asahi-Shinbun"** podkreśla, iż Związek Radziecki był inicjatorem zawarcia porozumienia o częściowym zakazie prób z bronią jądrową, na XXIV Zjeździe KPZR wysunął Program Pokoju, na XXV Zjeździe rozszerzył go, a w nowej konstytucji ZSRR po raz pierwszy na świecie konstytucyjnie utrwalił swoje zdecydowane dążenie do osiągnięcia ogólnego i pełnego rozbrojenia. Tym samym ZSRR konsekwentnie prowadzi politykę pokojową. Pokojową ofensywę, która znalazła odbicie w sprawozdaniu L.I. Breżniewa z 2 listopada, której najważniejszym elementem jest rozbrojenie atomowe, można nazwać nowym ogniwem w długim łańcuchu wytrwałej pokojowej polityki Związku Radzieckiego.

W artykule wstępnym bostońskiego dziennika **„The Christian Science Monitor"** czytamy m.in.: „Apel radzieckiego przywódcy L.I. Breżniewa o ogłoszenie moratorium na wszystkie próby jądrowe, a w tej liczbie także na wybuchy jądrowe dokonywane w celach pokojowych, jest wydarzeniem napawającym wielką otuchą. Zawarcie porozumienia o zakazie próbnych wybuchów jądrowych miałoby ważne znaczenie nie tylko jako końcowy stopień rozpoczętych w latach 60-tych prób wprowadzenia zakazu wszelkich wybuchów jądrowych — w atmosferze, pod wodą, w przestrzeni kosmicznej i pod ziemią — lecz byłoby także wielkim osiągnięciem politycznym".

Obserwator polityczny londyńskiego **„Observera"** podkreśla w komentarzu, iż „propozycja L.I. Breżniewa o zakazie na określony czas wszelkich prób z bronią jądrową, włącznie z ogłoszeniem moratorium na wybuchy w celach pokojowych wita się na całym świecie z niekłamanym zadowoleniem, jako gest utwierdzający wiarę w odprężenie. Jeśli doprowadzi to do międzynarodowego porozumienia o zakazie wszelkich prób jądrowych, to będzie to już nie gestem, lecz historycznym wydarzeniem".

Hinduska gazeta **„National Herald"** zwraca uwagę, że „rozbrojenie jądrowe, które proponuje L.I. Breżniew zapewni trwały pokój i otworzy przed narodami świata nowe perspektywy postępu. Związek Radziecki jest potężnym, wysoko rozwiniętym mocarstwem. Odrzuca on egoistyczną politykę izolacjonizmu i nacjonalizmu i dąży do tego, by każdy naród miał otwartą drogę do postępu, wyraża gotowość przyjścia z pomocą krajom rozwijającym się w ich dążeniach do zapewnienia niepodległości. Jednakże preludium do tego postępu powinno się stać rozbrojenie. Związek Radziecki wytrwale walczy o osiągnięcie tego celu".

(C)

U PRZYJACIÓŁ

Na łamach prasy radzieckiej od dłuższego czasu toczy się dyskusja nad poszerzeniem zakresu kształcenia estetycznego młodzieży szkolnej o nowy przedmiot — podstawy sztuki filmowej. Zasadność tego złożonego przedsięwzięcia jest oczywista w świetle postanowień XXV Zjazdu KPZR stwierdzających, że we współczesnej epoce stale wzrasta rola literatury i sztuki w procesie formowania światopoglądu, obyczajów i kultury duchowej społeczeństwa radzieckiego. Kino jako najbardziej masowa i popularna ze wszystkich dziedzin sztuka, kształtuje poczucie smaku estetycznego dzieci i młodzieży. A jednocześnie wiadomo, że młodzież ta bardzo często nie potrafi właściwie patrzeć na film i dostrzegać zawarte w nim wartości. Zdaniem dyskutantów, nowy przedmiot — atrakcyjny w swym założeniu — powinien jak najszybciej znaleźć się w programie szkolnych zajęć.

O problemach organizacyjnych tego unikalnego w szkolnictwie światowym przedsięwzięcia — pisze w „Sowietskiej Kulturze" G. Asiejew — naczelnik wydziału oświaty Moskiewskiej Rady Miejskiej:

— Wprowadzenie „zasad sztuki filmowej" do dziesięciolatki wymaga jeszcze dokonania szeregu posunięć administracyjnych, co jest już tylko kwestią czasu, ale również i rozwiązań złożonych problemów organizacyjno-technicznych. Tu na czoło wysuwa się kwestia kadr. Kto potrafi podjąć się prowadzenia metodycznych zajęć z dziedziny historii filmu? Wiadomo, że autorytet nauczyciela opiera się na jego głębokiej znajomości przedmiotu. Tylko wówczas, moim zdaniem, może on liczyć na szacunek i poważanie młodzieży. Wykładowców „zasad sztuki filmowej" należy szukać więc poza murami szkoły. Kształci ich m. in. Moskiewski Instytut Pedagogiczny, gdzie od sześciu lat prowadzone jest seminarium „Wykształcenie filmowe w szkole". Projektuje się wprowadzenie podobnego typu zajęcia w innych uczelniach pedagogicznych — stopniowo więc szkoły średnie powiększą się o kadry nauczycieli przygotowanych do wykładów o sztuce filmowej. Ale jest jeszcze inny aspekt edukacji w interesującej nas dziedzinie. Praktyka wykazała, że najbardziej efektywne wyniki w kształceniu estetycznym młodzieży — w zakresie m. in. muzyki i plastyki dają kontakty ze specjalistami tych dziedzin sztuki. Dotyczyć to może i filmu. Tak więc nic nie stoi na przeszkodzie, aby na zajęcia z historii i dnia dzisiejszego filmu zapraszać do szkół właśnie filmowców, ludzi obcujących bezpośrednio z tajnikami X Muzy. Czy trzeba dodawać, że wzmoże to zainteresowanie młodzieży tematyką, kiedy przyjdą do nich znani twórcy — reżyserzy, scenarzyści, historycy filmu?

☆ ★ ☆

Minęła 90 rocznica urodzin Arnolda Zweiga, wybitnego prozaika niemieckiego, laureata Leninowskiej Nagrody Pokoju, autora słynnego 6-tomowego cyklu powieściowego „Wielka wojna białych ludzi", ukazującego naród niemiecki w czasie I wojny światowej. A. Zweig był jednym z pierwszych pisarzy niemieckich, którzy ujawnili prawdziwe przyczyny tej wojny. Wraz z Henrykiem i Tomaszem Mannami należał do nielicznej grupy twórców mieszczańskich, którzy zajęli zdecydowanie wrogą postawę wobec imperializmu niemieckiego. Wrażliwy na zło i niesprawiedliwość, odważnie reagował na problemy społeczno-polityczne swojej epoki. Dwie wojny światowe, Rewolucja Październikowa, powstanie NRD, oto wydarzenia, które stanowiły tło wielu powieści, opowiadań, nowel pisarza. Szczególnie interesowały A. Zweiga przemiany ideologiczne i moralne, zachodzące w świadomości mieszczańskiej inteligencji niemieckiej. Z tego właśnie środowiska pochodzi większość jego bohaterów.

Większość powieści A. Zweiga została przełożona na język polski, m. in. wspomniana już „Wielka wojna białych ludzi", „Topór z Wandsbeck", „Marzenia są drogie", liczne opowiadania i nowele.

Z okazji 90 rocznicy urodzin pisarza w Berlińskiej Bibliotece Miejskiej została otwarta wystawa poświęcona jego życiu i twórczości.

■ WIZYTA H. SCHMIDTA W POLSCE
■ SENSACYJNE WYDARZENIE TYGODNIA
■ JESZCZE JEDNA POLSKA INICJATYWA

W Polsce gościmy kanclerza RFN — Helmuta Schmidta. Wizyta ta z pewnością przyczyni się do dalszego rozwoju bilateralnych stosunków. Tydzień przed datą przyjazdu do naszego kraju, na zjeździe SPD, Schmidt mówił o odprężeniu i czekających go rozmowach z Edwardem Gierkiem. **Odprężenie nazwał „zadaniem stulecia", a w pojednaniu z Polską dostrzegł nie tylko wielkie znaczenie polityczne, ale również szczególnie ważne znaczenie moralne.** Podkreślił, że cieszy się ze spotkania z I sekretarzem KC PZPR, który w Republice Federalnej ma duży autorytet.

Powtarzamy słowa kanclerza, gdyż świadcza one o klimacie towarzyszącym wizycie.

Tuż przed terminem przyjazdu do Polski kanclerza rzecznik rządu zachodnioniemieckiego podkreślił zainteresowanie RFN rozwojem współpracy gospodarczej. Pozytywnie ocenił on ubiegłoroczny wzrost dostaw do RFN i zachęcał do badania w większym stopniu możliwości rynku zachodnioniemieckiego. Zapewniał także o dobrej woli rządu i zaznaczył, że tacy ludzie, jak Czaja i Hupka tracą na znaczeniu, a ich wpływy wciąż maleją.

O wynikach rozmów Helmuta Schmidta z jego polskimi gospodarzami napiszemy za tydzień, a tymczasem zwróćmy uwagę Czytelników **na najbardziej sensacyjne wydarzenie tygodnia — wizytę prezydenta Egiptu — Sadata w Izraelu.** Jak do niej doszło?

Kilkanaście dni temu Sadat wygłosił w parlamencie przemówienie, które uznano za próbę bezpośredniego dialogu z Izraelem. Włączyły się w to amerykańskie koła polityczne i w ubiegły poniedziałek jeden z telewizyjnych komentatorów USA przeprowadził za pośrednictwem satelity wywiad z Sadatem i premierem Izraela — Beginem. W czasie tego wywiadu prezydent Egiptu stwierdził, że „w granicach możliwości leży jego wizyta w Jerozolimie w ciągu najbliższego tygodnia". Begin natomiast odpowiedział, że jest to tak „dobra nowina", iż gotów jest przełożyć swój zaplanowany wyjazd do W. Brytanii.

Inicjatywy wyjazdu na rozmowy z przedstawicielami Izraela Sadat, jak sam to podkreśla nie uzgodnił z innymi krajami arabskimi. **Mają one na ten temat swoją, negatywną opinię.** Głębokie rozbieżności pojawiły się też w kierownictwie egipskim. Do dymisji podał się dotychczas bliski współpracownik Sadata — wicepremier i minister Spraw Zagranicznych — Fahmi. Powołany na jego miejsce stały przedstawiciel Egiptu w Lidze Arabskiej — Riad w kilka godzin po nominacji też złożył swój nowy urząd.

Oddajemy komentarz do druku przed zakończeniem wizyty Sadata — trudno więc o ocenę tego wydarzenia. Komentatorzy zastanawiali się, czy ma ona rzeczowy, czy też może tylko spektakularny charakter? Czy chodzi o zawarcie separatystycznego układu, czy też wyłącznie o wykazanie dobrej woli?

Wojowniczość Izraela, nieliczenie się z opinią światową i nowe prowokacje zbrojne świadczą, iż rząd Begina nie zamierza ustąpić. **Postawa Izraela obciąża Stany Zjednoczone,** gdyż wszyscy wiedzą, jak wpływowe na Tel Awiw mogłyby być amerykańskie koła polityczne, gdyby tylko naprawdę tego chciały. W tej sytuacji Waszyngton próbuje ograniczyć agresywność Izraela i nakłonić go do genewskiego stołu obrad. Przypomnijmy, że wspólne oświadczenie radziecko-amerykańskie na temat Bliskiego Wschodu wyraźnie zaniepokoiło Izrael. Zwłaszcza konieczność rozwiązania problemu palestyńskiego. Czyżby więc gotowość bezpośrednich rozmów dla rozładowania napięcia podpowiedział Sadatowi Waszyngton?

Na wszystkie zdania pytające odpowiedź powinna nadejść wkrótce. Niezależnie od tego, jak będzie brzmiała, jedno na Bliskim Wschodzie jest pewne: **tylko kompleksowe rozwiązanie problemu może dać szansę długotrwałego i sprawiedliwego pokoju.** Dlatego takie znaczenie ma wznowienie genewskiej konferencji, o co nieustannie zabiega Związek Radziecki. Inne próby skazane są na niepowodzenie, o czym m. in. przekonała kissingerowska polityka tzw. małych kroków.

W poprzednim tygodniu pisaliśmy o kilku polskich inicjatywach. Do omówionych wówczas dodajmy jeszcze jedną.

W Komitecie Politycznym XXXII Sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych **delegacja polska wspólnie z Iranem, Hiszpanią, Peru i Burundi zgłosiła tekst rezolucji o trybie przygotowania światowej konferencji rozbrojeniowej.** Powszechnie oczekuje się, że zapowiedziana na rok przyszły specjalna sesja rozbrojeniowa ONZ stanowić będzie etap przygotowawczy do wspomnianej konferencji. Dlatego proponujemy powołanie specjalnej komisji, która na tej sesji przedłoży raport z postulatów rozbrojeniowych różnych państw, zgłoszonych pod jej adresem. Proponujemy ponadto, aby w porządku dziennym następnej zwyczajnej sesji znalazło się przygotowanie światowej konferencji rozbrojeniowej.

W. SŁAWSKI

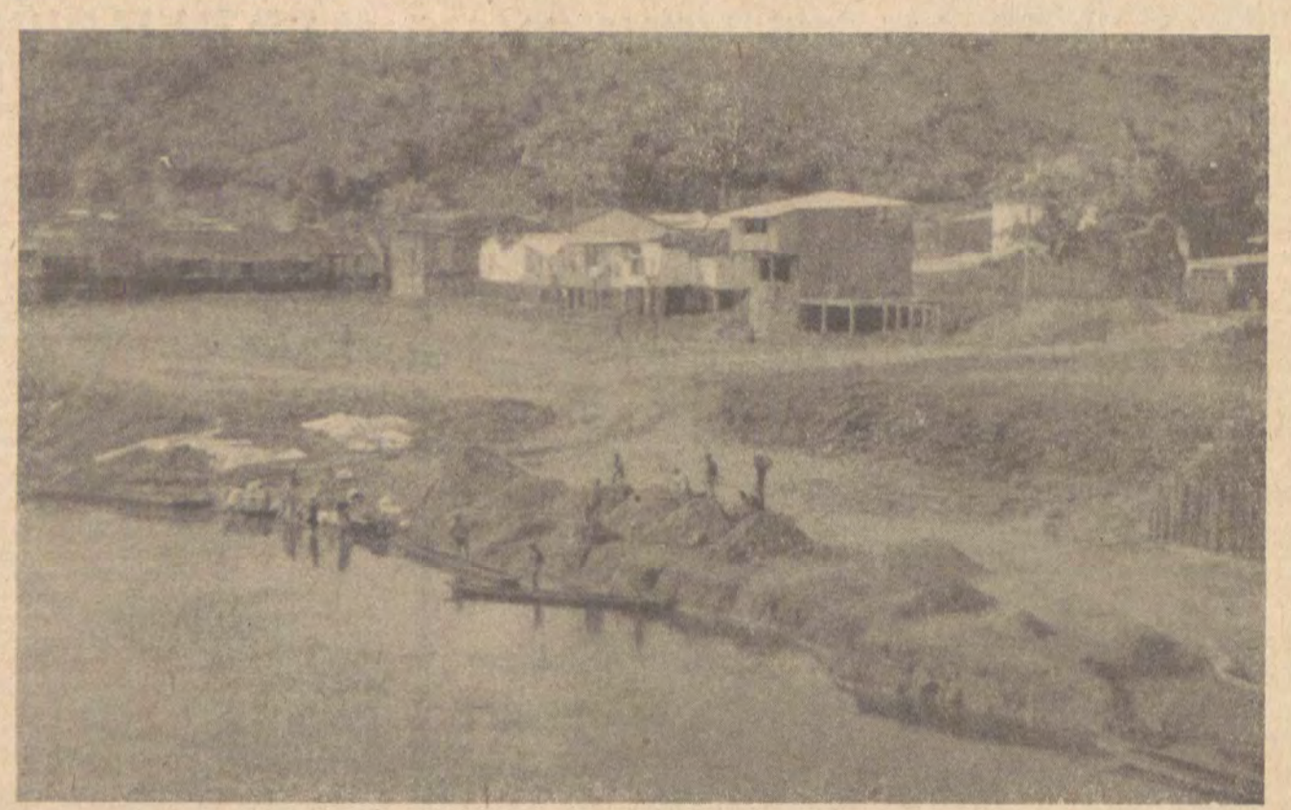

Po powodzi

ANDRZEJ MAKOWIECKI

PELOTAS – PORTO ALEGRE

(DZIENNIK PODRÓŻY)

Sobota, 20 sierpnia. Południe. Rozklekotany autobus linii podmiejskiej wiezie nas do Pelotas. Jest to, o co chodzi: przestrzeń — kanał, rzeka, jezioro, lasy i pastwiska, na których wypasają się tysiące owiec, krów i koni. Wiele zwierząt skubie trawę stojąc po szyję w wodzie. Już wcześniej wspominałem o klęsce, jaka nawiedziła ten obszar. Rio Guaiba i Lagoa dos Patos wystąpiły z brzegów, zalewając drogi, łąki i wioski. Najbardziej, oczywiście, ucierpieli biedacy — widać tu i ówdzie koczujące w namiotach, w prowizorycznych szałasach rodziny. Fala powodziowa roztrzaskała i uniosła do morza ich mizerne domki, zatopiła dobytek. Na małych łódkach wiosłowych czarni ludzie przemierzają labirynt okazjonalnych rzeczułek, które wkrótce wyschną albo wstąpią się do brzegów jeziora. Czarni ludzie, zapuszczając sieci, szukają na ich dnie skarbów — miski, balii, czajnika, innych sprzętów.

Wysiadamy na dworcu autobusowym w Pelotas. Zwiedzamy miasto, które liczy ponad sto tysięcy mieszkańców. Rozczarowanie. Monotonność architektury, szarość ulic przypominających ubogie dzielnice Europy; nawet rozbuchana brazylijska roślinność dała tutaj za wygraną.

Sobota, 20 sierpnia. Popołudnie. Już od godziny stoimy przy drodze, która prowadzi z Pelotas do Porto Alegre. Żeby zwiększyć szanse, odeszliśmy kilkaset metrów od ostatnich zabudowań miasta, no i polujemy teraz na okazję.

Szosą przetacza się z rykiem tabun samochodów, ale żaden kierowca nie reaguje na nasze wyciągnięte ręce. Ostrzegano mnie przecież: z autostopem w Brazylii beznadziejna sprawa. Za dużo tu mordów popełnianych na taksówkarzach i szoferach. Za dużo włamań, za dużo kradzieży. Strach. Wziąć obcego gościa z szosy, to popełnić samobójstwo. Ale przecież wyglądamy dość przyzwoicie.

Zatrzymuje się nagle z piskiem opon jakiś siwowłosy fazendeiro.

— Gdzie?

— Do Porto Alegre.

— Aaa. Jadę kawałek w tamtą stronę. Do Dunas.

— Do Dunas?! Wspaniale! — wsiadamy do licencyjnego volkswagena o wdzięcznej nazwie Brasilia — Estoy hechizado! Maravilloso! Brillantemente! — krzyczę, nie mogąc pohamować entuzjazmu.

W kwadrans później fazendeiro zatrzymał wóz na rozwidleniu dróg, przed jakąś mieściną.

— Co się stało? — pytamy.

— Nic — uśmiecha się nasz dobroczyńca. — Jesteśmy w Dunas, ja teraz skręcam w prawo.

Sobota, 20 sierpnia. Wieczór. Autobus towarzystwa komunikacyjnego AMBASSADOR zmierza z przepisową szybkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę w stronę Porto Alegre. Autostop nie wypalił. Mało! Musieliśmy cofać się z powrotem na dworzec w Pelotas. Trzy kilometry przeczłapaliśmy pieszo, następnie wzięło nas na kozioł dwukołowego, zaprzęgniętego w muła wozu stare poczciwe Murzynisko.

O brazylijskiej komunikacji autobusowej, znakomitej! napiszę jeszcze innym razem. Dość, że po czterech godzinach podróży, o zmierzchu, AMBASSADOR zawiózł nas do celu.

A więc — znowu w Porto Alegre. Czujemy się tu prawie jak w Łodzi. Znamy topografię ulic. Nie trzeba nawet patrzeć w plan. Omijamy manhattańskie centrum i drogą wzdłuż portowego nadbrzeża maszerujemy do Domu Polskiego SOCIEDADE POLONIA.

Mijając keję, przy której stał kilkanaście dni temu GAŁCZYŃSKI, doznajemy halucynacji. Znajomy zarys statku, swojska burta: zielona do linii zanurzenia, stalowo-szara powyżej; ten sam żółtawy komin z inicjałami PLO, bliźniaczy mostek kapitański... Nie! cudów nie ma. Ale, w każdym razie, widzimy polską banderę i wielki napis na dziobie: m.s. STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

Posługując się starą przepustką żona wkracza przez bramę do portu, witana owacyjnie przez sympatycznego strażnika, który ją z miejsca rozpoznał. Ja pozostaję na zewnątrz. Odchodzę na stronę i obserwuję zmagania czterech kolorowych prostytutek z dwoma żandarmami. Chodzi o to, że dziewczęta chcą przeleźć przez ogrodzenie i zarobić trochę na szwedzkim frachtowcu. Władza droczy się z nimi. Wreszcie kompromis. Jedna z dziewcząt wręcza żandarmowi zwitek cruzeirów, a on usłużnie podnosi jej drucianą siatkę i hop! już jest na kei, już przemyka chyłkiem do trapu, na którym wyczekują skandynawskie matrosy.

Żona wraca bez rewelacji. WYSPIAŃSKI postoi tu trzy-cztery dni, później Buenos Aires. Chyba dali by nocleg. Serdeczni. Ale chodźmy lepiej do Domu Polskiego przy Sao Pedro 778...

W restauracji pustki, rumor za to na piętrze, w sali balowej.

Polski barman, który nas poznał, wyjaśnia, że będzie tu dzisiaj wielka zabawa przy zagranicznym zespole beatowym. Normalnie, to oni tańczą krakowiaki, kujawiaki, i oberki pod dyktando własnej kapeli, albo w takt polskich płyt z muzyką ludową. No, ale dzisiaj będzie amerykański wygibas. Do piątej rano.

— Koniecznie musicie przyjść — agituje barman. — Ja stawiam, a wejście macie za darmo.

— Bardzo to miło z pańskiej strony, ale rano musimy wstać i w drogę.

— Gdzie?

— Aaa, zobaczyć kawałek interioru.

— W hotelu śpicie?

— Jeszcze nie wiemy. Chcielibyśmy skontaktować się z panem Gałeckim.

— Zaraz was połączę! — chwyta za telefon.

W międzyczasie wchodzi do restauracji sekretarka SOCIEDADE POLONIA, pani Janina Figurska. Przecie-ra, jak to się mówi, oczy.

— Państwo tutaj?!

— Tak.

— Boże najdroższy!... Zostaliście na stałe?...

— A skąd! Robimy tylko małą wycieczkę. — I opowiedziałem całą historię kończąc: — Ale jak nie znajdziemy gdzieś taniego spania, będziemy chyba musieli...

— Ja was biorę do siebie na spanie ! — ucina kobieta.

— Pan Gałecki przy telefonie! — melduje barman.

Żona przyjmuje mikrofon i słyszy:

— Przyjechaliście? No to od razu do mnie! Zaraz tutaj każę przygotować dla was łóżka i kolację.

Robi nam się jednocześnie radośnie i głupio. Kogo wybrać? Gałecki, wielokrotny prezes Sociadade Polonia, ma kilka domów i jest bogaczem; co się tyczy Janiny Figurskiej — mieszka z dwudziestoparoletnią córką Heleną w skromnym drewnianym budynku przy Avenida Bahia 787.

— Proszę pani — mówię — jeśli pani się nie obrazi, to my jednak przenocujemy w pani domu. — Twarz tej przemiłej i dobrej kobiety odpręża się, więc wiem, że trafiłem właściwie. — A na kolację — skończyłem — pójdziemy do Gałeckiego.

Sobota, 20 sierpnia. Noc. Przy uroczyście nakrytym stole siedzą kolejno: Zenon Wincenty Gałecki — głowa rodziny, jego żona, senhora Gałecka, Syryjka najczystszej krwi; trzy córki państwa Gałeckich: — najmłodsza: dziewięć lat, najstarsza: osiemnaście; czwarta, przybrana córka, piękność o wybitnie arabskich rysach, która dochowała się już własnego dziecka. Siedzi także córka pani Figurskiej, Helena oraz my.

Kolacja, po brazylijsku, zaczyna się od aperitifu. Dziewięcioletnia panieneczka wręcza każdemu na srebrnej tacy szklaneczkę z caipirinią. Jest to prawdziwy specjał, niepodobny w smaku do niczego, co znane na wschodniej półkuli. Przepis: sto gramów wódki z trzciny cukrowej (kaszaszy, parati lub pitu) o mocy pięćdziesięciu sześciu procent, do tego szczypta zimnej ale przegotowanej wody, płatek pomarańczy pokrajany w plasterki, mniejszy od piłeczki ping-pongowej limonek znad Amazonki i trzy—cztery kostki lodu. Po każdym łyku owoce rozgniata się łyżeczką, żeby puściły dodatkowy sok. W gorące, słoneczne dni napój ten ratuje człowiekowi życie.

Potem ciurasko — ogromny płat wołowiny, z rusztu. Pociągnięty nożem krwawi lekko. Dalej — sery, ciasta, banany, mandarynki, kokosy, których tak zwane mleko, podobne raczej do soku z kiszonych ogórków, jest dosyć mdłe, i tak jakoś... dziwnie słodkawe, sam zaś biały i twardy miąższ ledwo daje się przeżuć.

Stereofoniczny adapter z głośnikiem w każdym pokoju i na każdym piętrze emituje sambę. Rozmarzony gospodarz snuje pierwszy rozdział z historii swojego życia:

Urodził się na tej ulicy, Avenida President Roosevelt. Tu przyszli również na świat jego rodzice. A więc dopiero trzecie pokolenie wstecz, babka i dziadek byli emigrantami ze starego kraju. Wszystkim tutejszym protoplastom Zenona Gałeckiego wiodło się nader skromnie. Ojciec był szewcem, głodowali, chorowali, nie zapominali przy tym o swoim pochodzeniu — z mozołem ucząc siebie i dzieci języka polskiego. Na dobrą sprawę — nikt tu przecież po polsku nie mówił. Co innego na wsiach. Tam od stupięćdziesięciu lat rodzą się kolejne pokolenia nie znające ani słowa po portugalsku. Wymieszali się z Murzynami, Niemcami, Indianami, ale każdy, choćby miał gębę czarną jak smoła, gada wyłącznie po „warszawsku". A jak przyjedzie tam czasem ktoś nowy, sędzia czy policjant, to chcąc nie chcąc, też się musi nauczyć „warszawskiego" bo inaczej nie dogadałby się z nikim.

Wiele takich wiosek można znaleźć w stanach Rio Grande do Sul, Santa Catarina i Parana. Ale ciemnota w nich okrutna. Nie tylko mówią archaiczną polszczyzną przodków, żyją i pracują również na modłę średniowiecza. Weźmy na przykład takie Don Felicjano, osadę polską na rubieżach stanu. Woły ciągną sochę, baby pichcą w domu przy lampie naftowej, dzieciaki kąpią się raz na miesiąc w sadzawce. Wezwany przed komisję poborową dwudziestoletni obywatel odpowiada na pytania oficera:

— Umiesz pisać?

— Nie.

— Czytać?

— Nie.

— Pływać?

— Nie.

— Strzelać?

— Nie.

— To co ty umiesz?

— A co pan szanowny sobie życzy?

Przy każdym Domu Polskim prowadzi się sobotnie i niedzielne szkółki do nauki ojczystego języka i historii. Właśnie w takiej szkółce szlifował swoją polszczyznę Zenon Gałecki. Rodzice też ledwo znali ten język — urodzili się przecież w Porto Alegre. W dobrych, szczerych oczach tego wysokiego, przystojnego mężczyzny znaleźć można wszystko, co piękne — humor, radość życia, miłość do ludzi, zadowolenie, że pochodzi z Polski i dumę, że jest Brazylijczykiem.

Wielokrotnie wybierali go prezesem Sociedade Polonia i mawia się, że za jego kadencji Towarzystwo przeżywało rozkwit. Był inicjatorem wielu akcji kulturalnych, utrzymywał doskonałe stosunki z Ambasadą Polską w Brasilii oraz konsulatami w Curitibie i Sao Paulo, współtworzył polonijne ośrodki wypoczynkowe poza granicami miasta, aktywizował polonijnych sportowców, którzy otrzymają w najbliższych miesiącach stadion i halę treningową w okolicach portu. Mecenasował zespołowi Polskiej Pieśni i Tańca, walczył o polską szkółkę, która obecnie przeżywa trudne chwile. W uznaniu zasług — polskie władze konsularne zafundowały mu podróż do Gdyni i z powrotem na pokładzie... no właśnie! Na pokładzie GAŁCZYŃSKIEGO.

Pokazuje zdjęcia i slajdy z Warszawy. Tylko jedno miasto może konkurować z Warszawą... Rio de Janeiro. Tylko jeden zespół może pokonać polskich piłkarzy... Brazylia. W obu domach Gałeckiego ściany zawieszone są portretami Kopernika, Szopena, Mickiewicza. W gmachu SOCIEDADE POLONIA wisi zbiorowa fotografia naszej srebrnej drużyny z Monachium. Wyszczególniono tam wszystkie zwycięskie rezultaty Polaków. Tylko porażka z Niemcami i świętokradcze zwycięstwo nad Brazylią zaklejone zostały taśmą.

Karierę zrobił Gałecki w stylu iście amerykańskim. Dzieciństwo miał biedne, młodość ciemiężną. Był czyścibutem. Roznosił mleko, sprzedawał gazety. Tajniki handlu poznał wówczas, kiedy otrzymał szczęśliwie posadę „ruchomego" subiekta. Do dzisiaj roi się na ulicach od tych elokwentnych młodzieńców, tańczących przed sklepem czy magazynem z naręczem damskiej bielizny albo męskiej konfekcji. W przeciwieństwie do rodowitych Brazylijczyków — potrafił oszczędzać. Centavos do centavosa, cruzeiro do cruzeira i otworzył w końcu własny interes.

To oczywiście łatwo się pisze, trudniej robi. Poza wyjątkami — cieszący się wielkim uznaniem w tym mieście Polacy nie stanowią bynajmniej śmietanki towarzyskiej. Nie wszyscy nawet mają stałe zajęcie.

Gałecki wzdycha. Prowadził przecież na rzecz Polaków działalność charytatywną. Przykre to chyba i uwłaczające dla biedoty... Ale inaczej nie sposób.

— No, wypijemy teraz po stopce bambusowego likieru. — Krótki ruch dłoni i jedna z kobiet śpieszy po butelkę. — Kiedy chcecie jechać?

— Jutro rano — odpowiadam.

— W żadnym razie — protestuje Gałecki. — Jutro rano przyjedziemy po was do pani Figurskiej i wybierzemy się na piękną, całodniową wycieczkę.

— Ale...

— Jak to? Pan nie chce? — I twarz gospodarza przybiera wyraz surowego zdziwienia. — Musi pan przecież poznać ten wspaniały kraj!

(c.d.n.)

Zdjęcia: Elżbieta Makowiecka

Centrum Porto Alegre

CWIETAJEWA

„Czasie — ja ciebie przetrwam" — pisała Marina Cwietajewa w jednym z wierszy. I tak się stało. Na emigracji w Paryżu żyła w nędzy, paryskie czasopisma nie przyjmują jej utworów, zwłaszcza po bardzo serdecznym powitaniu przez nią bawiącego wówczas we Francji Majakowskiego. Wreszcie, na początku 1939 roku, Cwietajewa wraca do Związku Radzieckiego.

Tylko jeden wiersz opublikowała do sierpnia 1941 roku, kiedy to następuje jej tragiczna śmierć w Jełabudze koło Kazania.

„Czasie — ja ciebie przetrwam". I tak się stało. W ciągu ostatniego dwudziestolecia w Związku Radzieckim ukazały się kilkakrotnie studia i omówienia twórczości Cwietajewej, a także edycje jej utworów.

Marina Cwietajewa, „cudowne dziecko" rosyjskiej poezji, związana była z grupą „akmeistów" (Mandelsztam, Achmatowa, Gumilow), głoszących postulat precyzji i konkretności, obrazowania, zaangażowania w problemy epoki. Była Cwietajewa jednym z najwybitniejszych talentów lirycznych rosyjskiej poezji XX wieku. Jej utwory odznaczają się niezwykle zwartą, niekiedy skrótową nawet, formą i wysoką temperaturą uczuciową. Demonstruje też w nich poetka wielką wrażliwość na rytmy i dźwięki mowy ojczystej oraz miłość do rodzinnej ziemi.

Wybór wierszy Mariny Cwietajewej opublikowało Wydawnictwo Literackie w swojej znanej i wysoko cenionej serii dwujęzycznych serii poetyckich. Wiersze rosyjskiej poetki przetłumaczyła Joanna Salamon.

Marina Cwietajewa — „Wybór wierszy", Wyd. Li.c.... e, cena 65 zł.

SŁOWNIK SZTUKI FRANCUSKIEJ

„Wiedza Powszechna" rozpoczęła nowy cykl wydawnictw encyklopedycznych. Właśnie ukazała się pierwsza pozycja tej serii — „Słownik sztuki francuskiej". Jest to pierwszy słownik z cyklu słowników sztuki poszczególnych krajów europejskich.

„Słownik sztuki francuskiej" jest publikacją o charakterze popularnonaukowym, przydatną zarówno dla miłośników kultury i sztuki, jak i tych czytelników, którzy udając się w celach turystycznych do Francji pragną uzupełnić swoje wiadomości na temat twórców i zabytków artystycznych tego kraju.

Słownik obejmuje około 1100 haseł w układzie alfabetycznym oraz obszerny artykuł „Sztuka francuska", będący chronologiczno-rzeczowym zarysem dziejów twórczości artystycznej na terenie Francji. Osobny rozdział dotyczy też stosunków polsko-francuskich.

W części alfabetycznej słownika znajdują się biogramy, hasła dotyczące obiektów architektonicznych oraz hasła rzeczowe. Materiał ilustracyjny obejmuje około 500 reprodukcji, planów i mapek zamieszczonych zarówno w części słownikowej jak i w artykule.

W biogramach omówiono działalność architektów, rzeźbiarzy, malarzy, grafików, artystów-rzemieślników (tkacze, złotnicy, ceramicy, introligatorzy), marszandów, historyków i teoretyków sztuki — zarówno Francuzów jak i cudzoziemców działających we Francji.

Najwybitniejsze obiekty architektoniczne mają w Słowniku oddzielne hasła. Np. wieża Eiffla, ale także Montparnasse czy Montmartre, czyli całe dzielnice, znane z artystycznej „biografii", mają w słowniku osobne hasła.

Część zabytków została omówiona zbiorczo pod nazwami miejscowości, w których powstały. Ich znaczenie dla poszczególnych regionów znajduje odbicie w syntetycznych hasłach poświęconych artystycznym dziejom krain historycznych.

Hasła rzeczowe omawiają charakterystyczne dla Francji style, kierunki, szkoły, ugrupowania, instytucje artystyczne (muzea, uczelnie, galerie), ośrodki rzemiosła i wybrane zjawiska, dotyczące historii kultury artystycznej. Uzupełnieniem słownika są indeksy (osób i miejscowości) zawierające daty życia twórców wspomnianych w tekście, a także informujące o ilustracjach zamieszczonych w książce. Autorem tej ogromnie potrzebnej publikacji jest Andrzej Dulewicz.

Andrzej Dulewicz — „Słownik sztuki francuskiej", Wiedza Powszechna, cena zł 180.

NIEZNANY STAFF

Niewiele osób wie, że historia polskiej poezji notuje, obok Leopolda Staffa, jeszcze drugiego poetę o tym nazwisku. Ludwik Maria Staff, rodzony brat Leopolda. Ludwik zmarł młodo, mając lat niespełna dwadzieścia cztery. Pisać zaczął wcześnie. Już jako dziewiętnastoletni chłopiec drukował — powstałe rok wcześniej — opowiadanie „Dwie pieśni", utwór, o którym Wacław Berent napisał, że „jest to rzecz przedziwnie dojrzała w opanowaniu i równowadze środków". Również w roku 1909 ukazał się w „Krytyce" cykl wierszy, a wśród nich zdumiewająca dojrzałością i prostotą kolęda „Przydrożnej kapliczce".

W ciągu pięciu lat następnych napisał kilka opowiadań, kilkadziesiąt wierszy oraz obszerną powieść „Grzeszne gołębie". Wiersze zebrane w tom „Zgrzebna kantyczka", podobnie jak opowiadania i powieść, ukazały się już po śmierci autora, dzięki staraniom Leopolda Staffa, Ostapa Ortwina i Wacława Berenta. Obecnie w serii celofanowej PIW ukazało się powtórne wydanie „Zgrzebnej kantyczki".

Poezja Ludwika Staffa różniła się od postawy generacji modernistycznej. Sceptycyzm nie był da niego modą, ale postawą wobec życia Jego stosunek do świata określało przeświadczenie, że wszystkie wartości są względne.

Ludwik Maria Staff — „Zgrzebna kantyczka", PIW, cena zł 20.

ALFABET AMORA

Wiersze satyryczne i fraszki Lecha Konopińskiego znane są czytelnikom prasy społeczno-kulturalnej od dawna. Debiutował bowiem Konopiński prawie ćwierć wieku temu i to od razu w „Szpilkach" Ponieważ jest poznaniakiem, nie mógł widać ścierpieć, że w jego mieście brak pisma satyrycznego i w roku 1957, wraz z grupą innych pisarzy, był współtwórcą poznańskiego czasopisma „Kaktus".

Wkrótce potem „Kaktus" przestał się ukazywać, ale nie przestały ukazywać się fraszki i satyry Lecha Konopińskiego. W latach 1960—1971 ukazało się pięć tomów utworów Konopińskiego — aktualnie Wydawnictwo Poznańskie opublikowało wybór jego twórczości fraszkopisarskiej pt. „Alfabet Amora".

W ten sposób poznański autor utrwalił swoją pozycję współczesnego klasyka. Piszę „utrwalił", bo przecież już w antologii „Piąty wiek fraszki polskiej" zaznaczył swoją obecność obok takich mistrzów jak Stanisław Jerzy Lec i Jan Sztaudynger

Wydawnictwo Poznańskie zadbało o efektowne i graficznie atrakcyjne wydanie wyboru fraszek. Dość powiedzieć, że książkę zdobią ilustracje samej Maji Berezowskiej. Nic też dziwnego, że 20-tysięczny nakład „Alfabetu Amora" znika z księgarń w błyskawicznym tempie.

Lech Konopiński — „Alfabet Amora", Wyd. Poznańskie, cena zł 50.

KSIĄŻKA

DEMONY W DŻINSACH

Utarło się przekonanie, że proza literacka Andrzeja Makowieckiego ma swe źródła w jego biografii osobistej i praktyce reporterskiej, otoczonych zresztą pewnymi egzotycznymi powabami (a to jazzowe muzykowanie, a to znawstwo środowiskowych enklaw nie pogodzonych z normatywami poprawnego bytu społecznego, a to znów — ostatnio rozwinięte — pasje globtroterskie), że owo doświadczenie zakreśla granice terytorium pisarskiego, tak pod względem bliskich autorowi spraw, znanych z bezpośredniej obserwacji, jak i sposobów opowiadania o nich. Zamiłowanie do mikrosocjologii i szacunek dla postrzeżeń zmysłowych łączą się więc z rzeczowością narracji, skupieniem na temacie, rygorystycznie użytecznym stylem, umiejętnością celnego ciosu słowem. W pracy nad opisaniem i udramatyzowaniem osobliwości obyczajowych życia wielkomiejskiego ukształtowały się jednak nie tylko formy wypowiedzi literackiej, faworyzowane przez autora, ale ukształtowały się, a może jedynie ujawniły czy dopiero okrzepły, także głębsze mniemania o człowieku i społeczeństwie oraz trwalsze predylekcje poznawcze i estetyczne. Pełną ich ekspozycję przyniosła ostatnia książka Makowieckiego, **„Powrót wabiszczura"**, wywołując krańcowo różne opinie i oceny.

Ta skromnych rozmiarów, starannie wydana książka pozornie stanowi tygrysi skok w twórczości Makowieckiego, raptowne przejście od rzeczywistości do kreacji, od empirii do sądów ogólnych, od małego realizmu do paraboli. Autor specjalnie podkreśla tę zmianę kursu. Skoro opatrzył rzecz podtytułem „przypowieść", zbędnym dla czytelnika o średniej kulturze literackiej, znaczy to, że pisarzowi leży na sercu troska, aby nikt nie uronił rozległości sensów utworu, aby nawet jeśli ma kłopoty z uchwyceniem głównych idei „wabiszczura", zachował świadomość ich uniwersalnego zakroju. Nie są one jednak jakościowo inne od tych poglądów i gustów, jakie można wyczytać z wcześniejszej prozy Makowieckiego, tyle że umowna fabuła ułatwia ich wypreparowanie. Scharakteryzujmy więc pokrótce orientację pisarza.

Makowieckiego bardziej interesują kulisy i peryferie rzeczywistości niż jej fasada i standardowe formy życia, bardziej konflikty interesów niż realizowanie ideałów jako motory postępowania ludzkiego, bardziej mechanizm działań niż wartości, w imię których są podejmowane, bardziej obyczajowe przejawy postaw niż kultury myślowe, z których wyrastają. Z dwojga łatwowiernego Makowiecki woli przecenić w życiu jednostki i grupy społecznej znaczenie pożądań materialnych (pieniądze), biologicznych (seks), czy ambicjonalnych (władza), niż ponieść ryzyko podobnej przesady w stosunku do wyższych nakazów duchowych, ideowych wzorów życia, postulatów etycznych. Ma zrozumienie dla niepięknych moralnie konieczności przebijania się przez życie pośród kontrastów bytu społecznego i dla niedoskonałości tak jednostki, jak i urządzeń regulujących zbiorową egzystencję, nie ma natomiast ochoty do moralizowania, poszukiwania prawd pokrzepiających. Obcy mu jest też w zasadzie melodramatyzm, ckliwy sentymentalizm, dbałość o łagodne uroki przyrody, dysputy, czy delikatnych uczuć. Owszem, lubi niekiedy powiedzieć coś lirycznego, cieplejszego, a nawet patetycznego, ale raczej o trąbce niż o człowieku, raczej o muzyce niż o literaturze, zatem raczej o enigmatycznych dreszczach emocjonalnych niż o treściach humanistycznych, dających się opisać w kategoriach rozumowych.

W „Powrocie wabiszczura" te przeświadczenia i skłonności znalazły wyraz zadziwiająco pełny, spójny, chciałoby się rzec — klasycznie klarowny, choć zarazem dla wielu czytelników bardzo irytujący. Makowiecki stworzył świat, w którym brzydota, zło, wyuzdanie, brutalność panują niepodzielnie i z żadnymi innymi, równie wiecznymi cechami sfery człowieczej czy choćby swymi mniej jaskrawymi odcieniami tą władzą się nie dzielą. Nie lubię takiej literatury, ale nie zwalnia mnie to od obowiązku poszukiwania jej sensu, od wysiłku skierowanego ku możliwie rzetelnemu odkryciu celów, dla osiągnięcia których autor wzniósł środkami fikcji fabularnej tę, szokującą drastycznymi scenami, budowlę. Nakazuje to przede wszystkim owa konsekwencja konstrukcyjna.

Akcja „przypowieści" rozgrywa się w małym, zagubionym na pustyni miasteczku, w kraju o nieznośnym klimacie i o kryzysowym ustroju społecznym. Kryzys sięga głęboko, bo i władza jest zdeprawowana, i hamulce moralne słabiutkie, i obyczaje na skraju upadku, i poziom gospodarczy niski (w miasteczku jest jeden radioodbiornik, jeden samochód etc., a czasy to współczesne). Kryzys nie ma też swej pozytywnej, wartościowej alternatywy. Silne pragnienie odmiany losu, wyzwolenia się z okowów tradycyjnej obyczajowości i hierarchii (władza ojców), drzemiące w nowym pokoleniu, okazuje się w końcu ślepym, bezradnym pędem ku rewolucji obyczajowo-erotycznej o katastrofalnych skutkach dla miasteczka i straceńczych perspektywach dla tego pokolenia. Uzyskuje ono bowiem, jak powiadał Hegel, wolność pustą, w istocie niewolę stadnego, otumanionego kultem beztreściowych symboli życia bez szansy rozwoju indywidualnej osobowości.

Wszystko to wydobywa na powierzchnię ustabilizowanej miasteczkowej rzeczywistości najazd „barbarzyńców", przypominających nasze najgorsze, pospolite wyobrażenia o hippiesach, którzy w ślad za uwielbianym przez siebie prorokiem (młodzieńcem o płowych włosach) wędrują po świecie taszcząc skrzynię z rozkładającymi się zwłokami poprzedniego szamana. Następuje przyśpieszony rozkład społeczeństwa, władza faktycznie przestaje istnieć. Odcięte od reszty kraju, pozbawione zapasów żywności, lekarstw oraz wszystkich środków łączności i komunikacji (zniszczonych tajemniczą ręką w owych przełomowych godzinach), opanowane pokojową inwazją brudasów miasteczko zamienia się w piekło. Społeczność broni się różnymi sposobami, wreszcie wspomniany prorok za garść cennych precjozów magicznym dźwiękiem cudownej trąbki wywabia „szczury" ze zdewastowanej oazy cywilizacji. Szamański czyn dając nadzieję, niczym w antycznej tragedii, przygotowuje katastrofę, złamanie przez władze miasteczka układów z wybawcą i zgotowanie mu chrystusowej kaźni (pogrzebanie żywcem w ziemi, po którym oczywiście następuje zmartwychwstanie) przemienia bowiem zbawiciela w mściciela. Najniżej usytuowana w drabinie społecznej warstwa — młodzież — zainfekowana anarchizmem niedawnych gości — okupantów powstaje przeciwko warstwom wyższym, dzięki czemu mamy kolejną, tym razem ostatnią masakrę w miasteczku i jego ostateczną zagładę. Sformowawszy pochód, młodzież uchodzi w siną dal.

Już z tak zreferowanej fabuły wynika, ileż to może ona wywołać skojarzeń, i jak wiele różnych zjawisk i mitów kulturowych można podstawiać pod poszczególne sytuacje, fazy konfliktu i postaci tej historii o ostatnich dniach i upadku miasteczka, które — dodajmy — mimo pewne pozoracje topograficzne, w gruncie rzeczy leży „nigdzie", i w którym skupiły się niemal wszystkie nacje świata. Koherentną, jednorodną wizję tworzą w „Powrocie wabiszczura" zarówno same przedmioty, jak fizyczne wyglądy ludzi, intencje, motywacje i środki działań, przez nich podejmowanych. Te wszystkie elementy mieszczą się we wspólnym kręgu światopoglądowo-estetycznym. Stosunki międzyludzkie są skażone egoizmem i drapieżnością. Ludzie są fizycznie szpetni, przypisane im zostały atrybuty zwierząt (wydają ryki, zbierają się na tarło etc.), powodują nimi żądze cielesne, duchowość bohaterów tej makabrycznej groteski jest prymitywna. Charakterystyczne, że nie ma w tym świecie śladów jakiegoś życia kulturalnego, zainteresowań kulturalnych, za to natura — w rozumieniu Freudowskim — znajduje ujście nie skrępowane i nie sublimowane konwencjami życia ucywilizowanego. Fizjologia dominuje, fizjologią w mieście cuchnie, i to dosłownie. Wszędy bowiem walają się odchody, wymioty, gnijące zwłoki, snują się odory nie byle jakie, skoro przy nich „kał, brud i uryna mogły wydać się wonnościami". Zmagania ludzkie są okrutne. Widzimy więc gwałt homoseksualny na głuchoniemym, zakończony zbrodniczą zemstą, widzimy kości miażdżone buciorami, widzimy jak dziewczyna traci ramię z łopatką. Trup ściele się gęsto, a płyn mózgowy z rozbitych czaszek („arbuzów") chlapie na ręce. Krwią cuchnie niczym w rzeźni. By zaś obraz całości był pełny, bez dalszego mnożenia przykładów, a totalność owych zjawisk nie budziła wątpliwości, zauważmy taką choćby, generalną konstatację w rozdziale piątym, pod znamiennym tytułem „Ubój": „We wszystkich wzbierała chęć mordu".

Ta całościowa wizja, spajające ją przeświadczenia i jej szata artystyczna, starannie dopasowana do warstwy ideowej, budzą mój zasadniczy sprzeciw, są mi obce. Niemniej dostrzegam i doceniam zdobycze tej książki uzyskane dzięki tej wizji. Kilka rezultatów godnych jest uwagi. Odrażające są niewątpliwie oba światy: zwycięski i pokonany, w obydwu brak wartości, co autor mówi w jednym miejscu wprost (s. 53—54). Chce jednak uchwycić, i to mu się w pełni udaje, jak zło wyzwala zło utajone, jak pozwala mu szybko dojrzeć do postaci faktycznego, agresywnego zła. Pokazuje wyraziście ryzyko i cenę moralną niesprecyzowanych dążeń odnowicielskich, bezprogramowych i żywiołowych. Najciekawsze wszelako spostrzeżenia obejmują społeczeństwo i władzę. Wymieńmy kilka. A więc np. ślepota rządzących polegająca na niedostrzeganiu, w toku wewnętrznych rozgrywek koteryjno-personalnych na szczytach władzy, realnych procesów społecznych, na ich niedocenianiu (dwa stronnictwa, Komisarza i Burmistrza, zajęte są intrygami przeciwko sobie, a tymczasem jest to już taniec na beczce z prochem wobec nastrojów młodzieży); wynikająca stąd nadmierna wiara władzy w siłę represyjną (butne pogróżki pod adresem przybyszów); chęć wykorzystania sytuacji wewnętrznej dla, korzystnej z punktu widzenia interesów kliki politycznej, interwencji z zewnątrz i związane z tym zamiarem rozsiewanie alarmistycznych ocen położenia (Komisarz żąda wciąż, aby zwrócić się do „centrali" o akcję wojskową, leży to bowiem w jego interesie ze względu na pragnienie odsunięcia Burmistrza) itp. itd. Historia miasteczka pokazuje wreszcie opłakany los społeczności, która zbytnio ufa pozornym gwarancjom ładu i bezpieczeństwa, zagrożona wierzy najpierw w przemoc własną, potem zaś w pieniądze, wierzy, że usunie intruzów siłą lub wykupi się, nie potrafi natomiast oprzeć się na głębszych wartościach, na własnej sile moralnej, toteż ulega rozkładowi od wewnątrz.

Już z tego wyliczenia widać, że „Powrót wabiszczura", utwór kontrowersyjny i demonizujący, zawiera sporo przemyślanych obserwacji, zwłaszcza jeśli idzie o technologię władzy politycznej w okresie dojrzewającego i wybuchającego kryzysu społecznego. Nadmierne demonizowanie hippiesów należy przy tym traktować z pewną rezerwą, gdyż anarchistyczny ruch młodzieży jest tu tylko elementem zastępczym, jak rysunki w rebusie. Wystarczy dokonać wymiany na element inny, a demony przestaną być papierowe, powieje autentyczną grozą.

Gdy myślę o ostatniej książce Andrzeja Makowieckiego, trudno mi udzielić autorowi czytelniczej „absolucji" za ową pasję i talent, z jakimi zubaża obraz człowieka, wzbogaca zaś estetykę upadku, zła i bestialstwa. Pociecha w tym jeno, że wyczucie prawdziwego artysty kazało mu wprowadzić narratora, banitę (w tym szemranym, międzynarodowym towarzystwie nazywa się on — a jakże! Pollack), który swymi odruchami kwestionuje totalność owego świata, zachowuje niezależność wobec zmagających się potęg intrygi (Komisarz — Burmistrz) i zniszczenia (młodzi — miasto), i ocala skrawek wiary w godność i prawo moralne człowieka. On to bowiem jedyny mdleje na widok masakry, on to ratuje pogrzebanego żywcem idola, on to w scenie finałowej, uszedłszy z owej Sodomy, nie przyłącza się do zbuntowanego pochodu ojcobójców, lecz kieruje się na wschód (czy to naprawdę coś znaczy?), a nawet kiedy zabija, to sytuacja daje mu rozgrzeszenie (zabija bandytę w obronie życia cudzego i własnego). Jakaż więc przemyślna, pełną sprzeczności, bystrą i odpychającą książkę napisał Andrzej Makowiecki!

JERZY RZYMOWSKI

Andrzej Makowiecki. Powrót wabiszczura. Przypowieść. Oprawa graficzna — Andrzej Kabała. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1977, s. 141, cena 15 zł.

DZIEWCZYNA W BIAŁYM CZEPKU

Przed niespełna dwoma laty wywołał żywą, acz krótkotrwałą dyskusję reportaż w „Tygodniku Kulturalnym" na temat braku, fluktuacji i nieprzygotowania psychicznego pomocniczej służby szpitalnej niższych kategorii. Dramatyzm ukazanych sytuacji reportażowych wywołał nawet radykalne wnioski w postaci postulatu — kto wie, czy nie takiego głupiego? — żeby dziewczęta przed studiami obowiązkowo kierować na praktykę do szpitali. Wspominam o tym nie dla wałkowania dalej problemu, lecz dla podkreślenia, że zapotrzebowanie na powieść, która nie obiecując kandydatkom na pielęgniarki gruszek na wierzbie i nie rozpylając ad usum Delphini perfum nad salami szpitalnymi, zaagitowałaby dziewczęta do pracy w nich, jest faktem — iż użyję terminu spowszedniałego przed laty przez nadużywanie go — zamówieniem jak najbardziej społecznym.

I oto właśnie wypełnia je cum laude w powieści (nie tylko dla dziewcząt, lecz dla czytelników w ogóle) „Chwila prawdy" Danuty Bieńkowskiej.

„Chwila prawdy" jest powieścią o nieprostych dziejach dojrzewania młodej, sympatycznej dziewczyny (choć bynajmniej nie papierowego ideału i wcielenia wszech cnót kardynalnych) do pracy pielęgniarki. Przygotowania niejako dwutorowego, ponieważ przebiega ono zarazem w szkole pod kierunkiem przełożonych o różnych wartościach charakterologicznych i różnych uzdolnieniach pedagogicznych, a także w różnym otoczeniu: (i na praktykach w szpitalach o coraz trudniejszych specjalnościach tak pod względem obowiązków, jak ciśnienia na odporność psychiczną przyszłych pielęgniarek), szpital onkologiczny, a również angielski szpital eksperymentalny dla niesienia ulgi i napawania spokojem chorych odchodzących z pełnią świadomości z życia. I przebiega, że użyję leciwej metafory, w różnorakich szkołach życia. Owe to, te „szkoły": dom rodzinny, potem domy krewnych dalszych, internat, chłopiec, w którym zakochuje się bohaterka i jego otoczenie, trudne rodziny pacjentów, także i bez przesady i bez „Przekrojowej" sztampy ukazane środowisko angielskich hippisów — dają jej niezbędne pole obserwacji (i uczą obserwacji prawidłowej, połączonej z wyciąganiem wiążących wniosków), nie szczędza konfliktów i bolesnych doświadczeń, które jednak, w ostatecznym rachunku, wzbogacają dziewczynę wewnętrznie, wykształcają odruch reagowania w sytuacjach konfliktowych, a nie prostych, w sposób czynny, przy niepoddawaniu się lękowi przed ryzykiem, pod imperatywem nie czułostkowego tylko, jak w początkach edukacji, współczucia, lecz uczciwie rozumianego obowiązku.

Znamienne, że Bieńkowska — sama lekarka, o dużym stażu i doskonałych kwalifikacjach — nie fetyszyzuje znaczenia w walce o wyzdrowienie i rehabilitację do życia cierpiącego działań ściśle medycznych, ale rozkłada z całkowitą bezstronnością odpowiedzialność za pozytywny skutek tej walki porówno na medycynę i pomoc psychiczną — w tym pozaszpitalną, jak w rozwikływaniu konfliktów życiowych pacjenta, właściwej nieraz praprzyczyny jego znalezienia się na łóżku szpitalnym.

Pielęgniarka o instynktach społecznych, a tylko o potrzebie takich mówi książka Bieńkowskiej, ma w sferach, w których bezbronny jest lancet i farmakologia, pełne pole działania — pole, w którym pielęgniarka nie jest siłą pomocniczą, lecz równoprawnym i uznanym partnerem inteligentnego lekarza prowadzącego. I ta właśnie teza systematycznie przewija się w książce, atakując, moim zdaniem, skutecznie często-gęsto panujące uprzedzenia o rzekomo mało czcigodnym zawodzie pielęgniarki niedouczka z wyboru — popychadła szpitalnego.

Znamienne i wbrew obowiązującym od wielu dziesiątków lat w Polsce i na świecie schematom w powieściach medycznych o gigantomachii lekarza z cierpieniem najwyższego rzędu, że autorka, pokazując życie i pracę szpitala od wewnątrz (rozporządza w tej mierze doświadczeniem, którego nie ma inny pisarz ani czytelnik świadkujący tym sprawom z perspektywy łóżka bądź krzesła, na którym sadowi się w dniu przyjęć z przeszmuglowanym mimo cerberów w portierni „posilnym rosołkiem" czy jeszcze posilniejszym mlekiem od wściekłej krowy), nie epatuje czytelnika (łasego na te rzeczy z racji jakichś bodaj czy nie atawistycznych ciągot sadystycznych z prehistorii, o czym świadczą, jak wiadomo, natychmiastowe zbiegowiska przy każdym krwawym wypadku ulicznym) opisami cierpień, „malowniczych" stanów chorobowych, szafowaniem cenionymi, zwłaszcza ostatnio w młodej literaturze, obsceniami. Bieńkowska nie zabawia nas też tak modnymi w czasie ukazania się „Zazdrości i medycyny" czy po latach — „Towarzyszy podróży" Panowej — pokazem prestidigitatorskich seansów chirurgów-cudotwórców. Po prostu z umiarem, bez słodzenia, ale i demonizacji, siania przerażeń czy pisania hagiografii swych bohaterek ukazuje szpital — nie jako dantejski krąg piekielny, lecz zakład — najwyższej potrzeby społecznej, ale, i co nie mniej ważne, normalny zakład pracy, w którym na jednakowe uznanie społeczne zasługuje działalność pracowników każdego szczebla i w którym praca, podobnie jak we wszystkich innych zakładach, daje i gorycze przegranej, i triumfy zwycięstw oraz — bez względu na happy-end czy jego brak — świadomość dobrej roboty, a nie jej pozoru.

Główna bohaterka, Madzia, trochę raptus i panna z mokrą głową, ale niezmiernie uczciwa, obowiązkowa i o znacznych, a do tego umiejętnie rozwijanych przez niektórych wychowawców, dyspozycjach samarytańsko-społecznych — nie jest bynajmniej (i w tym triumf autorki) postacią przesłodzoną, niedotykalską i świętą anachoretką i potrafi do siebie czytelnika przywiązać.

W sumie książka doskonale odpowiadająca swym założeniom. W pełni zasługuje na przyznane jej podwójne laury: Harcerskiej Nagrody Literackiej i Nagrody Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia w 1977 roku.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

„SKAMANDER" DLA SZKÓŁ

Takie mam już hobby, że interesuje mnie międzywojenny „Skamander". Z tej też racji staram się kupować wszystko, co na temat tej grupy literackiej napisano. Nic zatem dziwnego, że nie żałowałem 50 zł na dziełko pani **Jadwigi Zacharskiej** pt. „Skamander", wydane w serii „Biblioteka Polonisty" przez **Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne.**

Cena była niezbyt wygórowana, ale — okazało się — skalkulowano ją i tak mocno powyżej wiedzy i ambicji szanownej Autorki.

Już pierwszy rzut oka na przypadkowo otwartą stronę 14 trochę mnie zdziwił. W przypisie czytam: **„Maria Morska (wg Kazimierza Wroczyńskiego — Strońska), wymieniana przez wszystkich skamandrytów jako czarująca deklamatorka ich wierszy, nie figuruje w „Almanachu Sceny Polskiej".** Koniec cytatu.

Że niby co? Morska, a może Strońska? A może jej nie było, bo nie figuruje w „Almanachu"... A **Maria Morska** nazywała się po prostu **Maria Frenkiel-Knastowa,** natomiast **Maria Strońska-Wasowska** to... zupełnie inna osoba. Zacząłem dziełko pani Zacharskiej czytać uważnie.

I włos mi się zjeżył na głowie! To głupstwo, że zdjęcie **Ireny Tuwim** podpisane jest: **„Maria Pawlikowska",** to głupstwo, że tom wierszy **Światopełka Karpińskiego „Mieszczański poemat"** n i e j e s t... zbiorem satyr i szopek, jak sądzi p. Zacharska.

Śmiech tylko budzą takie choćby informacje Autorki o „Laurze olimpijskim" Wierzyńskiego: **„Poeta przedstawia wyniki sportowców w wielu dyscyplinach"**, albo o wierszu Tuwima „Przy okrągłym stole": **„lirycznego nastroju nie mąci fakt, że milcząca bohaterka wiersza je zielone winogrona"...**

Felietoniści żartowali sobie z rzetelnej pracy **Janusza Stradeckiego „W kręgu Skamandra"**, że nudna, że styl ciężkawy... Ale to jest dzieło naukowe. I żeby było śmieszniej, poważne i rzetelne dzieło Stradeckiego wydano w nakładzie 5 tysięcy egzemplarzy, natomiast dzieło p. Zacharskiej — w 7 tysiącach egzemplarzy. Na książce Zacharskiej uczyć się będzie młodzież i nauczyciele poloniści zawierzają pomieszczonym tam informacjom.

W ogóle dziwna to sprawa. Jak można zabierać się do pracy naukowej nie mając za sobą solidnego bagażu lektur z epoki, o której się pisze. I nie tylko z epoki. Pani Zacharska nie wie, że „Ruy Blasa" napisał Wiktor Hugo.

Jest jeszcze gorzej. Pani Zacharska nawet nie czytała tekstów, które do swojej książki włączyła. Oto przykład. Na stronie 82 przedrukowany jest felieton Antoniego Słonimskiego z „Wiadomości Literackich" (1926), który pisze: **„... brali udział w pierwszych dniach „Pikadora" — Raabe (Tadeusz Kruk)..."**

Natomiast na str. 253 p. Zacharska oświadcza: **„Tadeusz Raabe, autor wierszy pisywanych pod pseudonimem Erwin Kruk, jeden z czołowych pikadorczyków. (Brak szerszych danych)".** Koniec cytatu.

Znowu się p. Zacharskiej pomyliły dwie osoby z dwu zupełnie różnych epok: Erwin Kruk, współczesny pisarz (patrz **„Polscy pisarze współcześni" L. Bartelskiego, str. 180)** z T a d e u s z e m Krukiem, czyli Tadeuszem Raabe. Gdyby p. Zacharska spojrzała na 82 stronę własnej książki, nie strzeliłaby byka.

A w ogóle co to znaczy „brak danych". Raabe umarł stosunkowo niedawno, był adwokatem w Warszawie, wystarczyło wziąć książkę telefoniczną do ręki! O pierwszym mężu Nałkowskiej — Leonie Rygierze — też pani Zacharska „nie ma danych". A dane są! Choćby w „Dziennikach" Zofii Nałkowskiej, wydanych i szeroko dostępnych.

O Hemarze pisze pani Zacharska, że nazywał się naprawdę Hescheles, o Napierskim, że Eiger, o Ortwinie, że Katzenellenbogen... To prawda, ale czemu w nocie o Jerzym Mieczysławie Rytardzie brak informacji, że nosił nazwisko Kozłowski?

Są to wszystko — być może — głupstwa, ale dziwnym zjawiskiem jest publikacja o naukowych ambicjach, w której roi się od głupstw. Najśmieszniejsze jest to, że na końcu książki pani Zacharska podaje bibliografię ważniejszych publikacji o „Skamandrze", sięgającą prawie pięćdziesięciu pozycji. Odnoszę wrażenie, że część tych prac szanowna Autorka zna tylko z widzenia. Nie stało — jak widać — cierpliwości.

WIDOK

Rys. Bogdan Żmidziński

LEWYM OKIEM

DRUCZKI DOBRE NA WSZYSTKO

Jedno z samochodowych przedsiębiorstw komunikacyjnych wydało podobno swym dyspozytorom druczki, mające służyć do potwierdzania opóźnień przewozowych. Kiedy autobus się spóźni — pasażer otrzymuje podpisany przez dyspozytora druczek i ma usprawiedliwione spóźnienie w pracy. Podobno nikogo już nie denerwują przestoje, awarie, skręcanie w bok i stawanie autobusu przed domem kumpla kierowcy. Możemy się nie spieszyć, druczek sprawę załatwił. Spieszą się tylko ludzie wracający z pracy, bo cóż z tego, jeśli nawet żona na podstawie druczku uzna spóźnienie za umotywowane, kiedy człowiek nie zdąży na mecz w telewizji czy choćby tylko będzie miał o godzinę krótszą poobiednią drzemkę...

Nie ulega kwestii, że ogromna większość spóźnień do pracy wynika z niepunktualności PKP i PKS, a także z dziwacznych zakłóceń w komunikacji miejskiej. Zakłóceń i spóźnień jest tak strasznie dużo, ludzi zmuszonych do dojeżdżania do pracy tak wielu, że do wypełniania druczków trzeba będzie zatrudnić całą dodatkową armię pracowników. Idea tego jest zgodna z elementarnym poczuciem sprawiedliwości: nie należy przecież karać ani strofować za winy nie popełnione. Mam druczek i odczepcie się. Ale czy to wszystko jest realne i czy nie jest próbą omijania problemów, zamiast ich rozwiązywania?

System druczków — jak wszystkie urządzenia administracyjne — będzie wymagał ciągłej kontroli. Skoro udzielanie zwolnień lekarskich bywa wcale nierzadko koleżeńskim, kumoterskim, a nawet dochodowym procederem, to takim samym procederem staną się usprawiedliwienia spóźnień. Nie wykluczone, że odnośne druczki in blanco znajdą się w posiadaniu wielu sprytnych pracowników, zainteresowanych bardziej wolnym czasem niż akordem fabrycznym lub biurową odsiadką. Trzeba by stworzyć jakiś hamulec, ograniczający znaną w takich sprawach inicjatywę rodaków. A więc inspektorzy kontroli, druki ścisłego zarachowania, wypełnianie przez kalkę, podwójne podpisy, szyfrowane i zmienne stemple itp. Ogromny aparat. Czy będzie on funkcjonował idealnie? Czy nie zdarzy się, że setka pasażerów ustawi się w kolejce po zaświadczenia, a tu zamiast dyspozytora wisi kartka „wrócę za chwilę" lub „jestem w banku", albo właśnie „wyszły" druczki i trzeba wypisywać wszystko odręcznie, albo toczy się właśnie dyskusja, czy opóźnienie wyniosło sto minut, czy tylko osiemdziesiąt...

Jeszcze gorzej byłoby, gdyby system zaświadczeń działał idealnie kosztem jeszcze gorszego niż dziś funkcjonowania samej komunikacji. Suma wysiłków ludzkich ma jakieś granice; jeśli poświęcimy się druczkom, może nie wystarczyć pary na organizowanie sprawnych przejazdów. Ale nie wykluczone, że są to zrzędzenia malkontenta; co do mnie — jako niepoprawny optymista myślę, że ludzie nie tylko nie nadużywaliby urzędowych zaświadczeń o trudnościach obiektywnych przewoźnika, ale nawet — że można bez takich zaświadczeń wierzyć w podawane przez spóźnionych pracowników motywy komunikacyjne. Ryzyko zaufania jest w obu wypadkach równe, a w tym drugim — o ileż mniej kosztowne. Zaoszczędzone siły i pieniądze, dorzucić natomiast do kwoty, przeznaczonej na usprawnienie komunikacji, która nie powinna wykpiwać się zapisywaniem tysięcy papierków od swojej właściwej pracy i odpowiedzialności.

ĆWIEK

SPORT

MONEY, MONEY

Czasopismo „Profile" przekazało skargę prezesa rzeszowskiego klubu „Resovia" na niesprawiedliwość, jaka dzieje się w sporcie. „Resovia" odstąpiła swego czasu rzeszowskiej Stali dwóch piłkarzy i dostała za tę grzeczność sto kilkadziesiąt tysięcy złotych. Teraz chce dwóch piłkarzy odzyskać, w tym jednego z uprzednio odstąpionych, i Stal domaga się w zamian miliona trzystu tysięcy złotych.

Ostatnio w sporcie głośno mówi się jeszcze o wynikach, ale coraz głośniej również o pieniądzach. Nowotarskie Podhale domagało się od ŁKS milionowej sumy za Leszka Kokoszkę, jako zwrot kosztów wyszkolenia hokeisty. Nie jest już dziś żadną tajemnicą, że przejście zawodnika z klubu do klubu wiąże się z określonymi transakcjami finansowymi. Trudno się więc dziwić, że ci, którym nie trafia się możliwość przejścia z jednego klubu do drugiego, szukają innych form zdobycia pieniędzy. Na przykład bokser, Leszek Szczepański, nie stanął do walki z Ryszardem Tomczykiem, uzależniając swój występ na ringu od podniesienia pensji. Początkowo wszyscy oburzali się na sześciu hokeistów nowotarskiego Podhala za odmowę występu na lodowisku, ale rychło okazało się, że i klub nie jest bez winy. Kluby mają wiele swobody w ustalaniu zasad nagradzania i karania zawodników. Zależnie od możliwości finansowych mogą też zapewniać swoim zawodnikom różny poziom życia i pracy.

Trudno się dziwić zawodnikom, że chcą grać przede wszystkim w tych klubach, które są mocniejsze. W końcu każdy człowiek szuka dla siebie jak najlepszych warunków — to jest zjawisko naturalne. Nienaturalna jest natomiast atmosfera towarzysząca zmianom barw klubowych. Kluby uzależniają wyrażenie zgody na odejście zawodnika od zwrotu kosztów wyszkolenia. Stanowisko takie motywują stratą klubowych pieniędzy. Budzi to jednak pewne wątpliwości. Prezes wspomnianej już „Resovii" wyznał szczerze, że pozyskanie ze Stali dwóch piłkarzy byłoby niemożliwe, gdyby nie doraźna dotacja rzeszowskich przedsiębiorstw budowlanych. Żaden klub nie ma swoich etatów dla zawodników. Sportowcy opłacani są z kas różnych przedsiębiorstw państwowych i spółdzielczych. Kluby są wspomagane również przez przedsiębiorstwa patronackie. W tej sytuacji twierdzenie, że to klub ponosi straty finansowe przy odejściu zawodnika, jest raczej nieporozumieniem. Są to takie same społeczne pieniądze jak wszystkie inne. I jak wszystkie inne powinny podlegać ogólnie stosowanym normom kontroli.

Wielu ludzi zmienia pracę. Tryb postępowania w tej dziedzinie określony jest przez prawo. Wiadomo, że ludzie zmieniają pracę, bo im to z wielu względów bardziej odpowiada. I na ogół nikt nie robi z tego problemu. W sporcie jest inaczej. Kibic w zasadzie nie ma zastrzeżeń do korzyści, jakie w zamian za ciężki wysiłek czerpią sportowcy. Wątpliwości natomiast budzi sposób posługiwania się przez kluby społecznymi pieniędzmi. Bardzo często przy próbie zmian klubowych przez zawodnika całą winę zwala się na niego, podczas gdy prawdziwi inicjatorzy pozostają na ogół w cieniu. A przecież to oni właśnie dokonują całego manewru finansowego.

W konfrontacji z zagranicznymi drużynami wiele naszych zespołów ustępuje im pod względem wyszkolenia technicznego. Po bokserskim turnieju im. Feliksa Stamma zwrócono uwagę, że w szkoleniu bokserów stawia się przede wszystkim na siłę, mniej uwagi zwracając na taktykę i technikę. Obfite wręczanie żółtych i czerwonych kartek przez sędziów piłkarskich wynika też głównie z niedoszkolenia technicznego. Rozsądny kibic nie ma oczywiście zamiaru wtrącać się do spraw szkoleniowych klubów, ale oczekuje, że na boiskach i w salach będzie mógł oglądać interesujące i na wysokim poziomie technicznym stojące widowiska sportowe. Takie imprezy przyciągają zawsze ogromne rzesze widzów, a to także może wbogacić kasę klubową.

Jedna z warszawskich gazet wyraziła zaniepokojenie, że pierwsze jesienne mecze wiosennej rundy w piłce nożnej nie ściągnęły na stadiony spodziewanej ilości widzów. Gazeta martwi się o stan kas klubowych. Wydaje się, że nie martwią się o to kluby, ale być może wpływy z biletów na imprezy nie są im tak bardzo potrzebne. A na dobrą sprawę to nie ma co się dziwić, że kibic siedzi w domu, bo poziom prezentowany ostatnio w naszej lidze nie jest w stanie nikogo podekscytować.

Wszystko to nie są sprawy takie znów nowe i mało znane. Pisze się i mówi o tym coraz częściej i wydaje się, że konieczna jest ingerencja władz sportowych aby sposoby gospodarowania klubowymi finansami, metody szkolenia i stosunki między poszczególnymi klubami a zawodnikami zostały uporządkowane i oparte na jednakowych, społecznie słusznych zasadach.

BOGDA MADEJ

PROPOZYCJE

ZŁOŚLIWE KONIE

Okręgowe Przedsiębiorstwo Obrotu Zwierzętami Hodowlanymi, Oddział Rejonowy w Czechach koło Zduńskiej Woli podało do publicznej wiadomości „Terminarz zakupu koni rzeźnych" na miesiąc listopad i grudzień 1977 r. Z tego anonsu można dowiedzieć się, że konie rzeźne skupuje się w 24 miejscowościach oraz że powinny one być zdrowe, mieć dobry wzrok, nie kuleć oraz „na całej długości grzbietu żebra nie mogą być widoczne".

To wydawałoby się proste ogłoszenie informuje nie tylko, jak i gdzie sprzedać konie na rzeź, ale jednocześnie przypomina starą prawdę, że najlepsze pomysły ma samo życie. Okazuje się bowiem, że sprzedając konia na rzeź nie tylko trzeba mieć dowód osobisty oraz świadectwo miejsca pochodzenia konia wydane przez sołtysa, ale trzeba tego konia przyprowadzić „na mocnym trzymetrowym postronku". Postronek nie może być ani dłuższy, ani krótszy, a poza tym Okręgowe Przedsiębiorstwo Obrotu Zwierzętami Hodowlanymi Odział Rejonowy w Czechach koło Zduńskiej Woli wyraźnie i stanowczo sobie zastrzega, że „konie złośliwe nie będą kupowane". Tego nie wymyśliłby żaden satyryk ani dowcipniś. Jak z ogłoszenia wynika, złośliwców zły los czeka nie tylko wśród ludzi. Biedne złośliwe konie muszą zdychać na starczy uwiąd.

Dobre pomysły miewa nie tylko życie. Miewają też czasem ludzie. Ostatnio dobre pomysły miewa tygodnik „Kultura". Nie tak dawno pismo to postanowiło umożliwić za opłatą opublikowanie swoich tekstów autorom-amatorom. Miał to być dobry żart, ale życie zaskoczyło jego autorów. Amatorów publikacji za własne pieniądze było tak wielu, że „Kultura" wszystkiego nie mogła opublikować. Obecnie tygodnik wpadł na nowy, oryginalny pomysł i zawiadomił czytelników, że każdy „ma prawo nadesłać na adres „Kultury" (...) wniosek o przeprowadzenie z nim wywiadu". Pomysł nawet mi się podoba, bo wiadomo, że po kraju chodzi kilkaset tysięcy ludzi, którzy mają coś do powiedzenia. Natomiast publikuje się niekiedy wywiady z ludźmi, którzy do powiedzenia mają niewiele, ale piastują taki czy inny urząd i wypada z nimi porozmawiać. Jedno wszakże sformułowanie w anonsie „Kultury" zawiadamiającym o możliwości przeprowadzenia wywiadu z każdym budzi pewne moje wątpliwości. „Kultura pisze: „Wnioskujący ma prawo wskazać na pracownika „Kultury", który nadaje się do przeprowadzenia wywiadu".

Szukanie kontaktu z czytelnikami, rozszerzanie kręgu współpracowników jest działaniem pożytecznym i nie ma co do tego wątpliwości. Ale warto pamiętać, że mimo wielu zaleceń i postanowień władz centralnych dziennikarze nadal spotykają się z trudnościami w zdobywaniu informacji. Pisał o tym niedawno w „Polityce" Jacek Maziarski, a teraz znów Anna Matałowska, w tym samym piśmie przedstawiła swoje perypetie z kierownictwem fabryki „POLMO-ZELMOT". Chciała ona sprawdzić, jak w tej fabryce realizowany jest program, o którym na IX Plenum KC PZPR mówił minister Przemysłu Maszynowego, A. Kopeć. Chciała poinformować o tym opinię publiczną. Jednakże dyrekcja „Polmo-Zelmot" doszła do wniosku, że w prasie wystarczająco już dużo o nich napisano i w związku z tym mogą dziennikarce „Polityki" udostępnić niezbędne materiały i umożliwić rozmowy z załogą pod warunkiem, że redakcja zobowiąże się pisemnie, iż artykuł Anny Matałowskiej nie ukaże się w druku. Jest to pomysł równie perfidny, co bezczelny.

W „Sztandarze Młodych" przeczytałem niedawno o perypetiach dziennikarza, który usiłował kilkakrotnie porozumieć się telefonicznie z działaczem sportowym, aby poinformować czytelników o postępach i aktualnej formie jego podopiecznych. Działacz ten nie mógł znaleźć wolnej chwili, żeby podejść do telefonu i udzielić odpowiedzi, chociaż w tym samym czasie informował o tym dziennikarzy z innych gazet i PAP. Widać uznał, że przedstawiciel „Sztandaru Młodych" n i e n a d a j e s i ę do tego, aby z nim rozmawiać.

Praca dziennikarza, tak jak każda praca, podlega społecznej ocenie. Dziennikarze są również krytykowani, a świadczą o tym najlepiej listy czytelników publikowane na łamach pism i polemiki. Ale obok tej prawidłowej reakcji na niełatwą dziennikarską pracę obserwuje się jeszcze różne próby takiego ingerowania w pracę dziennikarzy i pism, jak choćby te, o których wyżej wspomniałem. Jakże często zdarza się w czasie zbierania materiału do artykułu czy reportażu dziennikarz słyszy oświadczenie: „To nie do druku., to tylko dla pana wiadomości". Bywa jeszcze i tak, że kierownicy różnych instytucji uniemożliwiają rozmowę dziennikarza z podległymi sobie pracownikami, zastrzegając dla siebie wyłączne prawo informowania prasy. Wychodzą oni widocznie z założenia, że sami wiedzą najlepiej o czym można, a o czym nie można pisać. Nie zdają sobie sprawy z tego, że tym samym odmawiają dziennikarzom kwalifikacji.

Moje wątpliwości na temat ostatniego pomysłu „Kultury" biorą się stąd, że nie jestem zupełnie pewny, czy teraz ten i ów nie wpadnie na nowy pomysł i nie oświadczy wysłannikowi któregokolwiek pisma, że n i e n a d a j e s i ę do tego, żeby z nim rozmawiać. Nie wiem więc, czy tak sformułowany nowy pomysł „Kultury" przyczyni się do przełamania barier, z jakimi ciągle jeszcze spotyka się dziennikarz zbierający informacje.

MARCIN RODAK

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44 i 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 2501. W-11.